Aby rozpocząć lekturę,

kliknij na taki przycisk ,

który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.

port wydawniczy
@literatura net.pl
KLIKNIJ TUTAJ

ALEKSANDER DUMAS

D'ARTAGNAN

WYDAWNICTWO TOWER PRESS
GDAŃSK 2002

ROZDZIAŁ I

Królowa, żołnierz i łotr

Drugi czwartek lipca roku 1630 zapisał się złotymi zgłoskami w historii starożytnego miasta Lyon. W dniu tym bowiem zjechał tu cały dwór królewski z Paryża i miasto przybrało szczytne miano drugiej stolicy Francji. Ludwik XIII i kardynał Richelieu, którzy bawili z armią w Sabaudii, wrócili do Grenoble, a królowe wraz z dworem przybyły do Lyonu. Paryż opustoszał, a wszelkie sprawy dworskie zawisły pomiędzy Lyonem i Grenoble, gdyż królowa matka, Maria de Medici, sprawowała władzę regentki w czasie wojny, w której król uczestniczył.

Na południe od placu des Terreaux, pomiędzy Saoną z lewej i Renem z prawej strony wznosiły się mury klasztoru sióstr Benedyktynek. Potężne budynki, po których został dziś jedynie refektarz, tętniły pełnią towarzyskiego życia; tłumy pięknych pań w różnorodnych kostiumach, rycerze w zbroi i służba snuły się tu od wczesnego rana do późnej nocy. Muszkieterowie strzegli bram. Zabrukowany dziedziniec roił się od pojazdów. Na rzece, u stóp prześlicznego ogrodu, otaczającego klasztor, kołysały się złocone barki królewskie. Królowe zamieszkały u gościnnych sióstr.

W jednym z górnych pokoi, przy kominku, w którym ognistymi językami strzelały polana, siedziała kobieta z listem w ręku. Odczytywała go silnie podniecona. Pokój mimo gustownych draperii i pięknych kotar nad łóżkiem nosił cechy pewnej surowości i prostoty, tak nieodzownych w klasztorach.

Kobieta mogła liczyć około trzydziestu lat, była więc w rozkwicie swej kobiecości. Ale jej piękne ciało, upudrowane hebanowe włosy i prześliczne ręce czyniły ją młodszą. Dumna twarz owiana była dziwnym smutkiem; majestat, jaki bił od niej, łagodziły uprzejmość i słodycz. Podczas odczytywania listu z jej pełnych życia oczu przebijała zgroza.

„Aczkolwiek przykro mi jest zakłócać Ci spokój, muszę Cię ostrzec. Pewna, że list ten dojdzie do Twych rąk bezpośrednio, piszę otwarcie i proszę Cię o spalenie go po odczytaniu.

W r. 1624, czyli sześć lat temu, niejaki Franciszek Thounenin był kuracjuszem w Dompt i tam sporządził testament. W następnym roku przewieziono go do Aubain w pobliżu Wersalu, dzięki staraniom mej rodziny, z którą był spokrewniony. Dwa lata temu Thounenin umarł w Aubain. Na krótko przed śmiercią, w czasie wizyty w Dompt uzupełnił testament dopiskiem. Kodycyl zarejestrowano w Nancy wraz z oryginałem. Ów dodatek, napisany w obliczu śmierci, dotyczył pewnego dziecka. O kodycylu oczywiście nic nie wiedzieliśmy. Thounenin umarł wkrótce. Dowiedziawszy się o dziecku, zajęliśmy się nim.

Testament został wykradziony z archiwum. Poszukiwania zarządzono natychmiast i wierzę, że dokument zostanie odzyskany i zniszczony. Żeby sprawa ta mogła mieć jakikolwiek związek z Tobą – wątpię. A gdyby dotyczyła Ciebie, droga przyjaciółko, to śledzą mnie tu na każdym kroku, podejrzewają moich przyjaciół, więc jest mi bardzo trudno przedsięwziąć cokolwiek.

Jeśli możliwe, poślij mi kogoś, komu bym mogła zaufać. Może nie będę miała już okazji swobodnego pisania do Ciebie, a przecież ważnym jest, by informować Cię o wszystkim, ostrzec przed niebezpieczeństwem. Adieu! Zniszcz ten list.

Maria".

Autorką listu była Maria de Rohan, księżniczka Chevreuse, najzdolniejsza i najzaciętsza z wrogów kardynała. Kobietą, która odczytywała list, była Anna Austriaczka, królowa Francji, najpiękniejsza i najbezsilniejsza z ofiar Jego Eminencji.

Po przeczytaniu listu królowa zmięła list i rzuciła go do kominka, a kiedy już tylko popiół został po zwitku papieru, wsparła głowę na ręce i utonęła w głębokiej zadumie.

„Dobry Boże, co to wszystko ma znaczyć, o co właściwie im chodzi, jaki nowy cios gotują mnie, czy moim przyjaciołom? – szeptała Anna. W oczach błysnęły łzy. – I cóż ja biedna mam począć – kogo mam do niej posłać, komu mogę zaufać, skoro nie wolno mi widzieć nikogo na osobności, a i to za specjalnym pozwoleniem".

W tym momencie zapukał ktoś lekko do drzwi. Królowa wyprostowała się, otarła szybko łzy, opanowała wzruszenie. Do pokoju weszła doña Estefana, jedyna z jej hiszpańskich dam dworu, pozostała przy niej. Przybyła pokłoniła się nisko i rzekła:

– Wasza Królewska Mość, goniec oczekuje listów. Pani królowa matka prosi, byś własne, o ile są gotowe, wraz wysłała.

– Leżą na moim biurku – odpowiedziała królowa. Domyślając się z oficjalnego tonu Estefany, że goniec oczekuje przy drzwiach, dodała. – Ów goniec... azali jest tu, pod ręką?

– Tak pani. Jest nim pan d'Artagnan. Muszkieter.

– Ach... – szepnęła królowa zaskoczona – czekaj...

Na dźwięk wymienionego nazwiska twarz jej napłynęła krwią. Rumieniec ukrył się dyskretnie pod różem. Możliwe, że pamiętała to nazwisko, a może stanęły jej przed oczyma inne, lepsze dni, może wreszcie przeszyło ją wspomnienie o zmarłym Buckinghamie.

– Czy jest sam? – zapytała naraz gwałtownie.

– Tak, pani.

– Poproś go. Podaj mi listy. Zamknij drzwi i zostań przy mnie.

Za chwilę d'Artagnan klęczał u stóp królowej, nachylony nad wyciągniętą do niego ręką. Z nabożeństwem dotknął jej ustami. Królowa, uśmiechając się, patrzyła w szczerą twarz rycerza, tak bardzo jej oddanego.

– D'Artagnan, pan odjeżdża do Grenoble?

– Z pismami do Jego Królewskiej Mości, pani.

– Moje są gotowe. Proszę, podaj je donio Estefano.

Królowa podane jej listy wręczyła muszkieterowi. D'Artagnan pokłonił się i schował listy do kieszeni.

– Monsieur – zagadnęła królowa niepewnym głosem – czy zechciałbyś mi służyć?

D'Artagnan spojrzał na królową zdumiony.

– Moje życie do twych usług, pani – zawołał jednym tchem.

– Wierzę ci – oświadczyła królowa. – Mam powód ku temu, by wierzyć. Posądzają mnie o szybkie zapominanie oddanych mi usług. Lecz panie d'Artagnan, ja tylko wydaję się zapominać o niektórych rzeczach. – Twarz królowej oblała się znów rumieńcem. – Pan de Bassompierre oświadczył, że służy królowi, swemu panu, i twierdzi, że obowiązkiem szlachcica jest przenosić tę służbę ponad każdą inną.

D'Artagnan pochylił się. Oczy jego na chwilę zapłonęły.

– Pani – odparł żywo. – Bogu najwyższemu dzięki, że jestem d'Artagnan, a nie pan de Bassompierre! Marszałek służy królowi, zwykły szlachcic służy królowej. Jeżeli Wasza Królewska Mość ma najmniejsze zlecenie dla mnie, błagam o nie. Uważam za największe szczęście mego życia być na twych usługach. Jesteś dla mnie jedyną po Bogu.

Prawda świeciła w oczach młodego człowieka, szczerość przebijała w jego głosie.

– Ach, panie d'Artagnan! – westchnęła królowa. – Gdybyś ty był na miejscu pana de Bassompierre!

– Byłbym wówczas nieszczęśliwy, pani, gdyż on jest z armią, a nie tu.

Królową spostrzegła znak przestrogi, jaki dała doña Estefana. Czas naglił.

– Dobrze więc – rzekła królowa. Zdjąwszy pierścionek z palca, wręczyła go rycerzowi. – Zabierz ten pierścionek do Dampierre, wręcz go pani de Chevreuse i powiedz jej, że ja cię posłałam. To wszystko. Ona powierzy ci ustnie pewne wiadomości dla mnie. Jedź, kiedy będziesz mógł, a skoro otrzymasz urlop wracaj spiesznie. Jestem niezdolna pomóc ci w czymkolwiek, a gdybym próbowała, popadłbyś w podejrzenie.

D'Artagnan ukląkł, pocałował podane mu palce królowej i wstał.

– Pani – wyrzekł z prostotą – moje życie, mój honor, moje całe przywiązanie należą do ciebie. Za zaufanie, jakim mnie obdarzyłaś, dziękuję ci.

Za chwilę już go nie było. Królowa oparła się wygodnie w fotelu. Drżąc lekko na ciele, patrzyła wystraszonym wzrokiem na swą damę dworu.

– Ach – rzekła półgłosem – może postąpiłam nierozważnie. Może źle zrobiłam.

– Nie postąpiłaś źle, pani, ufając temu młodemu człowiekowi – zapewniała ją doña Estefana. – Jego uniform dowodzi jego męstwa, z twarzy jego bije przywiązanie do ciebie. Bądź spokojna, on pojedzie do Dampierre.

Królowa pochyliła głowę.

D'Artagnan, na którego czekał na dziedzińcu koń osiodłany, nie miał czasu, by pożegnać się z Atosem w kwaterze muszkieterów. Listy Anny Austriaczki i Marii de Medici były pilne. O ważności ich można było sądzić z tego, że powierzono je oficerowi-gwardziście, a nie zwykłemu gońcowi pocztowemu. Nie pozostawało więc nic innego, jak dosiąść konia i pędzić do Grenoble, gdzie stali na kwaterze król i kardynał. Było popołudnie. D'Artagnan miał dotrzeć do celu podróży na drugi dzień przed północą.

W pięć minut później opuszczał dziedziniec klasztorny, a w dziesięć minut potem mijał bramy Lyonu.

Gdy znalazł się już w polu, rozmyślał nad ostatnio przeżytymi chwilami. Zdawało mu się, że kilka minut spędzonych w pokoju królowej było snem. Ależ nie, na dowód rzeczywistości miał pierścionek na palcu. Był to prześliczny szafir, okolony brylancikami. To nie był pierścionek dla kawalera. Na piersiach nosił d'Artagnan szkaplerz, ofiarowany mu przez matkę na łożu śmierci. Jadąc, dobył go z zanadrza, umocował pierścionek na łańcuszku i wsunął wraz ze szkaplerzem z powrotem. Jako był rzekł, służba dla królowej była jedyną po Bogu.

„Urlop mi się należy – rozumował w duszy – muszę go otrzymać. Zabiorę ze sobą Atosa i pojedziemy do Dampierre. Jak cudownie wszystko się składa. I pomyśleć tylko, że widziałem ją na własne oczy, dwukrotnie pocałowałem jej rękę, patrzyłem w jej oczy i, co najważniejsze, pamiętała o mnie! Że też nie zapomniała. O, ty przeklęty kardynale, tak prześladować anioła z nieba".

D'Artagnan jechał niebaczny na nic, co się wokół niego działo, jechał w ekstazie wspomnienia niedawnych chwil szczęścia. Francja wojowała z cesarstwem – z Hiszpanią, Włochami i Sabaudią, jednym słowem ze wszystkimi państwami, które tworzyły cesarstwo Habsburgów. Richelieu i król po walnym zwycięstwie nad Sabaudią wrócili do Grenoble. Obydwie królowe sprowadziły dwór do Lyonu. Ludwik XIII usiłował ściągnąć matkę do Grenoble, by ewentualnie pogodzić ją z kardynałem. Dumna Maria de Medici odmówiła prośbom króla i odmowę tę wiózł właśnie d'Artagnan.

Ponieważ d'Artagnan zmieniał konie na każdej stacji pocztowej, nie oszczędzał ich bynajmniej. Mimo to pośpiech jego był hamowany, a to z powodu błotnistych dróg. Jedyną pociechą dla niego była myśl, że inni na jego miejscu nie osiągnęliby większej szybkości.

Zmrok następnego dnia zastał rycerza o blisko pięć mil od celu podróży. Ostatnia stacja pocztowa nie dopisała mu wypoczętym koniem i musiał jechać dalej na dobrze już przemęczonym wierzchowcu. Biedne zwierzę opadało z sił gwałtownie. D'Artagnan nie zrażał się tym wielce i, poklepując kark konia, dogadywał głośno: „Zdechnij, jeśli już taka twoja wola, ale dowieź mnie do Grenoble przed północą".

Blady księżyc rzucał smugi srebrzystego światła na ciemne wody rzeki Lizery, wdzierał się pomiędzy przydrożne drzewa i rysował fantastyczne cienie na drodze owitej w tumany kurzu. Droga wiła się serpentyną w górę, lub spadała w dół, wreszcie ginęła wyciągniętą linią w lesie. Na jednym z zakrętów jeździec, poczuwszy, że koń pada formalnie z nóg, szarpnął uzdę, jak gdyby chciał go podtrzymać. Dogorywające zwierzę wydało przeraźliwy jęk i utwierdziło rycerza w przypuszczeniach, że są to już ostatnie chwile jego żywota.

Naraz rozległ się strzał z pistoletu, a w kilka chwil później głośniejszy z rusznicy. W ślad za tym rozdarł powietrze okropny krzyk człowieka.

D'Artagnan chwycił za broń i byłby niewątpliwie pospieszył na pomoc, gdyby koń nie odmówił posłuszeństwa. Snadź zwierzę dobywało ostatnich sił, by utrzymać się na nogach. Tymczasem na miejscu wypadku kilka głosów ludzkich nawoływało się i po chwili słychać było tętent kopyt końskich.

„Bandyci – rozumował d'Artagnan – najwidoczniej napadli kogoś przede mną".

Wyczerpany do cna koń uszedł jeszcze kilka kroków i stanął. Nogi mu się rozsuwały, łeb opadał ku ziemi. Jeździec zeskoczył z siodła i skierował kroki w stronę, skąd dochodziły go jęki konającego. Domyślał się, że osobą swą wystraszył bandytów. Na pobliskim pagórku dojrzał w świetle księżyca rozciągniętą postać człowieka. Obok stał koń, z zaciekawieniem śledzący zbliżającego się rycerza.

Ranny był nieprzytomny. D'Artagnan pospieszył ku niemu, puścił z zaciśniętej ręki lejce i delikatnie podniósł jego na pół martwą głowę. Kula przeszyła ciało nieszczęsnego podróżnika, jego ubranie zbroczone było krwią. Nie było dla niego ratunku – umierał. Jasne światło księżyca pozwoliło muszkieterowi przypatrzeć się bliżej twarzy napadniętego. Nie bez obrzydzenia dopatrzył się d'Artagnan w rysach konającego brutalności i fałszu.

„Lokaj w ubraniu swego pana – wypowiedział półgłosem – albo łotr".

Widać głos ludzki dotarł do mózgu nieprzytomnego, gdyż po chwili otworzył oczy i wlepił je w muszkietera. Wargi lekko się poruszyły.

– Odkryłem wszystko – silił się mówić głośno – wszystko! Bassompierre – du Vallon – ów fałszywy ksiądz d'Herblay – dowody. Dokument wysłano na przechowanie do Londynu – za tydzień będzie w Paryżu – mamy wszystko, wszystko. A ponad wszystko ona, ona, sama...

Ledwo dosłyszalny głos umilkł. D'Artagnan zerwał się na równe nogi z przerażeniem.

– Du Vallon – Portos! – zakrzyknął – d'Herblay – Aramis! Cóż to ma znaczyć? Jestże to możliwe? Czy ja śnię?

W tej chwili umierający chwycił go kurczowo za nogę, jak gdyby próbował wstać. Przedśmiertnym wysiłkiem zawołał czysto i głośno:

– Ojcze Józefie, powiem wszystko. Betstein jest opiekunem dziecka. Fałszywa metryka była sporządzona przez księdza Thounenin. Dziecko jest w klasztorze Benedyktynów w St. Saforin. Przeor ma pierścień – ja postarałem się o duplikat. Ja mam list od d'Herblay'a – on został raniony, du Vallon jest zabity – zabrał papiery. – Jego Eminencja musi wiedzieć – poślij Montforge'a do Paryża – do Paryża...

Ranny osunął się na ziemię, zakaszlał ciężko, charczał i uspokoił się. W sekundzie oprzytomniał. Spojrzał dzikim wzrokiem na klęczącego nad nim.

– Gdzie jestem? – zawołał – kto ty jesteś?

– Jestem d'Artagnan, porucznik...

– O Jezu! – krzyknął leżący i wyzionął ducha.

D'Artagnan powstał. W jednej ręce trzymał złoty sygnet z obcymi mu znakami, w drugiej dwa listy i paczkę zalakowaną kilkoma pieczęciami. Przypatrzył się pieczęci bliżej – była to pieczęć używana przez Aramisa.

Aramis – Portos! Oszołomiony tym wszystkim co słyszał, d'Artagnan oglądał listy. Jednego nie mógł odczytać, ale rozpoznał drobny, wycyzelowany charakter pisma Aramisa. Drugi, krótki, napisany był dostatecznie wielkimi literami, że można go było z łatwością przeczytać. Musiała go pisać osoba bardzo zdenerwowana. Kilka słów pokrywało cały arkusz:

„M. l'Abbé d'Herblay!

Nie pisuj do mnie więcej. Nie odwiedzaj mnie. Nie myśl o mnie. Dla Ciebie umarłam na zawsze. *Marie Michon".*

„Co u diabła! – pomyślał d'Artagnan. Marie Michon, wszak to miłość Aramisa, a więc ni mniej ni więcej tylko Chevreuse! Do kaduka! Co też tu za odkrycia porobiłem?"

D'Artagnan zbladł jak śmierć, kiedy przypomniał sobie słowa umierającego: Portos nie żyje – Aramis jest ranny. Atos otrzymał list od Aramisa przed miesiącem. Aramis był wówczas w drodze do Lotaryngii w celach nieznanych. Portos wystąpił z wojska, ożenił się i zamieszkał gdzieś na prowincji.

Zatopiony w rozmyślaniach d'Artagnan darł w drobne kawałki list Marie Michon i rzucał je w powietrze.

Zapieczętowany pakiet schował do kieszeni – należy go zniszczyć. List zaczął studiować ponownie, ale bez rezultatu – wsunął go również do kieszeni. Pierścień włożył na palec.

„Ciekawe! – rozmyślał podrażniony – jaką tajemnicę zabrał ten szpieg do grobu? Bassompierre, największy pan we Francji, kochanek tysiąca kobiet – mój biedny, głupiutki ale uczciwy Portos – mój krewki, przebiegły intrygant Aramis? I ona – samiuteńka – co ten łotr miał na myśli?"

Nagle przyszła mu do głowy straszna myśl. A może zmarły był jednym ze szpiegów milczącego kapucyna, sekretarza Richelieugo? Człowieka, który zorganizował cały ten system szpiegowski, bez którego porady Richelieu rzadko kiedy działał. Jego Szara Eminencja, ojciec Józef le Clerc, pan na Tremblay.

„Ona sama – dumał d'Artagnan, przypisując tym słowom coraz większe znaczenie. – A ponad to wszystko – ona sama. Ton, w jakim słowa te były wypowiedziane więcej mówił, aniżeli same słowa; co on odkrył? O kim on mówił? Co to za dziecko? Kim jest Betstein? – D'Artagnan otarł z czoła zimny pot. – W każdym razie mówił prawdę, bo jak nie wierzyć człowiekowi będącemu w objęciach śmierci.

Muszkieter rozejrzał się wokół i skierował kroki do swego wierzchowca. Biedne zwierzę stało w tej samej pozycji z rozkraczonymi nogami i łbem przy ziemi. W dalszym ciągu konało. D'Artagnan dobył z torby przy siodle pisma królewskie, wsunął pistolet do pochwy i ruszył do konia zmarłego szpiega.

„Wspaniały koń – zauważył. – Najwidoczniej jest to jeden z cudów Opatrzności, o których księża tak często mówią. Ten łotr zginął z ręki innych łotrów w stosownej chwili – kiedy mój koń odmawiał służby. Tak, usadowimy się na siodle i dopatrzymy, by listy mimo wszystko doszły do rąk króla o północy. Opatrzność bardziej sprzyja dziś Ludwikowi XIII, aniżeli jego ministrowi wojny, przemiłemu Richelieumu".

D'Artagnan dosiadł konia, przekonał się jednak, że poprzednik miał dłuższe nogi, trzeba więc było podciągnąć strzemiona.

„Teraz – mówił do siebie, poprawiając strzemiona – gdyby dobry Atos był na moim miejscu uznałby za swój obowiązek pospieszyć ze słówkiem do Jego Szarej Eminencji. Byłoby to bardzo grzecznie i z mojej strony tak postąpić – ale co u licha zawiera list Aramisa? Nie wygląda mi to na mądrego Aramisa, by powierzał swój kark otwartemu listowi. Dlaczego imię Portosa jest łączone z nazwiskiem Bassompierre'a? Najbardziej tajemniczym jest mi ów Betstein; kryje on to dziecko, pielęgnuje i jaki to ma związek z przeorem Benedyktynów?

Niewątpliwie monseigneur Richelieu odpowiedziałby mi na te wszystkie pytania, ale dla świętego spokoju poszukam odpowiedzi gdzie indziej.

I znów przyszły mu na myśl te znamienne słowa: „a ponad wszystko ona – ona sama!" Odnosił wrażenie, że umierający mówił o kobiecie wysoko postawionej. „A, za daleko się posuwam! – zgromił się d'Artagnan. Zresztą we Francji są dwie królowe. Na pewno sprawa wikła się około jakiejś nowej intrygi Bassompierre'a. Najbardziej tajemniczym wydaje mi się z trzyletniej rozprawy w wysokim sądzie w Rouen. Intrygi jego dotyczyły przeważnie wielkich domów i powstawały na tle licznych wyznań miłosnych". Przyszedłszy do takiej konkluzji, muszkieter poweselał.

– Vivadiou – zawołał głośno – przypisuję zbyt wiele drobnostce.

Rzucił jeszcze raz okiem na trupa, przeżegnał się i, chwyciwszy konia za lejce, odetchnął z wyraźną ulgą. „Gdybyś tak słów parę dodał do swych rewelacji, mój dobry łotrze! Dziękuję ci zresztą i za to – twoja tajemnica u mnie niby w grobie. Bywaj! a teraz do Grenoble!"

Spiął konia ostrogami i zginął w zamieci kurzu.

ROZDZIAŁ II

Dowód, że ani król, ani minister nie rządzą Francją

Latem r. 1630 cała Francja tarzała się w wojnie, zdradzie i zamieszkach cywilnych.

Faktem było niezbitym, że La Rochelle padła, że protestanci byli zgnieceni, że Anglii podyktowano warunki – ale to należało już do dnia wczorajszego. Dziś Richelieu prowadził wojska w Sabaudii do zwycięstwa nad cesarstwem, a mimo to sam stał nad przepaścią. Z wewnątrz kraju parły wichry, by go zepchnąć w tę przepaść.

Kardynał odkrył taki stan w chwili, kiedy się dowiedział, że najzaciętsi wrogowie kraju znajdują się w jego granicach.

Ludwik XIII, syn Henryka z Nawarry, został mianowany królem. Maria de Medici, wdowa po Henryku nie mogła zapomnieć o tym, że mąż jej był rzeczywistym władcą Francji. Armand du Plessis, prawdziwy rządca Francji, uważał, że Francja powinna rządzić Europą. Tu więc był trójkąt o bardzo różniących się między sobą ścianach.

Ludwik był królem złym i zazdrosnym, lecz ambitnym dostatecznie, by urobić sobie przydomek „Sprawiedliwego". Bał się Richelieugo, jako człowieka, a powierzył rządy Richelieumu, jako kardynałowi. Nie zawahał się ni chwili mianować kardynała głównym dowódcą wojsk. Drżał przed matką, nienawidził brata, księcia Orleanu, nie ufał otaczającym go dygnitarzom – uznał przy tym za stosowne zepchnąć odpowiedzialność za rządy na mocniejsze ramiona. Królowa matka nie cierpiała kardynała z duszy i serca. Nienawidziła go, ponieważ odebrał jej wpływ na króla, ponieważ powiódł wojującą armię do jej ukochanej Italii, ponieważ sprawował rządy tak dobrze, jak ona źle to czyniła, wreszcie dlatego, że on był Richelieu, a ona Maria de Medici. A co najbardziej ją bolało, to to, że ona właśnie utorowała mu drogę z gminu do świetności. Otoczenie jej przeto składało się z zapamiętałych wrogów kardynała, z książąt krwi i najdostojniejszej szlachty Francji.

Richelieu spostrzegł, że jego stanowisko się chwieje. Zwyciężył matkę, zmaltretował królową, Annę Austriaczkę, zmiażdżył rodzinę Vendome'ów, zniszczył Hugenotów i wygnał Chevreuse'ów. Był zwycięzcą – ale nie był panem sytuacji. Powstrzymał wprawdzie burzę zawiści i nienawiści, ale rozproszone siły wrogów gromadziły się ponownie.

Największą siłą Richelieugo był fakt, że nikt nie był w możności zmierzyć i określić jego władzy. Książęta posiadali ziemię, bogactwa i rangę, wielka szlachta cieszyła się władzą, książę Orleanu, następca tronu, był nietykalny, a Richelieu miał tylko zwykłego śmiertelnika, kapucyna. Ten to ojciec Józef był zaufanym sekretarzem kardynała, a brat jego Karol du Tremblay sprawował rządy w Bastylii.

Ów braciszek był jedynym człowiekiem we Francji, który nie pragnął niczego, nie przyjmował nagród ani się o nie nie ubiegał. Służył kardynałowi i uważał to za wielki zaszczyt i honor. Nie czyniono nic we Francji bez jego zgody i we wszystkim posługiwano się jego radą. Minister polegał na jego dyplomacji, kardynał – na jego mądrości, generał – na jego znajomości ludzi i wojska. Dygnitarz w szacie kardynalskiej opierał się na człowieku w skromnym habicie zakonnika.

W kwaterze Richelieugo w Grenoble ci dwaj ludzie prowadzili żywą rozmowę.

Ojciec Józef, który spowodował oblężenie La Rochelle, który napisał obszerne dzieło o Machiavellim, i który był ostoją swego pana, należał do ludzi wysokich i barczystych, na twarzy nosił ślady ospy. Niegdyś włosy jego były rude, dowiedziawszy się jednak, że król nie

znosił tego koloru, przed trzydziestym rondem życia posiwiał jak gołąbek. Jego małe, mądre oczy kryły w sobie wiele ognia.

Richelieu o bardziej imponującym wyglądzie znajdował się u szczytu swej męskości. Był przystojny, doceniał tę wartość mężczyzny i korzystał z niej w pełni; był dumny i dumy tej, gdyby maski, w potrzebie używał, a ponad wszystko był wyjątkowo bystrym, szybko się orientował i dowiódł tych zalet w stosunku do swego sekretarza. W stosunek ten, dzięki jego przezorności, nie wkradł się nigdy cień nieporozumienia. W tej chwili w rozmowie z zakonnikiem – wszystkie jego arystokratyczne cechy znalazły pełne zastosowanie. Jego przenikający wzrok, utopiony w braciszku, był niespokojny, a nawet melancholijny.

– Mój przyjacielu i ojcze – mówił kardynał – wydaje mi się, że sytuacja jest zbyt groźną, bym nadal pozostawał z dala od Paryża. Królowa nie dała nam następcy tronu, intrygi dojrzały, król nalega, abym przybył do armii. Najlepiej uczynię, gdy podam się za chorego, oddam dowództwo Crequy'owi lub Bassompierrowi i wrócę do stolicy.

Ojciec Józef przywykł już do nagłych decyzji kardynała.

– Doskonale, Wasza Eminencjo, doskonale! – przyklasnął kardynałowi swym suchym flegmatycznym głosem. – Spowiednik króla pisze, byś tak uczynił. Myśl ta jest bodaj najlepszą. Tylko, niestety, wprowadzenie jej w czyn nie posunęłoby spraw Francji naprzód.

– Czy zatem interesy Francji domagają się usunięcia mnie z krzesła ministerialnego?

Zakonnik, który pisał coś w tej chwili, odsunął papiery, złożył obydwie ręce na biurku i wpatrzył się w kardynała.

– Najwidoczniej Wasza Eminencja był zbyt zajęty pracami w polu, by pomyśleć i o innych sprawach. Czy mogę się wypowiedzieć?

– Mów, kaznodziejo! – Uśmiechając się, Richelieu usiadł wygodnie w fotelu.

– A więc – zabrzmiał niewzruszony, nieugięty głos kapucyna. – Rozpoczynając wojnę przeciwko Domowi Austriackiemu, jak postąpiliśmy teraz, Wasza Eminencja podjął nitki polityki, uprawianej wówczas kiedy zmarł Henryk IV. Bardzo dobrze! Osobiście uważam, że dobro Francji wymaga, byś pozostał na swym stanowisku. Oto moje argumenty.

Richelieu pochylił lekko głowę w stronę kapucyna, jak gdyby z góry aprobował jego motywy.

– Ci, którzy by Waszą Eminencję złożyli z urzędu – obie królowe i pewne domy w kraju – są większymi wrogami Francji, aniżeli nieprzyjaciele zewnętrzni. Tak jak książę de Rohan, przekładają oni własne interesy ponad interesy Francji. Staje się jasnym, że Francja nie może być nadal państwem, podzielonym na wrogie sobie obozy.

– O ile oczywiście ci wrogowie mogą Francji zaszkodzić.

– Mogą. Jedna bitwa przegrana, jedno cofnięcie się armii pod dowództwem Waszej Eminencji będzie sygnałem dla wrogów do działania.

– Możliwe – odrzekł Richelieu – gdyby takie niebezpieczeństwo groziło.

– Niestety, w przeciągu dwóch miesięcy tak się stanie. Kardynał spojrzał na zakonnika przerażony.

– Casale jest oblegane przez wojska cesarskie– ciągnął ojciec Józef – nasze rezerwy są niedostateczne; miasto musi wpaść w ręce wroga. To będzie poważnym ciosem dla Francji, a jeszcze większym dla Waszej Eminencji. Pewna myśl powstała w mej głowie – zakonnik dotknął ręką pliku papierów – i na niej zbudowałem plan do waszej aprobaty.

– Mów – rzekł Richelieu – ucho często mniej zwodzi od oka.

– Dobrze więc. Francuzi zapomnieli o tym, że w przyszłym miesiącu Cesarski Sejm zbierze się w Ratyzbonie.

– Wiem o tym – kardynał obruszył się rozmyślnie. – Cóż z tego?

– Według prawa nie wolno cesarzowi zawierać pokoju bez zezwolenia Sejmu.

– Pokoju? Kto mówi o zawarciu pokoju? – zawołał głośniej kardynał.

– Rzecz godna zastanowienia, Wasza Eminencjo. Jestem przekonany, że cesarz zawarłby natychmiastowy pokój z Francją, gdyby projekt taki wysunięto należycie przed Sejmem. Zaznaczam: gdyby go przedstawiono należycie.

– Tak myślisz – wtrącił Richelieu oschle – Sejm odmówi.

– Otóż to, chodzi o to by nie odmówił. Myślałem także o Gustawie Adolfie, który jest najzaciętszym wrogiem Austrii...

Kardynał uniósł się:

– Arcy heretyk! Arcywróg Świętego Kościoła!

– I arcygenerał w całej Europie – dodał spokojnie kapucyn. – Gustaw Adolf dałby chętnie posłuch traktatowi przyjaźni z Francją, oczywiście gdyby i tu projekt przedłożono należycie. Wynik byłby taki: Francja zawiera pokój z Austrią z jednej strony, a z drugiej traktat z najgorszym wrogiem Austrii.

– I co zyskuje? – zapytał Richelieu. Kardynał wiedział, że czterech sekretarzy ojca Józefa utrzymuje stały kontakt z politycznymi i religijnymi sprawami nie tylko Europy, ale całego świata.

– Czas, by uporządkować jej wewnętrzne sprawy. Upokarzający odwrót wojsk będzie unikniony. Pod koniec lata minister będzie w Paryżu i bynajmniej nie za wcześnie dla dobra kraju. Jego Królewska Mość upiera się, by stanąć na czele wojsk. Zdrowotny stan armii jest zatrważający. Wojsko jest formalnie dziesiątkowane przez febrę i inne zaraźliwe choroby.

– Ach! – Kardynał zmarszczył brwi – Ach, gdyby król umarł!...

– Niech Bóg zachowa! Wówczas rządziłby krajem jego brat.

Richelieu uśmiechnął się niedwuznacznie. Książę Orleański na tronie – to kardynał Richelieu w Bastylii.

– I wszystkim tym możliwościom dałoby się zapobiec? – cedził minister przez zęby.

– Dzięki zwróceniu baczniejszej uwagi na Sejm w Ratyzbonie.

– Król nigdy by się na to nie zgodził.

– Pozwól Wasza Eminencjo królowi dowodzić wojskami w Sabaudii, a zgodzi się na wszystko. Oprócz tego wpływy królowej Anny Austriaczki będą nam w tym pomocne.

Richelieu zamyślił się na chwilę. Roztrząsał dobre strony rady kapucyna, aczkolwiek wiedział, że jakikolwiek pokój z Austrią nie może być korzystny. Pokój z cesarzem byłby zewnętrznym pokojem dla Francji.

– Taki pokój nie mógłby trwać długo – wypowiedział półgłosem.

– Monseigneur, niechaj trwa tylko do wiosny.

– Słusznie.

– A jeszcze i to trzeba mieć na uwadze, że nikt we Francji nie uwierzy, żeby pokój można osiągnąć. Osiągnąć go może tylko właściwy człowiek.

– Przyznaję ci słuszność. Tym człowiekiem jest Bassompierre. Wszak był ambasadorem w Hiszpanii i Anglii. Jest przy tym bogaty, popularny i pełen najwyższych zalet. Kochają go wszyscy i wszędzie...

– Bardzo go kochają – poprawił Kapucyn zgryźliwie, wywołując uśmiech na twarzy kardynała.

Bassompierre był nieraz rywalem Henryka IV. Jeżeli księżniczka de Chevreuse sprowadzała na bezdroża książęta, Bassompierre czynił to samo z królowymi.

– W istocie, Bassompiere jest oddany królowej matce – zaczął Richelieu powoli – i...

– Jest drugim kapitanem Francji, podczas gdy Wasza Eminencja jest pierwszym.

– Nie jest przy tym ambitnym. Wywiązałby się z zadania świetnie.

– Bardzo, Monseigneur, tym bardziej że jest potajemnie ożeniony z księżniczką de Conti.

– Co?

Richelieu zerwał się z fotela i spojrzał badawczo na zakonnika.

– Siostrą Guise'ów? Niemożliwe! Ożeniony potajemnie?

– Z księżniczką, która kilka lat temu wydała mu synka na świat.

Minister usiadł ponownie. Otwierało się przed nim morze domysłów. Bassompierre, marszałek Francji, który drwił sobie z tytułu księcia i księstwa i był zadowolony z rangi naczelnego dowódcy szwajcarskiej gwardii, który czuł się szczęśliwym, będąc największym hazardzistą, kochankiem i trwonicielem pieniędzy, ten Bassompierre... Biada jeśli ten człowiek będzie nadal szczęśliwym.

Faworyt króla, oddany obydwom królowym a niezależnie od tego cieszący się zaufaniem kardynała, marszałek Bassompierre był pierwszym i najpotężniejszym kawalerem Francji, trzymającym się z dala od wszelkich intryg i spisków. Lecz teraz, kiedy ożenił się z siostrą księcia de Guise – wszystko się zmieniło. Stale go podejrzewano. Książęta przeciągnęli go na swoją stronę.

– Bassompiere – odezwał się ojciec Józef posiada w swym domu sześć kasetek z listami. Z kluczami od tych kasetek nie rozstaje się nigdy. To jest ciekawe, Monseigneur. Marszałek jest Lotaryńczykiem o bardzo znacznych wpływach. Wprawdzie nie był nigdy ambitnym, ale też i nie obawiano się go. Ale teraz...

– Ale teraz... – powtórzył Richelieu. – Tak, rozumiem to dobrze. Któż więc teraz może jechać do Ratyzbony? Kto posiada na tyle sprytu, by zwieść niemieckich książąt, poigrać z nimi i owinąć ich wokół swych palców?

– Decyzja zależna jest od Waszej Eminencji, jeśli wybór spotka się z waszym uznaniem...

Richelieu obrzucił zakonnika bystrym wzrokiem.

– Pokój musi być zawarty?

– Za każdą cenę, Monseigneur.

– Dobrze więc. Ty pojedziesz.

Ojciec Józef przybrał minę wielce zdziwionego.

– Monseigneur, naigrawasz się ze mnie. Ja, w tym skromnym habicie, mam się pokazać pomiędzy książętami, elektorami, ambasadorami i innymi wielkościami? Nie, nie! Jestem zbyt małym człowiekiem dla tak wielkich obowiązków.

Charakterystyczną cechą kardynała było, że słuchał człowieka tego do końca jego przemówienia, ważył „jego rady i sądy i aprobował jego odkrycia – by po chwili samemu opanować sytuację i w mig decydować.

Rewelacyjna wiadomość o małżeństwie Bassompiere'a z księżniczką de Conti poruszyła go, zaalarmowała i przeraziła, że Bassompierre był kochankiem księżniczki i że powiła mu syna, nie miało dla niego znaczenia. Ale, że marszałek połączył się z domem Guise'ów, znaczyło wszystko. W mgnieniu oka dojrzał niebezpieczeństwo, jakie mu zagrażało. Trzeba zapomnieć o wszystkim innym; należy odłożyć sprawy państwa na bok i zająć się własnymi wewnątrz kraju.

Richelieu orientował się doskonale w misji, jaka przypadła wysłańcowi do Ratyzbony. Wysłańcom mógł być jedynie wytrawny, doświadczony kuglarz, w przeciwnym razie przegrana nieunikniona. Niemieccy książęta, którzy marzyli o zgnieceniu Francji, nie będą tacy skorzy do zawarcia pokoju. Nie będzie nim również Ludwik XIII, któremu się śniła władza Henryka IV. Richelieu mógł zająć się sprawami na miejscu, we Francji – wysłańcem do Ratyzbony musi być drugi Richelieu.

– Dość tego – zawołał kardynał – Mój przyjacielu, pojedziesz do Ratyzbony. Bulart de Leon, obecny ambasador w Szwajcarii będzie posłem, a ty jego pomocnikiem. Cała praca spocznie w twoich rękach.

– Wedle życzenia Waszej Eminencji – odpowiedział z uległością kapucyn.

Na myśl o intrydze, jaka miała się przewinąć pomiędzy jego palcami w Ratyzbonie, oczy kapucyna zapłonęły ogniem. Ten człowiek, który z łatwością przeglądał ludzi na wskroś i czytał ich myśli, nie mógł się spodziewać większej okazji w życiu. Zakpić sobie z niemieckich książąt – oto rozkoszne zadanie.

– A traktat z Gustawem Adolfem?

– Również w twoich rękach – wyrzekł Richelieu niecierpliwie. – Chodź! Czekają cię tygodnie, a może miesiące pobytu w Ratyzbonie. Musisz odjechać natychmiast, pozyskam dla ciebie wszelkie uprawnienia i pełnomocnictwa. Na szczęście Bulart de Leon znajduje się teraz w Lyonie na królewskim dworze. Musimy posłać po niego. Ale... ale...

Minister nie dokończył zdania. Pogrążył się w własnych myślach i smukłymi palcami wypukiwał takty na poręczy krzesła. Czynił to zawsze, kiedy znalazł się w obliczu groźnej chwili. Niewiadomo skąd, ale chwila ta musiała nadejść. I zostać tak samemu z plejadą ukrytych wrogów, czyhających na każdą okazję, by go utrącić. Rozstać się z człowiekiem, który aresztował marszałka d'Ornano, pokrzyżował plany Księcia Orleańskiego, wykrył spisek Chalais'u i był jawnie oskarżony o zamordowanie Buckinghama. Jak można się rozstać z takim człowiekiem w tej chwili?

Kiedy Richelieu zbudził się z zadumy, decyzja jego była już ustalona.

– Mój przyjacielu – raz jeszcze w jego oku błysnęło złowrogie światełko – wszystko polega na Ratyzbonie. Wszystko spoczywa w twoich rękach. Otrzymasz pełne prawo podpisywania w imieniu Francji. A co się tyczy spraw tutaj... no! W każdym razie jedna rzecz jest załatwiona. Przejdźmy do innych. Jaka jest twoja rada?

– Najprostsza w świecie. – Żywe oczy braciszka, pełne tryumfu, naraz zmalały, stały się myślące, przenikliwe. Spokojny, zimny głos nie zdradzał żadnych emocji. Na równi dobrze mógł głosić zasady teologii, nie ulegające dyspucie. – Jedna tylko osoba może pozbawić ministra teki.

– Oczywiście.

– A więc król nie może tego uczynić. Jeśli nieuniknione, Wasza Eminencja sam poda się do dymisji,

– Zrozumiałe.

– Król musi zrozumieć jasno, że jego siła polega wyłącznie na Waszej Eminencji.

– On to rozumie.

– Poza tym należy zawrzeć przyjazne stosunki z królową matką.

– Niemożliwe. Maria de Medici będzie mnie nienawidzić do końca życia.

– Należy wrogów miłować. Ona wiele może, ponieważ druga królowa jest z nią związana – królowa Francji. Austriaczka i Włoszka złączyły się przeciw Waszej Eminencji.

Iskra bólu przeszyła oczy Richelieugo. Upokorzył królowę Francji, poniżył Annę Austriaczkę – lecz kochał kobietę.

– Maria de Medici jest oparciem wszystkich moich wrogów – mówił powoli. – Ona chciałaby ujrzeć Gastona Orleańskiego na tronie. Jak długo ci żyją...

– Gaston to chciwy głupiec – wtrącił ojciec Józef – chciwy na łapówki.

– Ale nie Maria de Medici. Jej nie zdobędzie się niczym.

– Czego nie można zdobyć, trzeba złamać – zawyrokował kapucyn. Kardynał spojrzał na niego uważnie, wyczekująco. – Ludwik nie kocha swej matki, lecz się jej obawia. On nie kocha swej królowej, lecz jej słucha. Wasze bezpieczeństwo wymaga dwóch rzeczy: po pierwsze odsunąć królowę matkę od królowej Francji, po drugie uwolnić króla od wrogich Waszej Eminencji popleczników. Marię de Medici można skazać na banicję, lecz Annę Austriaczkę...

Richelieu podniósł głowę, wzrok jego był surowy.

– Na jakie plany ty się ważysz? – zapytał ostrym, gniewnym głosem – ktokolwiek mówi o królowej Francji...

– Mówi o kobiecie, Monseigneur – dokończył zakonnik i dodał – która was nienawidzi.

Na chwilę zapanowała grobowa cisza. Richelieu walczył ze sobą, ostatnie wyrazy zakłuły go boleśnie. Kardynał wiedział, że za tą poradą kryje się coś zdecydowanego, ostatecznego.

– Kobiety, która nienawidzi – powiedział smutnie – nie można łatwo udobruchać.

– Można ją jednak pozbawić możności szkodzenia, teraz lub później.

– Hę? – kardynał spojrzał od niechcenia na braciszka i na jedną chwilę utopił w nim wzrok. Później dał znak swej zgody. Inny człowiek byłby się zawahał, ale ojciec Józef wypełnił rozkaz.

– Wasza Eminencjo, przypadkowo zwrócono moją uwagę na królewski klasztor Benedyktynów w St. Saforin – mówił spokojnym głosem. – Przeorem tego klasztoru jest niejaki don Lawrence z rodziny Lynesów, idealny człowiek, bardzo dyskretny. Kiedy de Bassompierre był ambasadorem w Anglii, don Lawrence towarzyszył mu jako osobisty kapelan. To, jeśli Wasza Eminencja raczy sobie przypomnieć, miało miejsce przed zdobyciem La Rochelle, kiedy książę Buckingham jeszcze żył.

Na dźwięk tego nazwiska twarz Richelieugo pobladła. Przed nim zdawał się wyrastać duch Buckinghama. Elegancki, dumny i nierozważny człowiek, który skazywał na zatracenie wszystkich i wszystko, czego się dotknął. Minister zrobił ruch, jak gdyby egzorcyzmował zjawisko. Okropny wzrok, jakim przeszył ojca Józefa, zniewoliłby księcia do drżenia przed nim, lecz książę miałby coś do stracenia, ojciec Józef nie miał nic.

– Bądź ostrożny, mój przyjacielu – szepnął kardynał – nie lubię słuchać czczych domysłów...

– Monseigneur – odparł niewzruszonym głosem kapucyn – ja mam tylko fakty do ofiarowania. Jeśli człowiek mówi prawdę – reszta należy do Boga. Jeśli życzycie sobie bym milczał...

– Mów!

Ojciec Józef położył rękę na pliku zapisanych papierów w welinowej teczce.

– Wypowiadam tylko prawdę tu wypisaną. Domysły pozostawiam Waszej Eminencji. Imprimis don Lawrence jest przeorem w St. Saforin, gdzie znajduje się szkoła dla dzieci arystokracji wiejskiej. W tej szkole jest chłopczyk w wieku czterech lat. Przywiózł go tam przed rokiem lokaj, którego pan zostawił większą sumę pieniędzy na wychowanie dziecka i przyrzekł dowiadywać się o nim od czasu do czasu. Wszelkie wiadomości dotyczące chłopca są kierowane do pana Betsteina pod adresem jubilera przy Rue Gros w Paryżu.

Na ustach kardynała zaigrał uśmiech.

– Trzeba przyznać – zauważył z pewną ironią – że de Bassompierre troszczy się o owoce swych miłostek.

– Nie powiedziałem, że de Basompierre troszczy się o wszystkich – podkreślił kapucyn. – Stwierdzam tylko fakty, Wasza Eminencjo. Teraz muszę przypomnieć o innym wydarzeniu.

W nocy 8 października 1626 de Bassompierre, naówczas ambasador w Londynie, złożył potajemnie wizytę w pałacu Yorków, gdzie mieszkał książę Buckingham. „Udał się sam bez straży i świateł i pozostał przez długi czas rozmawiając z księciem.

Richelieu milczał przez chwilę, jak gdyby szukał znaczenia tych słów pomiędzy wierszami.

– Zbiór faktów, kochany ojcze Józefie, nie zdaję się mieć wielkiego związku.

Kapucyn przytaknął głową. – Niewątpliwie, Wasza Eminencjo. Lecz wróćmy do chłopca. Na spisie imię jego brzmi jako Raoul d'Aram. Pochodzenie nieznane. Na ubranku jego widniały pewne znaki, dzięki którym wyśledziliśmy, że chłopiec przybył z Aubain, wioski położonej w pobliżu królewskich lasów w Verrieres, przy południowej drodze do Wersalu.

– Wydajesz się być szczególnie zainteresowany tym chłopcem – przerwał minister.

– Zainteresowanie to, Monseigneur, posiada wyjątkowy podkład.

– Mów.

– W Aubain nazwisko d'Aram jest nieznane – ciągnął kapucyn. – Dowiedziałem się jednakże, że chłopcem opiekował się tam niejaki Thounenin z Dompt, który umarł rok temu. Przez krótki czas zajmowała się dzieckiem gospodyni Thounenina, lecz i ta wkrótce umarła. Po jej śmierci przywieziono malca do St. Saforin. Otóż ów Thounenin był dalekim krewnym

pani Chevreuse.

– A! – poruszył się kardynał i od tej chwili śledził bacznie słowa kapucyna. Wszak nie miał gorszego wroga nad Marię de Rohan, księżniczkę de Chevreuse, obecnie skazaną na przymusowy pobyt w jej majętności.

– Wasza Eminencja przypomni sobie może – mówił z naciskiem kapucyn, dobierając słów – jak około cztery lata temu Jej Królewska Mość zapadła ciężko na zdrowiu w Pałacu Wersalskim.

– Przypominam sobie najdokładniej. – Richelieu chłonął rozmowę. – Zachorowała na febrę, pielęgnując swego chorego męża. Zaraziła się od niego. Cierpiał ogromnie, lecz Bóg go oszczędził.

– By mógł dalej broić – dodał kapucyn. – Doskonale. Mam tylko jeszcze jedną rzecz do powiedzenia. Oznajmię Waszej Eminencji, a jeśli z tego wszystkiego da się wyciągnąć jakiś związek – pozostawiam to Waszej Eminencji. Pragnę przypomnieć dokładną datę tajnej schadzki w ogrodach w Amiens Jej Królewskiej Mości z księciem Buckinghamem. To wszystko, Monseigneur.

Marmurowa twarz Richelieugo nabrała gwałtownego wyrazu. Przez chwilę siedział bez ruchu. Naraz krew buchnęła mu do twarzy. Ważył słowo za słowem, wiązał je i teraz, kiedy posiadał klucz do braciszkowego splotu faktów, oniemiał. Wstał z fortela i zaczął mierzyć krokami posadzkę, coraz szybciej, coraz bardziej zdenerwowany, aż nagle skoczył do kapucyna.

– Ojcze, to jest nie do wiary! To jest niemożliwe!

– Nie wiem do czego Wasza Eminencja nawiązuje – odpowiedział spokojnie zakonnik.– Wiem tylko jedno i zapewniam Waszą Eminencję, że gdy mężczyzna lub kobieta... są należycie obsługiwani, wszystko jest możliwe, wszystko jest do wiary.

Richelieu machnął niecierpliwie ręką.

– To jest rzecz doniosłej wagi, bez retoryki, jeśli łaska!

Po ostrym, zgorzkniałym tonie można było poznać jak głęboko Richelieu był dotknięty.

– Przypominam sobie teraz. Madame de Chevreuse była w tym czasie niezwykle troskliwą pielęgniarką Jej Królewskiej Mości. Sama dopiero co po ciężkiej chorobie... ach! Gdyby to było prawdą, gdyby to było prawdą...

Stanął zapatrzony w obicie ściany. Palce jego zacisnęły się w pięści. Na twarzy odbijało się piekło tortur, jakie przechodził. Nagle obrócił się.

– Słuchaj! – zaczął głosem stanowczym. – Samo rzucenie podejrzenia, że dziecko należy do Jej Królewskiej Mości jest bluźnierstwem. Gorzej, to jest niemożliwością. Dziecko nie mogło być wywiezione bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi, nie mogło przyjść na świat tak tajemniczo!

Kapucyn chłodził podniecenie kardynała zimnymi jak stal wyrazami.

– Wasza Eminencjo, zważ! Wyciągnęliście pewne konkluzje z mych faktów. One nie są niemożliwością. Chevreuse jest bardzo zdolną i sprytną kobietą. Jasnym jest, co może wymyślić córka przeciętnego kupca ryb.

– Ba! Na królową tysiące oczu są zwrócone...

– Na które Chevreuse mogła wymyślić tysiące osłon. Poza tym Thounenin otrzymał dziecko z jej rąk; jego milczenie było zapłacone. Na łożu śmierci napisał kodycyl do testamentu, w którym stwierdził te fakty.

– Co? – kardynał obrzucił kapucyna zdumionym wzrokiem. – Taki testament istnieje?

– Tak, tak mnie przynajmniej poinformowano. Testament wykradziono z archiwum, wkrótce jednak wykryto go i zawieziono do Anglii na przechowanie. A teraz testament ten jest w drodze do nas – możliwe, że w tej chwili znajduje się już w Paryżu. Jeśli Wasza Eminencja jest dostatecznie zainteresowany całą tą sprawą, gotów jestem...

Richelieu dał znak zgody i usiadł ponownie w fotelu. Lekko ironiczny odcień w głosie ojca Józefa zachwycał go. Ten sekretarz był nie lada wyjątkiem w rodzie ludzkim. Znał swoją wartość i silnie się na niej opierał. Kardynał lubił takich ludzi – w życiu prywatnym.

– Jest pewna kobieta nazwiskiem Helena de Sirle, córka pewnego pana, który zginął pod La Rochelle. Kobieta bardzo zdolna i wielce Waszej Eminencji oddana. Czy Wasza Eminencja słyszał o niej?

Kardynał poruszył lekko brwiami. – Coś słyszałem o takiej osobie. Jak to było... mieszka sama... hm! Nie mogę sobie przypomnieć.

Dla ojca Józefa było jasnym, że kardynał nic nie zapomina.

– Mieszka sama w pałacu w Parku Montmorency, niedaleko Passy. Ma własne środki utrzymania. Posiada krewnych w Lotaryngii. Rzadko kiedy się gdzieś pokazuje, a jednak ma bardzo rozległe stosunki.

– W istocie – zawyrokował Richelieu, ukrywając lekkie zmieszanie – przy okazji może być taka kobieta bardzo użyteczną.

– Już nią jest – rzekł ojciec Józef. – Nie możemy dla celów takiego dokumentu stosować zwykłych środków. W Paryżu papiery będą jej doręczone. Oprócz tego ona się zajmie bliższymi szczegółami o dziecku w St. Saforin.

– Po co, dlaczego? – zapytał Richelieu.

– Na wypadek, gdybyśmy chcieli dziecko odebrać, a dowiedzieć się szczegółów od pewnego jegomościa, który odwiedzał chłopca w St. Saforin dwukrotnie. Jest on podejrzany o utrzymywanie stałej korespondencji z panią Chevreuse, poza tym jest przyjacielem Bassompierra. Niejaki pan abbé d'Herblay, w swoim czasie, jeśli się nie mylę, muszkieter.

– Aha! d'Herblay – jeden z Nierozłącznych – wtrącił Richelieu. – Przypominam sobie tego człowieka. Kiedy będziesz posiadał bardziej konkretne wiadomości?

– Posłaniec od mademoiselle de Sirle powinien przybyć tu dzisiaj, przyjedzie na pewno wieczorem – oświadczył ojciec Józef. – Przywiezie ze sobą wszystkie zdobyte dokumenty, a szczegóły poda nam ustnie.

Richelieu pokiwał głową.

– Może to wszystko jest możliwe – mówił jakby do siebie. – Bassompierre i Buckingham byli serdecznymi przyjaciółmi. On działał dla Buckinghama, a Chevreuse dla niej – hm! Masz rację, kiedy osoba jest należycie obsługiwana, wszystko jest możliwe... A... ktoś nadjeżdża...

Z dziedzińca dochodziły głosy witających głośno przybysza.

Minister zadzwonił na lokaja.

– Dowiedz się, kto przyjechał i sprowadź go tutaj.

Po upływie dwóch minut lokaj powrócił.

– Wasza Eminencjo, pan d'Artagnan, porucznik muszkieterów przybył z listami od dworu z Lyonu.

Lokaj wycofał się z pokoju. Richelieu lekko zakłopotany czekał. Zapukano do drzwi i d'Artagnan wszedł, zasalutował i stanął na baczność.

– A, pan d'Artagnan! Czujemy się szczęśliwi oglądając cię u nas – powitał gościa uprzejmie kardynał.

Muszkieter pokłonił się.

– Wasza Eminencja czyni mi wiele honoru. Ja jestem dumny z możności znalezienia się ponownie przy, osobie Waszej Eminencji.

– Zdaje mi się, ojcze Józefie – zwrócił się kardynał do zakonnika – że miałeś o coś zapytać pana d'Artagnana?

– Tak, w istocie. Czy nie spotkałeś, monsieur, w drodze niejakiego pana Connetansa?

– Nigdy nie słyszałem tego nazwiska – odpowiedział d'Artagnan – natomiast natknąłem się na umarłego na drodze kilka mil stąd.

– Umarłego? – zapytał kapucyn podniesionym głosem – proszę opisz mi go, jeśli łaska?

– Chętnie, monsieur. Nie był mi znany i najwidoczniej na krótko przed moim przybyciem był napadnięty przez bandytów i zabity. Koń jego stał obok, a że mój koń zdychał, skorzystałem z okazji i przybyłem na nim tutaj...

– Jego wygląd – przerwał kapucyn niecierpliwie.

– Człowiek wysoki, musiałem skrócić strzemiona jego siodła. Wyraz twarzy brutalny, brwi zrośnięte nad nosem. Już nic nie mogłem dla niego uczynić i pospieszyłem do Grenoble.

Widocznie ojciec Józef nie mógł się opanować, więc Richelieu przyszedł mu z pomocą.

– Dziękuję panu – rzekł kardynał z grzecznością, z którą na równi mógł był rozkazywać.

– Niewątpliwie jesteś pan na stanowisku przy dworze?

– Tak jest, Wasza Eminencjo. Mój oddział ma zaszczyt być przyboczną gwardią Jej Królewskiej Mości w Lyonie.

– Więc zobaczymy się wkrótce. Nie zatrzymujemy pana dłużej... dobranoc, monsieur!

D'Artagnan wyszedł. Kapucyn podniósł wielce zafrasowaną głowę.

– Mój człowiek... napadnięty przez rabusiów... ach, przeznaczenie nie łaskawe – zawołał.

Kardynał złożył przyjaźnie rękę na ramieniu ojca Józefa.

—Narzekasz na przeznaczenie? Ja zniewolę przeznaczenie do wyrzekania na mnie. Zapewniam cię.

– A więc, Monseigneur, uważasz, że moje doniesienia są warte zachodu?

– Wszystkie fakty są warte zainteresowania, – odpowiedział kardynał. – Nawet wynikające z nich komplikacje mogą być ciekawe, mój przyjacielu i ojcze! A propos, czy nie spostrzegłeś herbowego pierścienia na palcu d'Artagnana...

– Nie zauważyłem nic – wyznał ojciec Józef. – Byłem podniecony, Monseigneur. Pierścień z herbem, mówicie, czyim herbem?

Richelieu odpowiedział mu. Obydwaj spoglądali na siebie w milczeniu.

ROZDZIAŁ III

O wilku mowa, a wilk tuż

Po dostarczeniu listów d'Artagnan zwrócił się do hrabiego de Moreau, członka królewskiego dworu, którego opiece na czas pobytu w Grenoble został powierzony. De Moreau odprowadził muszkietera do własnej kwatery, ofiarował mu kanapę w swoim pokoju, a następnego dnia zaprowadził go i zaprosił na śniadanie do pobliskiej oberży. W każdym innym czasie ta uprzejmość gospodarza byłaby rycerzowi wielce na rękę, lecz nie tym razem. Chodziło mu o chwilę na osobności, by mógł wreszcie odczytać list, który nie dawał mu spokoju. Znalazł jednak chwilę, by spalić zalakowaną kopertę, która, jego zdaniem, zawierała tajemnicę Aramisa i do niego wyłącznie należała. Z listem rzecz przedstawiała się inaczej.

– Jego Królewska Mość i kardynał zamieszkali w hotelu des Lesdiguéres – rzekł de Moreau, kiedy kończyli puchary z winem. – Jeślibyś sobie życzył znaleźć się na królewskim przeglądzie rannym...

– Nie – przerwał d'Artagnan. – Wdzięczny ci jestem, mój przyjacielu, lecz muszę sobie odmówić tego zaszczytu na dzisiaj. Przez cały miesiąc nie zaznałem niczego prócz kładzenia się do łóżka i wstawania, przyglądałem się strojom, malowanym i pudrowanym twarzyczkom, mówię ci, istna klęska. Łudziłem się nadzieją, że nasz oddział pójdzie na wojnę, tymczasem zajęci jesteśmy tylko nadskakiwaniem dwom królowym i dygnitarzom dworu.

Moreau zaśmiał się serdecznie.

– W każdym razie jesteś w bajecznym towarzystwie.

– Jakżeż zazdrościłby ci stanowiska Bassompierre. Mówię zupełnie szczerze, należysz do szczęśliwców. Febra zapanowała w armii i przed upływem lata dowiemy się o jej fatalnych skutkach. A więc nie pójdziesz ze mną?

– Ani na chwilę – odpowiedział d'Artagnan. – Pokażę się tam później. Lecz proszę, nie krępuj się mną, jeśli cię obowiązek woła.

Moreau pożegnał go i wyszedł. W tej chwili grupa oficerów weszła do oberży. D'Artagnan zaklął siarczyście w duszy, a już diabli go brali, kiedy oficerowie usiedli przy sąsiednim stole. Poirytowany muszkieter zamówił drugą butelkę wina i postanowił intruzów przetrzymać. Jego umundurowanie zwracało na siebie powszechną uwagę, pozbawiając go tym samym chwili wolnej od wzroku ludzkiego. Ta okoliczność krępowała go i nie pozwalała mu na odczytanie listu, który w jego pojęciu miał wyjaśnić zagadkę nie rozwiązaną przez umierającego.

Wpatrując się bezmyślnie w puchar wina, mimo woli podsłuchał rozmowy sąsiadów. Jeden z oficerów przybył wprost z Lyonu do wojsk królewskich, trzej inni należeli do oddziału kardynała. Nie brak więc było okazji do plotek. D'Artagnan dowiedział się wielu nowości. Spodziewano się tu Bassompierre'a każdej chwili. Podobno marszałek nie mógł ścierpieć współkomendy Schomberga i Crequy'a, żalił się z tej racji kilkakrotnie królowi, ale bez wyników.

Intrygi zajmowały tu wybitne stanowisko.

Ktokolwiek się pokazał, podejrzewano go o różne zbrodnie polityczne. Źródłem tych intryg miała być Maria de Medici, która formalnie przeklinała Richelieuego za podbój Sabaudii. Obecnie czyniła, co było w jej mocy, by nie dopuścić do połączenia się królewskich wojsk z wojskami kardynała.

– Ba – zawyrokował jeden z kardynalistów – Włoszka pociesza się nadzieją, że Casale padnie, a wówczas całą winę zwali na Richelieugo i podburzy naród przeciwko niemu. Stawiam dziesięć do jednego, że ta dama pociągnie ku sobie Bassompierre'a, a później obróci się przeciw niemu.

– Jeżeli ma ładną damę dworu, która by pociągała, to może jej się to uda – zauważył inny, wywołując ogólny śmiech. – A właściwie, moi panowie, co macie tu do powiedzenia o królowej matce, hę?

– Wiele hałasu – odpowiedział jeszcze inny. – Słyszałem, że Jego Królewska Mość posłał po matkę, by, sprowadziwszy ją tutaj, doprowadzić do zgody pomiędzy nią i Jego Eminencją. Nie zdaje mi się to jednak możliwe przy Marillacu w Lyonie. Ten ananas nienawidzi czerwonego koloru...

– Wybaczcie mi panowie – odezwał się oficer królewski z godnością. – De Marillac jest wysokim dygnitarzem Francji. Nie życzyłbym sobie być świadkiem drastycznych uwag o nim, tym bardziej że jest spokrewniony z moją rodziną.

– Prosimy o przebaczenie Constant. – Nie wiedzieliśmy o tym – zawołali oficerowie chórem. Wszyscy byli w dobrym humorze i żadnemu nie uśmiechał się pojedynek. Jeden z oficerów podniósł puchar do góry i zawołał: – Zdrowie królewskiej rodziny, ministrów, dygnitarzy i kogo by nie było we Francji! Potępienie austriackiemu wrogowi!

– Którego Austriaka masz na myśli – zawołał inny śmiecąc się głośno – wroga we Francji, czy wroga Austrii?

D'Artagnan poruszył groźnie wąsami.

– Mniejsza o to którego, panowie – odpowiedział wznoszący toast – wszystko drańst wo, nie masz różnicy.

– Różnica wielka, Montforge! – zawołał inny, śmiejąc się. – Ufny w naszego dobrego ojca Józefa, dowódcę kampanii paryskich w czasie, kiedy my prowadzimy kampanię w polu, nie znajdujesz może różnicy, my jednak ją znamy. Ja wam powiem, panowie! Tak! Ja powiem! Nie wierzę ani odrobinę plotce o intrydze „cesarskich", kursującej na dworze.

– Diabła tam nie wierzysz – roześmiał się Montforge. Był to wysoki, barczysty człowiek, elegancko ubrany i uzbrojony. – Założę się, że obecny tu Constant poprze moje zdanie. Wszak dopiero co przyjechał z Lyonu. Jakże mój przyjacielu?! Azali nie jest prawdą, że Austriak we Francji jest groźniejszym od wszystkich Austriaków we Włoszech i całym cesarstwie?

– Zdaje się, drodzy panowie, że nie rozumiem pytania – odpowiedział królewski oficer, nieco zafrasowany. – Przecież nie mamy Austriaków we Francji.

D'Artagnan poruszył się niecierpliwie. Oczy jego szeroko się rozwarły.

– Brednie! – zawołał Montforge z nonszalancją. – Nie udawaj naiwnisia, wolność słowa. Wiesz przecie dobrze, że Austriaczka w Luwrze walczy przeciwko nam...

Nie dokończył. Zawartość pełnego kielicha d'Artagnana zalała mu oczy, twarz i piękny mundur. Zaskoczony zaklął siarczyście i, zerwawszy się na równe nogi, ocierał oczy.

D'Artagnan pokłonił się wyniośle.

– Czołem mości panowie! – wypowiedział głosem surowym. – Cóż za niemiłe zajście. Zasnąłem nad winem i wydało mi się, że ktoś się ośmielił wyrazić obelżywie o Jej Królewskiej Mości...

– Niech cię diabli wezmą! – wrzasnął Montforge. – Dość tych drwin. Ty przeklęty łotrzyku gaskoński. Czy to ma być dowcip?

D'Artagnan podkręcił wąsa i zmierzył kawalera okiem znawcy.

– Właśnie to, co mi się wydało. A wiesz, że zaczynam wierzyć w prawdziwość przypuszczeń.

W zimnym wzroku Gaskończyka Montforge wyczytał prawdę. Zbladł i pokłonił się.

– A więc dobrze, monsieur. O ile się nie mylę, należysz do muszkieterów. Nie będziesz oczywiście wzdrygał się dać mi satysfakcję.

– Z całego serca, monsieur! – Odpowiedział d'Artagnan. – Jestem d'Artagnan, porucznik w kompanii pana Remburèsa. Czy mogę mieć zaszczyt dowiedzenia się, z kim mam przyjemność.

Muszkieter nie mógł nie zauważyć, że jego nazwisko wywarło na obecnych wrażenie.

– To jest hrabia de Montforge – rzekł inny oficer, przedstawiając kolejno wszystkich. – Czy masz tu przyjaciół, monsieur?

– Niewątpliwie – powiedział d'Artagnan – że jednak przybyłem dopiero wczoraj wieczorem, jestem w kłopocie do kogo panów skierować. Ja... ja...

W tej chwili wybałuszył oczy i jak gdyby naraz oniemiał. Cofnął się dwa kroki wstecz, otworzył usta szeroko.

Do oberży wszedł rosły, barczysty mężczyzna. Zakurzone obuwie, płaszcz i nakrycie głowy wskazywały na człowieka, który odbył długą podróż. Przybyły, nie zwracając zrazu uwagi na nikogo, rzucił kapelusz i płaszcz na pobliską ławkę. Tuman kurzu wzbił się w powietrze.

– Wina! – zawołał głosem, który na pewno przeniknął każdy zakątek oberży. – Wina! Jadła! – powtórzył. – Mamże paść z głodu i przemęczenia dlatego, że wy kundle nie możecie... Na miłość boską, czy ja śnię? czy...

Wzrok jego padł w tej chwili na grupę oficerów przy stole. Tam stał d'Artagnan oniemiały i przerażony jak gdyby patrzył na ducha. Usta barczystego przybysza rozwarły się jak wrota. Jego oczy zdawały się nie dowierzać sobie. W chwili kiedy d'Artagnan zamierzał przeżegnać się, olbrzym skoczył do niego i wcisnął go mocno w swoje ramiona.

– D'Artagnan!

– Portos!

Na chwilę zapomniano o wszystkim; o zaszłej przed minutą scysji, o grupie oficerów, o poirytowanym Montforge'u.

Portos żywy czy umarły, był jak najmniej spodziewaną przez d'Artagnana tu osobą. Wszak w roku ubiegłym du Vallon porzucił służbę dla małżeństwa z ładną sumką 800 000 liwrów pani Coquenard i zniknął z widowni. Lecz oto dziś stał kurzem pokryty olbrzym ze łzami w oczach na widok d'Artaghana – bynajmniej nie duch. Stał w całej okazałości swego goliatowego wzrostu.

Łzy toczyły się również z oczu d'Artagnana, ale nie tyle ze wzruszenia, ile z uścisku Portosa, który o mało nie zgniótł go na śmierć.

– Aczkolwiek – zauważył hrabia Montforge zgryźliwie – ta scena jest bardzo wzruszająca, nie dotyczy ona jednakże przed chwilą wszczętej dyskusji.

Portos uwolnił d'Artagnana z uścisku i obrócił się do mówiącego. Z jego dumnej twarzy biła pogarda.

– I któż to jest – zapytał – ten robak, starający się ukąsić nas w tej chwili.

– To jest, mój przyjacielu – odpowiedział d'Artagnan – hrabia Montforge, któremu nie podobał się mój sposób wypowiadania uwag i który z tej racji zaszczyci mnie lekcją swej metody fechtunku. Panowie, jestem nad wyraz szczęśliwy, że mogę przedstawić im mego przyjaciela, pana du Vallona, dawniej z kompanii pana de Treville'a. Zobowiążecie mnie wielce przez omówienie z nim warunków spotkania, gdyż sam rad bym pogwarzyć z nim, zanim się stawię przed obliczem Jego Królewskiej Mości. Czas nagli.

Mimo że Portos bardzo oszołomiony był spotkaniem przyjaciela, szybko się przecież w sytuacji zorientował i, pokłoniwszy się z gracją, przyjął na siebie rolę sekundanta.

– Do waszych usług, panowie! Przykro mi niewymownie, że lewą rękę mam obezwładnioną ciosem noża łotrzyka, lecz...

– Sprawa dotyczy mnie i pana Montforge'a – nie dał mu dokończyć d'Artagnan i siadł ponownie przed butelką z winem.

„Do diabła! – myślał w duszy. – Czyż nie znajdę okazji do przeczytania listu? Zresztą gdy uczynię to teraz, dam dowód małego zainteresowania się pojedynkiem".

Obejrzał się wokół. Portos zbliżył się do towarzyszów Montforge'a i omawiał z nimi warunki pojedynku. Montforge popijał wino i z żalem spoglądał na zaplamiony, elegancki żabot. D'Artagnan dobył list z kieszeni i czytał pięknym pismem Aramisa wypisany adres:

„Mlle Hèlene de Sirle

Parc de Montmorency".

„Hm! Parc de Montmorency, to może być wszędzie – zauważył d'Artagnan – musi to jednak być ów przy Passy; w takim razie Aramis jest w Paryżu. Vivadiou! Czegoś się dowiedziałem".

Muszkieter rozłożył list, zanim jednak zdołał rzucić okiem na pismo, ciężkie kroki zbliżającego się Portosa przeszkodziły mu.

– Natychmiast wszyscy na placówkę obok! Uzgodniono!

– Uzgodniono! – rzekł d'Artagnan i, westchnąwszy, schował listy do kieszeni. – Doprawdy – dopowiedział sobie – jeżeli diable przeszkody nie skończą się, będę musiał kogoś uśmiercić.

Sześciu ludzi opuściło oberżę w milczeniu. O jakie sto jardów od oberży znajdowało się kolegium. Za tylną ścianą zakładu ciągnęła się ulica du Dauphin, naprzeciw której zieleniał uroczy, mały park i ogród. W tym miejscu witano owacyjnie Marię de Medici, kiedy triumfalnie przejeżdżała przez Grenoble w drodze do Paryża na ślub z Henrykiem IV. O tej godzinie park był pusty i tylko nieliczni przechodnie snuli się po ulicy.

– Cudowne miejsce – zawołał Portos. – W obrębie miasta, a niby nie w mieście, nieprawdaż, drogi d'Artagnan? Doskonale strzyżony trawnik, niezrównane oparcie dla nóg.

Grupa zatrzymała się. D'Artagnan zwrócił się do hrabiego.

– Drogi panie hrabio! Przykro byłoby mi niewymownie, gdyby moje przesłyszenie się było powodem starcia. Możliwe, że nie miałeś zamiaru obrazić damy, u której mam zaszczyt być na służbie.

– Wyrazy uznania dla pańskiej grzeczności – odpowiedział Montforge szorstko. – To pan słyszałeś, co słyszałeś. Coś uczynił, toś uczynił. Do diabła z grzecznością. Baczność!

– Baczność, panowie – powtórzył Portos.

– Chwileczkę – wtrącił oficer królewski, spoglądając nerwowo to na d'Artagnana, to na Montforge'a. – Muszę przestrzec panów, bo gdyby to nieporozumienie można było załatwić w inny sposób, byłoby daleko lepiej. Zapominacie o edykcie przeciw pojedynkom, a uwagi pana Montforge'a...

– Nie mam nic więcej do powiedzenia – przerwał hrabia gniewnie. – Pan d'Artagnan wypróżnił kielich wina na moją twarz, a to wystarczy.

– Doskonale! Świetnie! Via crucis, via crucis! – zawołał Portos dumny ze swej szczupłej znajomości łaciny. Baczność, panowie!

Dwa rapiery się spotkały. Dwaj szermierze odpierali wzajemnie ataki, drażnili się, próbowali sił wzajemnie.

W czasie poniekąd mechanicznego wykonywania ruchów obrony przed nacierającym Montforgem, szczególne poczucie świadomości opanowało duszę d'Artagnana. Możliwe, że nieoczekiwane spotkanie z Portosem podnieciło jego wyobraźnię; a może jego ruchliwy umysł został zaskoczony mistrzowskimi cięciami Monforge'a. Przeciwnik znał doskonale francuską i włoską szkołę pojedynku. D'Artagnan nie słyszał nigdy nazwiska hrabiego, ani wiedział o nim, jako o mistrzu szpady. To miało dla niego w tej chwili szczególne znaczenie.

Ponad skrzyżowaną stalą widział d'Artagnan dwoje czarnych błyszczących oczu, odważnych jak jego własne, dumnych, jak jego własne i pewnych siebie jak jego własne; w

tych oczach czytał nienawiść ku sobie. Wzrok Montforge'a pałał chęcią zakłucia muszkietera na śmierć. Nie było tam pardonu. Hrabia chciał zabić, i d'Artagnan doskonale o tym wiedział. W pamięci stanęli mu żywo Jussac, hrabia de Wardes, a przede wszystkim groźny, nieugięty Rocheport.

Drugi Rocheport – przemknęło mu się przez myśl – ktoś, z kim trzeba się liczyć, komu wbrew woli nie wolno folgować. Jedynie zabić. – Zabij tego człowieka, zabij nieubłaganie! – dzwonił mu w uszach głos przestrogi.

D'Artagnan walczył obrócony tyłem do ulicy. Jego cała uwaga była skupiona na przeciwniku; nie widział nic poza parą czarnych, złowrogich oczu, nie słyszał nic, prócz dźwięku częstych zderzeń stali. Wilgotna jeszcze od rosy trawa wydawała rozkoszną woń pod ciężkimi stąpnięciami butów. Rozgniewany wreszcie nienawistnym wzrokiem hrabiego, d'Artagnan zaniechał obrony i przeszedł do ataku. Natarł tak bezlitośnie, szybko i energicznie, że Montforge zdumiał się i zatrwożył. Musiał ustępować pola. Naraz jego rapier uleciał piruetami w powietrze, a sam się poślizgnął i padł na trawę jak długi. D'Artagnan wstrzymał cięcie i cofnął się.

– Kiedy będziesz gotów, monsieur... – rzekł spokojnym, pewnym siebie głosem.

Montforge przykląkł na jednym kolanie i rozglądał się. Nikt nie pospieszył, by podać mu rapier, on sam się po niego nie kwapił. D'Artagnan spojrzał zdziwiony na grupę świadków. Portos stal oniemiały – istny obraz przerażenia, inni formalnie sparaliżowani. Żaden z nich nie patrzył na niego, ani na Montforge'a, wzrok ich utopiony był w innym punkcie. W punkcie, który najwidoczniej ich obezwładnił.

– Czort! – zawołał d'Artagnan i obrócił się.

– Nie osobiście, w każdym razie – odpowiedział *glos* męski z tyłu. Przechodzień skręcił z ulicy do parku w towarzystwie dwóch rycerzy.

Był nim Richelieu.

– Wyznam, moi panowie – rzekł Richelieu, obrzucając oficerów lodowatym wzrokiem – żeście mi sprawili nie lada niespodziankę tego pięknego poranka. Montforge – d'Artagnan – Constant.

Kardynał zatrzymał wzrok na Portosie, na pół rozpoznając olbrzyma.

Portos pokłonił się.

– Du Vallon, Wasza Eminencjo, ostatnio z kompanii pana Treville'a.

– A – przytaknął kardynał – przypominam sobie pana.

Portos pobladł na dźwięk tych znamiennych słów. Montforge powstał, dobył z kieszeni chusteczkę i ocierał nią pot z twarzy.

– Wasza Eminencjo – zwrócił się do kardynała – błagam byś uniewinnił tych panów. Wina spoczywa wyłącznie na mnie, gdyż ja wyzwałem pana d'Artagnana.

„Proszę – mówił do siebie d'Artagnan, patrząc na Montforge'a z zachwytem – mógłbym pokochać tego człowieka, gdyby mnie tak nie nienawidził".

– Tak? – odpowiedział Richelieu zimno.– Każdy z was pewnie myślał o przeciwniku jako o wrogu Francji, nieprawdaż panowie?

D'Artagnan pochylił głowę.

– W istocie, Monseigneur.

– Wasza Eminencja odgadł prawdę – potwierdził Montforge; jego ciemna twarz pobladła nieco. Nikt tak dobrze jak on nie wiedział, jak groźnym był Richelieu, kiedy zaczynał sobie pokpiwać.

Na chwilę zapanowała cisza. Kardynał przypatrzył się winowajcom kolejno. Wreszcie przemówił głosem powolnym, ponurym, jak gdyby zajście nie mogło pójść w niepamięć.

– Podobno sprawiedliwość, moi panowie, jest ślepa. Moim życzeniem jest, byście podali sobie dłonie i sprawę zakończyli.

Ogólne zdziwienie powitało słowa kardynała.

„Tak! – pomyślał d'Artagnan z szybkością błyskawicy – Nasz poczciwy kardynał, nie wieszając nas, chowa coś dla siebie w zanadrzu". Wsunąwszy rapier do pochwy, muszkieter zwrócił się z wyciągniętą dłonią do Montforge'a.

– Pozwól, monsieur – rzekł z uśmiechem. – Ten pan jest naszym przełożonym w randze, skoro jest ministrem. Przewyższa nas inteligencją, gdyż jest kardynałem. A już niewątpliwie rozumem stoi wyżej od nas, skoro daje nam praktyczną radę, która niestety nam w głowach nie zaświtała. Na słowo, monsieur, uważam, żeśmy powinni iść za jego radą,

– Z całego serca – zawołał Montforge i potrząsnął mocno ręką d'Artagnana. Spojrzenie jednak, jakie rzucił przeciwnikowi, zadawało kłam jego słowom.

– Doskonale, moi panowie! – zakończył Richelieu, po czym zwrócił się do hrabiego.

– Panie de Montforge, pragnę cię widzieć w swym gabinecie za dziesięć minut, jeśliś łaskaw. D'Artagnan, czy mogę zapytać, kiedy pan wracasz do Lyonu?

– Nie wiem, Wasza Eminencjo. Nie stawałem jeszcze przed Jego Królewską Mością.

– Jeżeli więc będziesz łaskaw stawić się u mnie za godzinę – powiedział kardynał – będę bardzo szczęśliwy, znalazłszy okazję do rozmowy z waszmością.

D'Artagnan pokłonił się z elegancją.

Skoro tylko kardynał odszedł, Montforge zbliżył się do d'Artagnana, który poprawił na sobie mundur, i rzekł:

– Monsieur, wierzę, że będę miał przyjemność ponownego spotkania z panem w przyszłości?

Na twarzy d'Artagnana pojawił się uśmiech, który tak wiele uroku dodawał jego rycerskiemu licu.

– Ależ naturalnie, monsieur – zostawimy to przeznaczeniu.

Pocieszam się jedynie, że nie odcierpisz pan otwartego przyznania się do winy.

Montforge wzruszył ramionami, jak gdyby uwaga była nie na miejscu.

– A więc – rzekł i pokłonił się – do zobaczenia się znowu.

D'Artagnan zauważył, że zapowiedź Montforge'a nie była czczym przyrzeczeniem.

– Dokąd? – zapytał Portos, kiedy wyszli na ulicę.

– Do oberży, pardieu! – odpowiedział d'Artagnan. W każdym razie mamy godzinę dla siebie. Jak widzę, stary druhu, czerwony minister przypomina cię sobie, co?

– Niestety, niech go czarci porwą. – Portos zaklął, podkręcając wąsa. – Na pewno sobie przypomina tę małą scenkę na drodze pod Rochelle, hę? Chodźmy—więc jesteś tu z królem? Zdawało mi się, że twój oddział był w Lyonie przy dworze?

D'Artagnan zagwizdał wesoło. – Tak myślałeś? I któż to natchnął cię taką myślą? Ciekaw jestem bardzo. Ostrożnie, ostrożnie – przestrzegał się w duszy i dopowiedział głośno. – To jest... przyjechałem tu wczoraj w nocy z listami. Skoro rozmówię się z Jego Eminencją, dowiesz się o mych planach na przyszłość. A cóż z tobą, azali życie małżeńskie straciło już urok? Pewnie wstąpisz ponownie do wojska, skoroś tu przybył. A ta rana – podarunek, od kogo?

– Od diabła. – Portos rzekł poważnie. – Aha, masz tu swoją chusteczkę, pewnieś ją upuścił na widok Jego Eminencji. Podniosłem ją.

– Chusteczkę? Jeszczem w życiu takiego sprzętu nie posiadał. – D'Artagnan wziął chusteczkę do ręki i oglądał ją bacznie, Portos klepał go po ramieniu poufale.

– Imasz się starych kawałów Aramisa. Ja szybko rozpoznaję damską chusteczkę; przyjacielu. Wierzaj mi, piękny monogram, pozwól niech mu się przypatrzę.

– Idź do diabła – zaśmiał się d'Artagnan, wchodząc do oberży. Chusteczkę odrzucił niedbale; spostrzegł jednak na niej coś, co nasunęło mu pewne myśli.

Przypomniał sobie, że Montforge ocierał twarz chusteczką. Na znalezionej widniał monogram „H. de S" – inicjały Heleny de Sirle. Montforge upuścił tę chusteczkę – a więc setki domysłów.

Zbył się ich szybko, kiedy przypomniał sobie ważniejszą rzecz – nieczytany list w kieszeni.

Portos, cały zakurzony, udał się przede wszystkim do studni. Wprawdzie łaknął rozmowy z przyjacielem, ale nie mógł przezwyciężyć wstrętu do brudu, więc zostawił d'Artagnana samego, by w międzyczasie zamówił wino. Korzystając z chwilowej samotności, muszkieter wyciągnął list z kieszeni i czytał:

„Droga Pani! Okaziciel niniejszego listu jest przyjacielem, godnym zaufania. Otrzymałem okropne wiadomości i jestem chory. W międzyczasie mój przyjaciel stanie do twych usług, tak jak ja bym to uczynił, mając zaszczyt być obecnym przy Tobie.

d'Herblay".

– Tak! – D'Artagnan schował list do pewnego stopnia zawiedziony. – Nie dowiedziałem się niczego. Kto jest tym przyjacielem Aramisa, od którego ów łotrzyk list odebrał. Ach! pierścień! Byłbym głupcem pokazać się z nim przed kardynałem. Vivadiou! Ba, wszak, miałem go na palcu wczoraj – głupstwo, pewnie nie zauważył.

Mimo to zmienił się nieco wyraz jego twarzy, kiedy wkładał pierścionek do kieszeni. Przypomniał sobie dokładnie, że wczoraj, gdy stanął przed kardynałem i ojcem Józefem pierścień miał na palcu. – Cóż za głupiec ze mnie.

Coś mu szeptało do ucha, że rozmowa, jaką miał mieć z kardynałem, potoczy się na temat zabitego szpiega. Portos wszedł ciężkimi krokami, pochwycił kielich wina i wychylił go duszkiem; kiedy usiadł, ławka pod nim zatrzeszczała.

– A niechże cię uściskam, d'Artagnan! – zawołał zadowolony. – Jesteśmy razem, zupełnie jak za starych, dobrych czasów. Od rana wino i szabla i całonocna jazda poza nami. Czemu, u diabła, spadłeś tak nisko? Kurier pocztowy, ty, porucznik, wozisz listy?

– Kurier do króla z listami od dwóch królowych.

– To mi wyjaśnia sprawę dostatecznie. A nasz szlachetny Atos – gdzie przebywa?

– W Lyonie. Wiele mówi o wystąpieniu ze służby, pija hiszpańskie wino jak zwykle i ma diabelskie szczęście w grze w kości. Jeżeliś wiedział, że jesteśmy w Lyonie z dworem, czemu żeś dobrodzieju nie wstąpił nas odwiedzić?

To pytanie zmieszało Portosa. Wychylił drugi kielich. D'Artagnan począł przyglądać mu się baczniej, nie dając mu jednakże poznać tego po sobie.

– Nie bawiłem w Lyonie nawet dziesięciu minut – powiedział kolos. Zamówił więcej wina i jadło. – Posłuchaj, towarzyszu! W zeszłym tygodniu przyjechałem do Paryża. Madame du Vallon zamierza nabyć posiadłość w Pikardii i tam się udała? A przybyłem do Paryża w celu załatwienia jej interesów. I pomyśl tylko, co mnie tam spotkało!

– Na pewno nie awanturka miłosna. Mąż ośmiuset tysięcy liwrów! – zaśmiał się d'Artagnan. Teraz był ostrożny; był pewny, że Portos nie ufa mu we wszystkim, nie jest szczery w swych wyznaniach. Ta okoliczność zdziwiła go i jednocześnie nakazywała ostrożność.

– Ależ nie, co innego – zostałem obrabowany – oświadczył Portos, czerwieniąc się ze złości – obrabowany! Trzech ludzi mnie napadło. Zarzucili mi pętlicę na szyję i skrępowali! mnie. Jednego kopnąłem w głowę i czułem, że mózg mu wyskoczył, kopnąłem i drugiego – padł trupem. Tylko trzeci, ach ten trzeci! Skończony szubrawiec! Czarnobrewy łotr! Co przypuszczasz, że on zrobił. Wskoczył mi na plecy i chciał mnie; zamordować nożem! Prawda, że rozdarł mi tylko ramię, ale upływ krwi i wyczerpanie spowodowały, żem stracił przytomność. Okradł mnie i uciekł.

– Nie do Grenoble, chyba – zawołał d'Artagnan.

– Właśnie, zgadłeś. Słuchaj! Szczęśliwym trafem tej samej nocy widziałem tego łotra wyjeżdżającego z Paryża. Wskoczyłem na konia i popędziłem za nim. Mam pieniądze, rozumiesz mnie, pędziłem za nim jak oszalały; koń padł pode mną. Dostałem innego. Mila za milą, cal za calem zbliżałem się do niego. W pięć minut po nim wjechałem do Lyonu, na

słowo, to prawda. Miast zatrzymać się tam, przeklęty szatan zmienił konia i ruszył: dalej w chwili, kiedy ja przybyłem do poczty. Mój koń był wyczerpany, nie mogłem nabyć innego. Po wielkich staraniach zdobyłem jakiegoś zdechlaka, który mnie z trudem tu dowlókł. Ten człowiek jest tutaj. Musisz mi dopomóc w odszukaniu go.

– Z całego serca – powiedział d'Artagnan – któż to taki?

– Nie wiem.. Wysoki, z twarzą opryszka. Czarne brwi zrastały mu się nad nosem. Co? Widziałeś go?

D'Artagnan dopytywał się:

– Czarne brwi zrastały się... Czy jechał na plamistym koniu? Czy ubranie jego było ciemnogranatowe lub czarne, naszywane srebrem?

Portos zerwał się z ławki. – Ty go znasz? Chodź! Prowadź mnie do niego! Wstawaj!

– On nie żyje – rzekł d'Artagnan. – Siadaj towarzyszu, twój człowiek nie żyje. Powinieneś go był widzieć na drodze, gdyż ja przejeżdżałem tamtędy na krótko przed tobą. Umarł na moich rękach...

– Pardieu! Nic nie widziałem! – zawołał Portos i siadł na ławce zrozpaczony. Miły Boże jestem zrujnowany, zrujnowany! I co ja teraz powiem Aramisowi?!

ROZDZIAŁ IV

Marszałek przyjeżdża, porucznik odjeżdża

– A więc widziałeś Aramisa? – zapytał szybko d'Artagnan.

Portos połknął ślinę i spojrzał dziko na Gaskończyka.

– Jestem idiota – wymówił niezgrabnie. – Powiedziałem za wiele. Przyrzekłem...

– Myślę, mój kochany Portosie – rzekł d'Artagnan zimno – że dawniej byliśmy szczersi ze sobą i nigdy nie słyszałeś mnie wyrzekającego na twoją zbytnią otwartość względem mnie. Ma foi! Jeżeli nie masz do mnie zaufania...

Portos zaczął kląć niemiłosiernie.

– Na miłość wszystkich świętych daj mi nieco czasu! – wołał zrozpaczony. – Mój przyjacielu, nie rozumiesz mnie! Słuchaj, spotkałem Aramisa w Paryżu. Znalazłem go tam w okropnym stanie ducha. Ten człowiek znajdował się na dnie rozpaczy, mówił o samobójstwie... Aramis! Wyobraź sobie! Był ponury nie do opisania. Nie wiem dokładnie, co było przyczyną tego.

– Myślę, że wiesz – pomyślał d'Artagnan, a głośno: czyżby?

– No – Portos zaczął komponować – Aramis dał mi kopertę z pieniędzmi dla... sumę pieniędzy, jaką zebrał dla pewnej damy, właściwie nie wiem co tam było. Przyrzekłem dostarczyć to jej. Zmusił mnie do przysięgi, że nie wypowiem jej imienia...

D'Artagnan zaśmiał się. Spostrzegł, że olbrzym był w istocie zakłopotany, ponieważ nie mógł otwarcie wypowiedzieć, co miał na końcu języka. Muszkieter zmiękł.

– I rabusie zabrali pieniądze, hę? – zapytał – nic więcej?

– Nie. To było złoto w rulonach – ciągnął Portos, lecz w tej chwili się zarumienił. – Cały kłopot, że ja nie wiem ile tego było. Napadli mnie wkrótce po rozstaniu się z Aramisem.

– Aramis nie był ranny, kiedy rozstawałeś się z nim?

– On? Ranny? – Portos patrzył na d'Artagnana. Bynajmniej, chyba, że na duchu.

Przekonany, że uniknął dalszych pytań Portos zabrał się do potraw, ustawionych przed nim.

D'Artagnan pogwizdywał z cicha. Teraz dopiero zaczął domyślać się wielu rzeczy. A więc: Aramis otrzymał list od Marii Michon, którego treść wywarła na nim piorunujące wrażenie. Natychmiast wysłał Portosa do panny de Sirle – lecz nie z pieniędzmi, ale z listem. Portos został napadnięty, obrabowany i w pojęciu atakujących uśmiercony. Następnie zaatakowano Aramisa, zraniono go i obrabowano. Wreszcie wysłano do Grenoble szpiega, który do miejsca nie dotarł. A jednak Portos wciąż jeszcze go okłamywał. Dobrze więc, nie prędko otrzyma list z powrotem. Co to za sieć intryg, do której Aramis wciągnął tego olbrzyma o sercu dziecka? D'Artagnan zawrzał gniewem. Mógł Aramis sam zajmować się podejrzanymi sprawami, nie wolno mu przecież było wciągać prostodusznego, uczciwego Portosa.

– Powiedz mi wszystko cokolwiek wiesz o tym człowieku, który umarł na drodze w twoich ramionach – rzekł Portos. Powiedz mi, błagam cię, czyś odebrał od niego rulon złota?

– Nie starałem się szukać żadnych pieniędzy – odpowiedział d'Artagnan sucho. Ponieważ Portos uporczywie ukrywał prawdę i nic nie wspominał o liście, czym mniej mówił tym lepiej. Aramis niewątpliwie wciągnął towarzysza do jakiegoś spisku, a ponieważ Portos jak najmniej nadawał się do takich celów, lepiej będzie go stamtąd wydobyć.

D'Artagnan opowiedział wszystkie szczegóły spotkania umierającego na drodze, o koniu zabitego i o swym przyjeździe do Grenoble. Zupełnie tak samo, jak to mówił Richelieumu. Słysząc to, Portos wpadł w rozpacz. Ponieważ sam nie spotkał ani umarłego, ani zdychającego konia d'Artagnana, wysuwał nowy wniosek.

– Po twoim odjeździe rabusie na pewno wrócili do swojej ofiary – mówił zrozpaczony. Okradli go, trupa wrzucili do rzeki, a twego konia zabrali ze sobą. Ach, przeklęte zbóje! Gdybym miał was w swoich rękach skręciłbym wam karki! Mój przyjacielu, jestem zrujnowany.

– Dlaczego? – zapytał d'Artagnan.

– Ponieważ kobieta miała powierzyć pewną misję mnie w zastępstwie Aramisa. Przysiągłem, że dowiozę pieniądze do niej, przyjmę od niej zlecenie i wykonam je. A teraz, teraz jestem zgubiony.

– Wręcz przeciwnie – powiedział d'Artagnan. – Jesteś uratowany.

– Uratowany? – Portos spojrzał na niego osłupiały. – W jaki sposób? Co masz na myśli?

– Jedz – jedz – pij i uzbrój się w cierpliwość przyjacielu – odpowiedział d'Artagnan wskazując na misy, pełne jadła.

Zgłodniały Portos posłuchał rady przyjaciela i potrawy zaczęły znikać ze stołu. Kapłony, kaczki, wspaniałe kiełbaski, dzięki którym Grenoble zasłynęło we Francji, torty i inne przysmaki, nie pomijając butelek win ginęły w czeluści jego żołądka. W międzyczasie d'Artagnan rozumował głośno:

– Nie wahaj się nie ufać mi w zupełności mój przyjacielu, nie ma ku temu najmniejszej potrzeby. Może ja więcej wiem o tym wszystkim, aniżeli ty przypuszczasz, więcej aniżeli sam wiesz. Wyobraź sobie naszego przyjaciela Aramisa, obecnie wielce oddanego na usługach znakomitego człowieka, jego przyjaciela – marszałka Francji... czy rozumiesz mnie?

– A! A! – zawołał Portos zdziwiony. Więc ty wiesz o tym? Więc Aramis pisał do ciebie? On mnie przestrzegał, bym nie wspominał imienia Bassompierre'a...

– Więc nie wspominaj – przerwał d'Artagnan – podkręcając wąsa. – Aramis otrzymał list od swej kochanki, który wyprowadził go z równowagi i pchnął na krawędź przepaści. Wszystkie inne sprawy wobec tej jednej nie mają znaczenia. Nic go poza tym nie obchodzi. Nie może znaleźć sobie miejsca – mówi o samobójstwie, zamierza wstąpić do klasztoru, gdzie po złożeniu ślubów przystąpiłby do opisu...

– Na moją duszę, to jego własne słowa! – nie dał dokończyć Portos. Mimo wszystko d'Artagnan postanowił atakować dalej.

– W takich nastrojach Aramis napotyka ciebie. Zna on doskonale twoje walory, twoją odwagę i spokój w obliczu najgroźniejszych chwil. Zna on również twoją skromność, jako też twoje zdecydowane stanowisko względem spraw nieczystych, no i twoje niewysuwanie swej osoby na pierwszy plan.

Portos odrywał w tej chwili smaczne mięso z piersi kaczki i wkładając je do ust kiwał głową na znak potwierdzenia słów przyjaciela. Posiadając wszystkie zalety oprócz skromności Portos lubował się w obrazowaniu swego ego w wianku tych wszystkich cnót.

– Czy Aramis wspomniałby słówko o tych wszystkich zaletach? – ciągnął dalej d'Artagnan. O, nie. Tego by nie uczynił, gdyż wówczas kazałbyś mu szukać bardziej śmiałego i mądrzejszego od siebie człowieka. W zamian prosił cię tylko o małą przysługę, a mianowicie o doręczenie pieniędzy jego damie i przyjęcie poleceń, jakie ona może mieć do dania. Żegna się z tobą i zostawia cię samego. W kilka chwil później zostajesz napadnięty, zwalony na ziemię i obrabowany. Dlaczego? Ponieważ byłeś szpiegowany. Podejrzewano, że tobie właśnie pieniądze te wręczono. W rzeczywistości nie prędzej odjechałeś, dopóki nie napadnięto na Aramisa, nie zmasakrowano go i nie zrewidowano. Czy rozumiesz mnie teraz?

Portos spojrzał szeroko rozwartymi oczyma na przyjaciela, że jednak usta miał pełne jadła, nie mógł nic wyrzec i tylko przytakiwał głową na dowód, że zrozumiał.

– Zabiłeś dwóch opryszków. Trzeci uniknął tego losu i przekonany, że jesteś uśmiercony, zaatakował Aramisa. Ten trzeci właśnie udał się do Grenoble. On miał dobre konie, rozstawione wszędzie, gdzie było ich trzeba, on był znany, gdziekolwiek się pokazał...

– Kto, kto do trzystu diabłów powiedział ci to wszystko? – zawołał Portos osłupiały.

– Poprawiam się, mój przyjacielu. Ten człowiek nie uciekał przed tobą bynajmniej, wręcz przeciwnie, on spieszył do innego, by doręczyć mu pieniądze, które zabrał tobie i list, ukradziony Aramisowi, rozumiesz? I jedno i drugie było bardzo ważne. Pędził jak szalony, nie zatrzymywał się nigdzie, by się pożywić, przeskakiwał z konia na koń, mijał pagórek za pagórkiem, nie oglądał się za siebie. W Lyonie pytał o drogę do Grenoble, wskoczył na innego wypoczętego konia i pognał dalej. Dlaczego? Ponieważ spieszył z łupem do pewnego człowieka tutaj.

– Co? – Portos, który przed chwilą wysączył butelkę wina, nie odejmując jej od ust, rozsiadł się wygodnie i patrzył osłupiałym wzrokiem na muszkietera. – Człowieka – tutaj? Przywiózł to wszystko tu? – pardieu! nie myślałem o tym. Kto ci to mówił?

– Człowiek, do którego on to wszystko wiózł – mówił d'Artagnan przekonywająco. Gdym przyjechał wczoraj późnym wieczorem, pytał mnie o gońca, którego z niecierpliwością oczekiwał. Opisał mi tego człowieka i ja właśnie rozpoznałem w tym opisie zabitego...

Na czoło Portosa wystąpiły nabrzmiałe żyły. Jego płuca ciężko pracowały, twarz zapaliła się czerwienią. Ścisnął dłoń w kułak i walnął w stół z taką siłą, że połowa talerzy rozpadła się w kawałki.

– Jego nazwisko? – wrzasnął. – Kto jest ten człowiek? Ja się z nim rozprawię! Jego nazwisko, dawaj jego nazwisko!

– Armand kardynał de Richelieu.

Nazwisko to zamroziło Portosa w bryłę lodu. Nie ruszył się z miejsca, jego wzrok był utopiony w d'Artagnanie. Krew odpływała z twarzy.

– Ach, ach! – mówił wolno jakby do siebie. – To niemożliwe. To znaczyłoby... znaczyłoby...

– Właśnie – powiedział d'Artagnan. – To znaczyłoby, że zabity był szpiegiem, który bez wątpienia podejrzewał cię o udział w spisku przeciwko kardynałowi.

– Widzę to teraz jasno – powiedział Portos i opuścił głowę na piersi. – Jestem zgubiony.

– Jakże to?

Portos zamilkł na chwilę, zerknął okiem na wino. Wciąż jeszcze brakło mu dowcipu, by spowiadać się ze wszystkiego i uzyskać duchową absolucję od przyjaciela.

– Pieniądze – mówił, wycierając usta. – Bez nich nie mogę stawić się przed damą... to był mój list ambasadorski. Teraz nie mogę zająć miejsca Aramisa. Słyszałeś, co kardynał mówił do mnie, mój kochany d'Artagnanie. Ton w jakim on przemówił do mnie... Tak, jego szpiedzy śledzili mnie. W istocie, on mnie dobrze pamięta. Zostaw mnie przyjacielu, zostaw... ja jestem zgubiony. Mogę być aresztowany każdej chwili i odstawiony do królewskiego zamku – Mont St. Michel, Bastylii, Vincennes.

Grobowy nastrój, groza i rozpacz Portosa wywołały uśmiech na twarzy d'Artagnana.

– Mój kochany Portosie – rzekł niedbale, kosztując jego wina – czy ja cię kiedykolwiek oszukałem, czy karmiłem cię fałszywymi nadziejami albo kiedykolwiek opuściłem?

– Ty jesteś duszą honoru i przyjaźni – powiedział tonem nieszczęśliwego Portos.

– Czyś kiedykolwiek doznał zawodu z powodu niedotrzymania przeze mnie danego przyrzeczenia?

– Rzecz nie do pomyślenia.

– Dobrze więc. Błagam cię nie trać nadziei. Przyrzekam ci, że w tej sprawie i od tej chwili nie jesteś już sam. Ja muszę iść zaraz do kardynała. Poproszę go o urlop, dawno mi się należący, urlop dla siebie i Atosa. Twój szpieg nie żyje, twoje złoto znikneło, w zamian zyskałeś dwóch przyjaciół. Aramis leży ranny w Paryżu, tak powiedział mi napadnięty przy

drodze przed śmiercią. Powiedział mi twoje nazwisko także, jako żeś umarły, i Aramisa jako że ranny. Widzisz więc, zresztą przysięgam ci na honor kawalera, że w Paryżu zyskamy dostęp do tej damy, zdobędziemy jej zaufanie i spełnimy wszystko, cokolwiek spoczywało na twoich barkach. Wierzysz mi?

Będąc w posiadaniu listu, d'Artagnan mógł z powodzeniem przyrzeczenia dotrzymać. Portos spojrzał z niedowierzaniem na d'Artagnana.

– D'Artagnan, ty byś uczynił to dla mnie?

– Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich! – odpowiedział d'Artagnan. – Ty uczyniłbyś tyle dla mnie. Nieprawdaż?!

Portos zerwał się na równe nogi i chwycił przyjaciela w swe objęcia. W oczach jego zalśniły łzy.

– Przyjacielu, mój przyjacielu! – wołał wzruszony. – Żądaj ode mnie wszystkiego – jam twój – cokolwiek zechcesz – wszystko.

D'Artagnan uwolnił się z niebezpiecznego uścisku.

– Proszę cię więc, zostań tu aż do mego powrotu od Jego Eminencji – mówił chłodno. Jeżeli uzyskam urlop, możliwe, że zaraz wyjedziemy. Chce ci się spać?

– Nic mi się nie chce, skórom odnalazł ciebie. Właściwie potrzebuję wiele, ale mogę się obejść. Idź z Bogiem, druhu i wracaj. Czekam na ciebie.

D'Artagnan porwał płaszcz i pospieszył do pałacu.

Idąc, odczuwał pewien niepokój, lecz i zadowolenie; zadowolenie z powodu Aramisa, gdyż był przekonany, że dociekł prawdy. Dręczył go niepokój z powodu wizyty u kardynała. Był pewny, że Richelieu będzie próbował wydobyć z niego więcej szczegółów o zabitym. Klął na siebie w duszy za nieostrożność, jakiej się dopuścił wczoraj z pierścieniem na palcu. Mniejsza o to, jakie znaczenie ów pierścień mógł mieć, nie wolno mu było pokazywać go kardynałowi.

– Co za diabelska matnia! – rozumował w drodze do Hotelu des Lesdiguéres. Aramis jest ranny. Portos otrzymuje list do niejakiej Heleny de Sirle i odbierają mu go. Ja przejmuję list i papiery Aramisa od umarłego człowieka. Hrabia de Montforge, najwidoczniej kardynalista, gubi chusteczkę z monogramem tej samej damy. Richelieu zamiast ukarać winnych pojedynku, nakazuje przeciwnikom zostać przyjaciółmi i wzywa ich do swego gabinetu. Zaiste, cała ta sprawa wejdzie na bardzo osobliwe tory.

Kiedy zbliżał się do bram pałacu, minął go szybko jeździec, żegnając go kiwnięciem ręki. Był to Montforge.

Gdy Muszkieter stanął przed Richelieum zastał tam również i ojca Józefa. W pierwszej chwili przeszedł go zimny dreszcz, gdyż wydało mu się, że wzrok obydwu padł na jego lewą rękę, na której nosił pierścień. Wbrew jego przewidywaniom, kardynał powitał go uprzejmie. Po chwili Richelieu wstał, ujął go pod ramię i podszedł z nim do okna. Wskazując palcem na dziedziniec, minister przemówił:

– Spójrz, panie d'Artagnan i powiedz mi, co tam widzisz.

D'Artagnan spojrzał we wskazanym kierunku.

– Wasza Eminencjo, widzę żołnierzy na warcie, widzę pachołków czyszczących prześliczny rynsztunek i widzę wspaniałego konia – ach, co za wierzchowiec. Zaprawdę królewski koń.

D'Artagnan był zachwycony zwierzęciem. Richelieu przycisnął jego ramię i odpowiedział:

– Ten koń należy do ciebie panie d'Artagnan. Chodź pragnę cię o coś zapytać. Czy przypadkowo nie pamiętasz jak to się stało, żeś otrzymał rangę porucznika?

D'Artagnan spojrzał na kardynała badawczo.

– Oczywiście, Monseigneur. Z waszych własnych rąk. Uprzejmość, za którą nie przestałem wam być wdzięczny.

– Za dziesięć minut idę do króla – rzekł Richelieu. – Idę prosić o coś więcej dla ciebie.

– Dla mnie, Wasza Eminencjo? – zawahał się d'Artagnan. Richelieu spojrzał na niego z uśmiechem, dostrzegł jednakże pewną ostrożność ukrytą pod zachwytem d'Artagnana.

– Oczywiście z twoją zgodą. Jeżeli...

Nie dokończył mówić. Głos kardynała zamarł. Wzrok jego padł przez okno na dziedziniec. Jego cała uwaga skupiła się na tym, co się tam działo. Gwar głosów docierał do pokoju. Okrzyki, pozdrowienia i powitania mieszały się ze stukiem ciężkich butów żołnierskich. D'Artagnan w ślad za kardynałem dojrzał wyciągniętą linię gwardzistów na baczność przed grupą strojnych kawalerów z nieco otyłym, pięknie uzbrojonym rycerzem na czele. Oficerowie i żołnierze salutowali przed nim, ludność witała go serdecznie. Gwardziści kardynała prezentowali broń.

– Ojcze Józefie, zbliż się – zawołał Richelieu. Szary sekretarz już był podchodził do okna, a teraz zaśmiał się krótko i rzucił okiem na dziedziniec.

– A więc, Bassompierre przyjeżdża. Monseigneur nie potrzebujecie się spieszyć teraz.

Richelieu cofnął się od okna, uczyniwszy gest ręką zwrócił się do zakonnika:

– Proszę, zostaw mnie samego z panem d'Artagnanem.

Kiedy pozostali sami, kardynał odwrócił się od okna i spojrzał na d'Artagnana.

– Panie d'Artagnan, przypuszczam, że zastanawiasz się teraz nad moją misją u króla. Czy poproszę go o rozkaz aresztowania, czy o rangę kapitańską? Wyznaj szczerze. Znamy się przecież nie od dzisiaj.

– Jestem cały do waszych usług, Eminencjo – powiedział d'Artagnan z dobrze udaną grzecznością. – Jeżelim nie uczynił nic, by zasłużyć sobie na celę więzienną, tym bardziej nie zdziałałem nic, by dostąpić szczytnej rangi kapitana.

Richelieu wpatrzył się w niego na chwilę.

– Bez wybiegów, monsieur. Jesteśmy sami. Czy mamy być szczerzy ze sobą?

– Jak najchętniej, jeśli łaska Waszej Eminencji.

– Za twoją zgodą proszę króla o bezterminowy urlop dla ciebie, a to w celu spełnienia pewnej misji, jaką pragnę cię obarczyć. Czy przyjmiesz?

D'Artagnan pochylił się nisko, częściowo by pokryć uczucie ulgi, jakiego doznał.

– Uważam to sobie za wielki honor, gdyż służąc Waszej Eminencji, służę królowi...

– Z całym uznaniem dla rycerskości – przerwał mu kardynał. – Znam cię od dawna d'Artagnan. Potrzebuję człowieka, który jest oddany Jego Królewskiej Mości, kawalera finezji i dyskrecji. Mogę śmiało rzec, że potrzebuję przysługi raczej od mego wroga aniżeli od przyjaciela.

– W takim razie nie mogę mieć przyjemności służenia wam, Monseigneur – odpowiedział d'Artagnan. – Nie jestem waszym wrogiem. Gdybym nawet sobie tego życzył, nie mógłbym sięgać tak wysoko.

Wzrok kardynała przenikał go badawczo.

– Jest ci prawdopodobnie wiadomym, że madame Chevreuse została skazana na wygnanie z Paryża do swej majętności w Dampierre. Świadom pewnie jesteś faktu, że wielu rzeczy nie można wypowiedzieć słowami, że książęta są bardzo ambitni, że życie doczesne jest nikłe, że ci, którzy są bogaci i wielcy dziś, jutro mogą się znaleźć zakuci w łańcuchy.

D'Artagnan drżał na całym ciele, głównie z powodu tonu, w jakim Richelieu przemawiał.

– Tak przynajmniej ogólnie mówią, Wasza Eminencjo – odpowiedział d'Artagnan z zachowaniem całej ostrożności.

– Pismo, które w tej chwili czeka na podpis króla, ma być doręczone według adresu w Lyonie – ciągnął Richelieu.

D'Artagnan zauważył, że kardynał tego dnia był w niebezpiecznym humorze. Ten człowiek, który panował nad Francją, nie zawsze mógł panować nad sobą samym. Ba, zdarzyło się nawet, że raz wymierzył policzek kapitanowi swej straży honorowej, a kiedyś chwycił kanclerza Francji za gardło.

– Z Lyonu udasz się do Dampierre do madame Chevreuse, której dostarczysz pewne wiadomości ustne. Po tym wszystkim będziesz wolny – jeśli oczywiście podejmiesz się misji w ogóle.

D'Artagnan pokłonił się nisko. Nieokreślony ton, w jakim kardynał wypowiedział ostatnie słowa, nie mógł ujść uwagi muszkietera.

– Jestem bardzo szczęśliwy, że mogę służyć Waszej Eminencji – rzekł przyciszonym głosem.

– Muszę cię jednak ostrzec, d'Artagnan – cedził słowa – że pojawienie się przed madame Chevreuse nie będzie pozbawione pewnego niebezpieczeństwa dla twej osoby.

Sarkastyczny uśmiech zaigrał na ustach d'Artagnana.

– Niebezpieczeństwo, Monseigneur, grozić będzie tym, którzy staną na mej drodze.

– Ot, Gaskończyk – zaśmiał się Richelieu krótko. – A jednak większe niebezpieczeństwo grozi dostawcy listu, list bowiem jest przeznaczony dla kobiety tak wyjątkowo pięknej, że kto raz ją ujrzy, kocha się w niej od pierwszego spojrzenia.

Uwaga dotknęła d'Artagnana boleśnie.

– Od tego ryzyka, Monseigneur, jesteśmy na równi zabezpieczni. Wy z powodu stroju, a ja z powodu ciężkiej straty, której nie przebolałem.

Kardynał zamilkł na chwilę. Możliwe, że i on nie zapomniał Konstancji de Bonacieux. Możliwe, że nie zapomniał swej Milady, która jako wykonawczyni jego woli, otruła nieszczęśliwą Konstancję i rozdarła serce d'Artagnana. Po chwili kardynał podniósł głowę, skierował się do biurka, i pisał. Kilka skreślonych wierszy posypał piaskiem, złożył i zalakował. Następnie list zaadresował i wręczył muszkieterowi.

– Oto list – sprawa osobista, za którą będę ci wdzięczny.

– Zaszczyt to dla mnie, Monseigneur. A wiadomość ustna?

Kardynał mówił głosem pewnym siebie, nie pozbawionym brzmienia dzikości.

– Możesz powiedzieć, żeś otrzymał tę wiadomość z moich ust, powiedz to jednak w ten sposób: Jego Królewska Mość dowiedział się o wszystkim i postanowił zająć się dzieckiem osobiście. Zechce pani formalnie zaniemówić na okres 6 miesięcy. Wdanie się pani w korespondencję lub przyjmowanie gości narazi ją na przykre następstwa. To wszystko. Proszę, powtórz wiadomość, monsieur.

D'Artagnan powtórzył słówko za słówkiem, lecz nie bez cienia pewnego zdziwienia. Richelieu obserwował go bacznie i uśmiechnął się, jak gdyby z tego wrażenia na d'Artagnanie był zadowolony.

– Myślisz może, monsieur, że ostrzegam. Nie, ja grożę.

Oświadczenie to zgadzało się z prawdą. Richelieu nie ostrzegał nigdy. Jego zamiary wywoływały różne domysły dopiero po uzyskanym wyniku.

– Pardon, Wasza Eminencjo, nie myślę o takich rzeczach. Powierzone mi zadania przechodzą bezpośrednio z uszu do ust z pominięciem mózgu. Z chwilą wypowiedzenia ich zostają zapomniane.

– Bardzo dobrze, monsieur. Kiedy pan wyruszysz?

– Natychmiast po otrzymaniu pism.

– Będą gotowe za pięć minut. Poczekaj na dole. Osiodłany koń staje się twoją własnością w dowód mej wdzięczności. Czy jedziesz sam?

– Z przyjacielem, Monseigneur, z panem du Vallonem, byłym towarzyszem – muszkieterem. Spotkałem go dziś rano.

– Ach, tak... Portos, nieprawdaż – Richelieu uśmiechnął się, uśmiech ten jednak przeszył d'Artagnana grozą. Niezawodnie będziesz chciał pomówić z panem de Bassompierrem, który przybył przed chwilą z frontu?

– Ja, Monseigneur? – d'Artagnan spojrzał na kardynała z niekłamanym zdziwieniem. – Bynajmniej. Nie jestem jednym z towarzyszów pana Bassompierre'a. W rzeczywistości znam go bardzo mało.

– W istocie? – niby zdziwił się kardynał i zakończył: Dobrze więc, to wszystko, monsieur.

D'Artagnan pokłonił się i wyszedł. Kiedy znalazł się już za drzwiami drżał na całym ciele, jak gdyby uniknął przed chwilą wielkiego niebezpieczeństwa.

Zaledwie zniknął za drzwiami, do pokoju wszedł ojciec Józef.

– Wasza Eminencjo, Jego Królewska Mość oczekuje wąs. Golą go w tej chwili.

– Dobrze. A Bassompierre?

– Zdaje mi się, że odjeżdża zaraz do Paryża.

– Czy tak? Mój przyjacielu i ojcze – Richelieu poklepał zakonnika po ramieniu przyjaźnie – w kilku minutach dokonałem dwóch rzeczy. Przede wszystkim Chevreuse jest wyeliminowana z gry na kilka miesięcy. Mniejsza o to, co się dziać może.

– W takim razie, Wasza Eminencjo, dokonałeś cudu.

– Po wtóre, niebezpieczny młody człowiek, który wczoraj nosił pierścień na palcu, a nie miał go dziś, nie będzie nam więcej przeszkadzał.

– Tak? – kapucyn spojrzał na kardynała powątpiewająco. – On jest lepszym politykiem, aniżeli Montforge. Może zbiec.

– W takim wypadku wpadnie w miejsce, z którego nie ma już ucieczki. Doglądnij, by zaopatrzono go w pieniądze i doręczono mu papiery.

Ojciec Józef oniemiał z powodu wspaniałomyślności kardynała, zwłaszcza, że w ostatnich czasach krucho było z pieniędzmi. Richelieu dwukrotnie podejmował Marion de l'Orne, znaną heterę Paryża. Podejmował ją z niesłychaną rozrzutnością, a nawet po drugiej wizycie posłał jej przez swego lokaja Bournaisa pełną sakiewkę złota. Hetera rozrzuciła pieniądze lekkomyślnie po ulicy i opowiadała każdemu o tym wydarzeniu.

W drodze na dziedziniec d'Artagnan przystanął na chwilę, by rzucić; okiem na wręczony mu list. Muszkieter był całą sprawą wielce zaciekawiony. Adres na liście brzmiał: „Hèléne de Sirle, Parc du Montmorency".

Oszołomiony pospieszył do konia, którego trzymał za uzdę pachołek, i skoczył na siodło, nie rzuciwszy okiem na wspaniałego wierzchowca. Czekając na pismo, pozwolił myślom lawirować po głowie. Jedno było dla niego jasne, to że jego misja kończyła się z chwilą doręczenia tego listu.

„Wobec tego – rozmyślał – gdy tę misję wykonam, spieszę z pomocą Portosowi. A kardynał posyła mnie do samej miejscowości i do tej samej osoby, do której poleciła jechać królowa! Ach, gdyby tu był teraz Atos ze swym zaradnym umysłem... Jakiż ze mnie głupiec!"

Przyszło mu wówczas na myśl, że skoro Atos znajduje się w Lyonie, cóż łatwiejszego, jak go odwiedzić i zabrać ze sobą. Myśl podziałała na umysł d'Artagnana tak zbawiennie, że nie mógł doczekać się chwili, by zabrać Portosa i wyjechać.

W tej chwili okropne wspomnienie obudziło się w jego głowie. Zabrzmiały w uszach słowa umierającego:

„A ponad to wszystko ona – ona sama!"

Ona sama! Dziecko w klasztorze w St. Saforin pod opieką nieznanego Betsteina. Aramis i Bassompierre, i spisek... Co to wszystko miało właściwie znaczyć? Skąd wzięło się dziecko? Byłoż to dziecko, o którym Richelieu mówił w swej wiadomości dla madame Chevreuse? Na myśl o Chevreuse doznał d'Artagnan pewnej ulgi. A, a! – zawołał on półgłosem, wycierając krople potu z powiek. A więc sprawa dotyczy pani Chevreuse, a nie królowej... Świetnie! A oto moje pisma nadchodzą.

Sekretarz zbliżył się do niego, wręczył mu listy i sakiewkę.

D’Artagnan zawrócił konia, podkręcił wąsa i za chwilę lotne zwierzę unosiło go z bram miasta, gdzie straż mu salutowała. D’Artagnan odsalutował i w dwie minuty później był już w drodze do Portosa.

ROZDZIAŁ V

Z czterech listów wysłanych dochodzi jeden

W chwili, kiedy d'Artagnan i Portos opuszczali Grenoble, sprawy Francji znajdowały się w różnych rękach i warunkach. Cesarscy zdobyli krwawym bojem Mantuę, a Casale było w stanie oblężenia. Z drugiej strony armia posuwała się aż po Sabaudię i Piemont, co wywołało tym większą nienawiść królowej matki do Richelieugo.

Król i kardynał opuścili armię dla ważnego powodu – szerzącej się tam febry. Ludwik XIII, na ogół człowiek chorowity, przybył do Grenoble, by wypocząć i podleczyć się. Zamierzał wrócić na front, widocznym jednak było, że raczej połączy się z dworem. Królowe były w Lyonie, a Paryż sam się rządził.

Bassompierre zawitał do Grenoble bardziej w roli tryumfującego Cezara, aniżeli znękanego generała. Zastał króla w ubieralni i tam został przyjęty radośnie w chwili, kiedy fryzjer zakręcał loki Jego Królewskiej Mości.

– Ha! Nasz ukochany marszałek porzucił rozkosze wojny, by się z nami połączyć – zawołał król w chwili, kiedy Bassompierre przykląkł, by ucałować rękę władcy. – Franciszku, proszę odpowiedz mi na pytanie. Słyszałem, że wjeżdżając do Madrytu jako nasz ambasador, uczyniłeś to na mule. Prawda li to jest?

– Prawda, Najjaśniejszy Panie, szczera prawda! – Bassompierre zaśmiał się serdecznie. Marszałek był przystojnym mężczyzną, wyglądał wspaniale w jasnej, lśniącej zbroi. Jego serdeczny, dźwięczny śmiech, jego swoboda w obejściu i szczerość wniosły do pokoju odświeżające tchnienie poranka. – Muł był najczystszej krwi andaluzyjskiej, bezcenny podarek od samego cesarza. Muł, który wycisnąłby łzy zazdrości z oczu biskupa...

– Proszę, proszę – przerwał mu król – nie myślałem, że dożyję dnia, w którym osioł dosiądzie muła!

Obecni zaśmiali się głośno. Bassompierre pochylił się prze królem w eleganckim ukłonie.

– Prawda, rzeczywista prawda – potwierdził marszałek. Ale wszystko jest możliwe u pomazańców nieba. Wszak w dniu wjazdu do Madrytu zastępowałem Waszą Królewską Mość.

Zręczna odpowiedź marszałka zachwyciła króla. Ludwik wybuchnął głośnym śmiechem, uniemożliwiając fryzjerowi dalszą pracę około włosów.

– Franciszku, twój język jest jedynym wśród tysięcy, kocham cię za to – wołał król niezwykle rozbawiony. – Mówią, że chętniej straciłbyś przyjaciela, aniżeli dobry dowcip. Uważaj, Franciszku, nie strać przyjaciela we mnie.

– Niech Bóg mnie zachowa, Wasza Królewska Mość – rzekł Bassompierre z uczuciem przywiązania – gdyż wówczas musiałbym szukać przyjaciela w Jego Eminencji.

– Niemożliwe, Betstein, niemożliwe! – zaśmiał się król serdecznie, na dowód pewnej poufałości wymawiając nazwisko Bassompierre'a po niemiecku. – Nasz dobry kardynał nie pielęgnuje pięknych pań na swym dworze.

– W takim razie – odpalił dowcipny lotaryńczyk – nie pozostaje nam nic innego, jak wracać obydwom do Lyonu, Najjaśniejszy Panie, i zażyć nieco swobody.

Ludwik chrząknął na tę nagłą propozycję. Nie było tajemnicą, że król zakochał się po uszy w pannie de Hautefort, pierwszej damie dworu. Była to jednak miłość czysta, bezinteresowna. Oparłszy się o tył fotela, Ludwik znów powierzył fryzurę włosów balwierzowi. Król był

wcale przystojny, na swój sposób mały barbarzyńca, posiadał bardzo nierówny temperament. Rósł na duchu jedynie w towarzystwie Bassompierre'a.

Człowiek jedyny, który mógł żartować z królem jak z równym sobie, ruszył pomiędzy otoczenie. Jego majestatyczna postać dominowała nad wszystkimi, nawet nad nieprzyjaciółmi. A tych miał sporą garstkę. Jego towarzyska ogłada, siła charakteru, która tak bardzo sprzyjała powodzeniu zarówno u kobiet jak i przy kartach lub w pełnieniu czynności ambasadora, zapewniały mu pierwszorzędne świadectwo u zazdrosnych wrogów.

Jeden z tych wrogów, któremu przypadła do gustu dowcipna wymiana zdań kawalera z królem, postanowił zrównać się z marszałkiem i uznał chwilę za odpowiednią do podjęcia wątku intrygi.

– Więc, monsieur – zwrócił się do Bassompierre'a – wolno nam sądzić, żeś wstąpił w szranki partii Guise'ów?

– Co takiego? – zapytał zdziwiony marszałek. Ja? Cóż nasuwa ci takie przypuszczenia? Pytający wzruszył ramionami.

– Dlaczego nie. Sądząc z objęć, w których trzymałeś siostrę Guisego, księżniczkę de Conti?...

– Ha! – zaśmiał się głośno i serdecznie Bassompierre. – Nonsens, drogi panie, nonsens! Zapewniam cię, że w daleko gorętszym uścisku trzymałem twoją żonę – i bynajmniej nie kocham ciebie więcej z tej racji!

Król zatrząsł się od śmiechu, obecni zawtórowali mu głośno. W tej chwili zapowiedziano przybycie kardynała. Richelieu wszedł, powitał zebranych wyniośle, ucałował rękę króla i pozdrowił gorąco Bassompierre'a.

Król dopiero teraz przypomniał sobie d'Artagnana i zapytał o niego.

– Już odjechał, sire – odpowiedział kardynał. W chwili, kiedy otrzymał listy dla dworu, dosiadł konia i pomknął.

– Jaka szkoda, żem go nie widział! – wtrącił się do rozmowy Bassompierre. – Lubię tego młodzieńca. Jest gwałtowny, odważny i dobry oficer. A przede wszystkim jest wierny.

– Jak widzę doceniasz więcej wiernych mężczyzn, aniżeli wierne kobiety, hę? – żartował król.

– Wierzaj, Najjaśniejszy Panie, jest to równo warte dla mnie! – Bassompierre zmrużył śmiejące się oczy i zakręcił wypomadowane końce wąsów. Następnie, spotkawszy się ze wzrokiem kardynała, wyczuł zbliżający się atak. Nieco zdetonowany zamilkł. Czym mógł obrazić ministra, nie umiał sobie wytłumaczyć.

– Pan marszałek nosi zbroję – rzekł kardynał gładko. – Oczywiście, sire, pan Bassompierre nie obawia się ataku wrogów tutaj.

Myśl niemałej wagi. Bassompierre był za wytrawnym dworzaninem, by cośkolwiek po sobie pokazać. Król podniósł się z fotela i ujął go pod ramię poufale.

– Słuchaj Betstein, ufam, że nie masz takich obaw w naszej obecności.

– Niestety, sire... drżę przed morderstwem – przyznał Bassompierre, człowiek, który nie obawiał się wyzwania kardynała czy kogokolwiek innego. Słowo poruszyło obecnych. Ręka króla opadła, jego twarz zmieniła się. Otoczenie skamieniało, a w oczach Richelieugo przebijały tryumf z ironią. Tym słowem Bassompierre zawyrokował o swej przyszłości – tak przynajmniej mniemali wszyscy.

– Morderstwo! – niby echo powtórzył Ludwik. – W naszej obecności? Wytłumacz się, monsieur!

Marszałek pokłonił się.

– Sire, Jego Eminencja jak zwykle tak i teraz ma zupełną rację. Najjaśniejszy Panie, przypatrz się temu pancerzowi; wykonany na własne zamówienie, noszę go dziś po raz pierwszy na sobie. Zauważ, sire, złotą inkrustację, niesłychanie lekką wagę i nadzwyczajną moc stali!

– W istocie, jest wspaniały – odpowiedział król chłodno. Wątpię, czy posiadamy taki w naszej własnej zbrojowni. Ale, Franciszku, jeżeli masz wątpliwości co do mego zabezpieczenia...

Jeszcze jedna chwila, a Bassompierre byłby wydalony ze służby, skazany na przymusowy pobyt w swym majątku i zrujnowany. Zapobiegł złemu z rozwagą.

– Wybacz, Najjaśniejszy Panie – lecz źle mnie rozumiecie. Morderstwo jest w istocie moją największą obawą, ale nie o mnie tu chodzi. Nałożyłem ten pancerz w nadziei, że wy, sire, raczycie przyjąć go ode mnie w darze, będziecie go nosić i uspokoicie moje obawy o was. Ten kawałek stali jest zbyt piękny dla mnie – należeć jedynie może do syna Henryka IV.

Tu Bassompierre odpiął szybko sprzączki.

Król był zaskoczony niespodzianką, zachwycał się podarkiem niby dziecko zabawką. Mimo że pancerz był nieco wielki dla Ludwika XIII, źle nie leżał i król nalegał, by opięto go na nim natychmiast. A że przy tym świetnie w nim wyglądał, humor królewski nie pozostawiał nic do życzenia. Bassompierre skorzystał z dobrej chwili i prosił króla o pozwolenie na wyjazd do Paryża.

– Czyń jak ci się podoba, Betstein, jak ci się podoba. Lecz, rozkazuję ci – dodał król – powiedzieć nam jej imię.

– Jej imię, sire, jest Chaillot – odrzekł marszałek – podając nazwę wspaniałej posiadłości, którą niedawno nabył. – Jadę, by budować sobie dom w błogiej nadziei, że Wasza Królewska Mość raczy zaszczycić me progi swoją obecnością.

– Pamiętaj byś wybudował swój dom na skale, mój drogi marszałku – powiedział oschle Richelieu.

Bassompierre uśmiechnął się.

– Monseigneur, dom ten będzie wybudowany na kamieniu – odparł dowcipem nawiązując do swego nazwiska.

– Kiedy mężczyzna buduje dom – mówił kardynał powoli – następnym jego krokiem jest wprowadzenie w dom żony. Pan przypadkowo nie myśli jeszcze o małżeństwie?

W tych słowach Bassompierre wyczuł, że jego potajemne małżeństwo jest kardynałowi znane. Nad żartem przeszedł do porządku, a w dziesięć minut później otrzymał od króla urlop i oddalił się.

– Jeżeli pozostanę tu dłużej, jestem zgubiony – mówił do sekretarza. – Konie, szybko! Jedziemy do Paryża.

Nie pomyślał ani na chwilę, że właśnie dlatego, że nie pozostał przy królu, był człowiekiem zgubionym. Te sprawy jednak należą do przyszłości.

Kiedy Bassompierre i jego królewska świta byli oddaleni o kilka mil od Grenoble, dopędził ich jeździec, kawaler ze świty królewskiej, daleki krewny marszałka. Zrównawszy się z Basompierrem, jeździec poprosił go o kilka słów rozmowy na uboczu.

– Wieści dla was, monsieur – zwrócił siei do marszałka. – Czy znacie oficera muszkieterów, d'Artagnana?

– Owszem, choć nie bardzo. Dlaczego?

– On zdąża przed wami do Paryża.

– To nie są wieści.

– Wiezie list.

– Ja wiozę ich sztuk pięćdziesiąt. Czy tylko dlatego spieszyłeś za mną?

– Nie. Chciałem wam powiedzieć, monsieur, że stałem na dziedzińcu, kiedy d'Artagnan wydobył list z kieszeni i bacznie go obserwował. Był to list adresowany ręką kardynała.

– Ach tak – mruknął Bassompierre. – Czy list ten mnie dotyczył?

– Odpowiedź wam pozostawiam. Sam widziałem pismo. List był adresowany do niejakiej panny de Sirle. Bassompierre zbladł jak śmierć.

– Niemożliwe – zawołał – Richelieu nigdy o niej nie słyszał.

– Przeciwnie monsieur, Richelieu spotkał ją w hotelu „Parc de Montmorency” i mówiono mi, że od tej chwili często ją widuje.

Krew napłynęła do twarzy Bassompierre’a.

– Tak. Ależ to jest niemożliwe. Kardynał... – marszałek spostrzegł się i urwał, po chwili wyciągnął rękę do jeźdźca i rzekł z uśmiechem. – Dzięki, dzięki. Było to bardzo ładnie z twej strony przypuszczać, że sprawa mnie obchodzi, lecz zapewniam cię, że nie. Żałuję bardzo, że tracił pan czas i trudził się niepotrzebnie.

– Nie straciłem nic, skorom zasłużył sobie na wasze podziękowanie, monsieur. – Jeździec zawrócił konia i popędził w kierunku Grenoble.

Bassompierre ruszył w swoją stronę z tą tylko różnicą, że pognał galopem.

D’Artagnan i Portos dojechali do Lyonu bez przerw w podróży. Dostawszy się w bramy miasta, pospieszyli do baraków artylerii, gdzie kwaterowali muszkieterzy. Portos zwlókł się z konia i zachwiał się. Gdyby nie d’Artagnan, byłby upadł na ziemię.

– Mój przyjacielu – wyznał – nie zsiadałem z konia przez cztery dni i noce. Potrzebuję snu. Potrzebuję maści i olejków. Na miłość boską wskaż mi jakie łóżko i zostaw mnie tam.

D’Artagnan zaprowadził przyjaciela do własnej kwatery, następnie dostarczył listy, dowiedział się, że Atos jest na służbie i udał się na poszukiwanie Remburèsa, kapitana swej kompanii. Znalazł go za stołem.

– Monsieur – zaczął ze zwykłą sobie bezceremonialnością – jak wam wiadomo woziłem listy do Jego Królewskiej Mości. Tam miałem zaszczyt spotkać kardynała.

– Nikczemnika – odezwał się kapitan. – Jak to i nie jesteś teraz w Bastylii, mój drogi towarzyszu?

– Bynajmniej, jestem w drodze do Paryża na prośbę Jego Eminencji, który przyrzekł mi za to urlop. Zalecił mi pośpiech i upoważnił później do robienia co mi się żywnie podoba. Dzięki właśnie temu rad bym bardzo, gdyby za twym zezwoleniem towarzyszył mi mój przyjaciel Atos.

– Chętnie, d’Artagnan, chętnie. Lecz pozwól... do Paryża dla kardynała? Mówiąc między nami, od kiedy du Plessis dostał się na służbę do gwardii Jego Królewskiej Mości?

– Od chwili, kiedy udało mu się przekonać gwardzistów, że działają na korzyść Jego Królewskiej Mości.

Remburès zaśmiał się: – Doskonale, doskonale. Wnieś podanie – załatwię je. Zabierz naszego dobrego Atosa i jedź, kiedy ci się podoba. Przysiądź się i pomóż mi skończyć tę butelkę wina. Posterunek zmieni się za dziesięć minut, będziesz mógł wówczas pogwarzyć z Atosem. Jakie wieści z armii?

D’Artagnan usadowił się wygodnie.

– Żadne, jak dalece mi wiadomo. Przyjechałem do Grenoble późno w nocy, a wyjechałem wczesnym rankiem. Aha, Remburès, czy nie znasz przypadkowo kawalera z oddziałów kardynała, Montforge’a?

Kapitan, który jak większość gwardzistów był Gaskończykiem, poruszył się. – Hm, naturalnie. Słyszałem to nazwisko. To jest jegomość, który zabił Aubaina, mistrza fechtunku Guise’ów. Zdaje mi się, że jest krewnym pani de Chavigny. Wiesz o kim mówię. Dama, która powiła Jego Eminencji syna... co za skandal. – Remburès zaśmiał się głośno. – Twoje zdrowie, d’Artagnan. Jakże żałuję, że nie mogę jechać z tobą do Paryża.

D’Artagnan przekonał się już o tym, że Montforge we władaniu szpadą był mistrzem nie lada, wiedział również, że był faworytem Richelieugo. Nie dowiedziawszy się nic nowego od kapitana, poszedł na spotkanie Atosa, który właśnie powracał z posterunku. Przyjaciele rzucili się sobie w objęcia, jak gdyby cztery miesiące a nie cztery dni byli rozdzieleni.

– Ha, mój synu – już z powrotem? Jakie nowinki?

– Wszelakiego rodzaju – odpowiedział d’Artagnan. – Chodźmy do oberży i omówmy je swobodnie...

– Niestety – przerwał Atos. – Za pół godziny muszę towarzyszyć Ich Królewskim Mościom w konnej przejażdżce.

– Ale skąd. – D'Artagnan spostrzegł zbliżającego się do nich muszkietera. – Jesteś na urlopie, mój kochany Atosie, jedziesz ze mną do Paryża. Oto pan de Bret, który zastąpi cię i na pewno chętnie to uczyni.

Ponieważ de Bret potwierdził słowa d'Artagnana, przyjaciele udali się do oberży.

Do Paryża? – wzruszył ramionami Atos. – Dobrze, co za różnica, czy tu czy w innym miejscu.

Taką była filozofia hrabiego de La Fére w tym okresie czasu.

Od owej okropnej nocy na brzegach rzeki Lys, kiedy d'Artagnan, lord de Winter i trzech muszkieterów byli świadkami stracenia Milady, Atos zniechęcił się do życia i pędził dni w zupełnym zobojętnieniu do wszystkiego, co się wokół niego działo. Nie miał żadnych pragnień ani celów. Pijał wiele ulubionego wina hiszpańskiego, mówił bardzo mało i zdawał się być pogrążony w głębokim smutku. Mimo to ani wino, ani melancholia nie wpłynęły na zmianę cech zewnętrznych tego człowieka. W stosunku do ludzi był wzorem rycerskości i honoru. Głos jego zachował swą miękkość i płynność, rysy – szlachetność i słodycz, a przegub jego ręki – niepospolitą giętkość. Zachował te wszystkie zalety mimo częstego grzebania się w materialnej stronie życia, częstego przesiadywania w oberżach, gdzie rzadko kiedy wypowiadał słowo i skąd wyprowadzał go giermek Grimaud pod rękę. Odnosiło się wrażenie, że Atos chciał zalać to wszystko, co leżało za nim i przed nim.

Gdy dwaj przyjaciele znajdowali się już blisko oberży, zaszedł im niespodzianie drogę, Grimaud, luzak Atosa.

Atos ruchem ręki kazał mu się usunąć, lecz wierny giermek nie ustąpił.

– No? – zapytał Atos. W odpowiedzi Grimaud wyjął z kieszeni list i wręczył go swemu panu. List był adresowany do hrabiego de La Fére.

– Kto to przyniósł? – zapytał Atos z niemałym zdziwieniem. Grimaud przywykły do milczenia, wzruszył ramionami na znak nieświadomości. D'Artagnan, wiedząc, że Atos nie pisywał żadnych listów, sam był wielce zdziwiony.

– Ba – oświadczył po chwili Atos, zwracając się do przyjaciela. – Twoje wieści są pierwsze. Chodźmy.

Weszli do oberży i zajęli miejsca w rogu obszernej izby. Kiedy podano wino i przyjaciele znaleźli się sami, d'Artagnan wyjął z kieszeni pierścień i list. Pierścień wręczył Atosowi. Jego znajomość heraldyki imponowała d'Artagnanowi.

– Czy wiesz do kogo ten herb należy?

Atos uśmiechnął się.

– Naturalnie. Należy do pewnego jegomościa, który byłby się ożenił z córką Wysokiego Komisarza de Montmorency, gdyby nie zaniedbał pewnych formalności etykiety i złożył wizytę księciu de Bouillon, krewniakowi Komisarza. Ta na pozór mała nieopatrzność rzuciła pannę w objęcia Condégo.

– Nie jestem historykiem – przerwał d'Artagnan. – Czyj to jest herb?

Atos pociągnął wielki haust wina.

– Herb ten należy do człowieka, który odmówił przyjęcia tytułu księcia d'Aumale.

– Jego nazwisko?

– Posiada aż dwa.

– Niech cię diabli wezmą – zaklął d'Artagnan niecierpliwiąc się. Atos, spostrzegłszy, że przyjacielowi zależy na spiesznej odpowiedzi, zaniechał żartobliwego tonu.

– Wybacz mi, mój synu. Zadziwiasz mnie swoją ignorancją. Ten człowiek jest kapitanem zamku de Monceaux, kawalerem orderu Św. Ducha, odmówił 100 000 koron łapówki, grał tenisa z Wallensteinem w obecności cesarza Maksymiliana. On to przy butelkach wina wytrzymał armaty Saverny, wygrał tysiąc koron w zakładzie z Henrykiem IV, otrzymał

szczytny przywilej posiadania pięćdziesięciu przybocznej straży, odmówił przyjęcia księstwa Beaupré i został mianowany marszałkiem Francji...

– A... a... – oniemiał d'Artagnan, a po chwili zapytał – nie masz chyba na myśli Schomberga?

– Oczywiście, że nie. Mówię o Bassompierze, którego właściwe nazwisko brzmi Betstein; to samo nazwisko, tylko po niemiecku.

D'Artagnan formalnie zgłupiał.

– Betstein. Betstein. Przeczytaj to. – Wręczył Atosowi list Aramisa do swej przyjaciółki. Atos spojrzał na list i odsunął go na bok.

– Mam własny list, jeszcze nieczytany – rzekł uroczyście. – Szlachcic nie czytuje obcych listów, mój synu.

– Ale żołnierz czyta korespondencję swego wroga – poprawił go d'Artagnan.

– Słuszna uwaga – powiedział Atos i sięgnął po list. Spojrzał na pismo, zmarszczył brwi i rzucił gniewnym wzrokiem na d'Artagnana.

– List do kobiety... pismem Aramisa. I ty mówisz o wrogu...

– Czytaj, nie zawiera żadnych tajemnic.

Atos popatrzył chwilę w oczy przyjaciela, a znalazłszy tam szczerość i spokój, przytaknął głową i rozdarł kopertę.

– Już przeczytałem.

– Doskonale. Czy możesz się domyślić o kim tu mowa? Kto był tym powiernikiem?

Czysty, niezakłócony wzrok Atosa spoczął na d'Artagnanie. Słodki, wyrozumiały uśmiech zaigrał na wargach starszego towarzysza.

– Mój synu. Wiem, że gorączka cię trawi. Gdyby to nie było niemożliwością, powiedziałbym, że okazicielem tego listu, owym przyjacielem Aramisa, powinien być nasz wspólny przyjaciel Portos. Ale to jest niemożliwe.

D'Artagnan nie mógł wyjść z podziwu nad tym dowodem przenikliwości.

– Atos, ty jesteś nadludzki – zawołał. – Portos w tej, chwili wypoczywa na moim łóżku. Oto cała historia.

D'Artagnan opowiedział Atosowi z najdrobniejszymi szczegółami wszystko, co się wydarzyło od chwili jego wyjazdu z Lyonu do Grenoble.

Atos słuchał, pukając kończynami pięknych palców po liście, którego jeszcze nie otworzył. Nie dziwił się niczemu co słyszał. Cud jakiś chyba mógł zadziwić tego człowieka. Kiedy jednak d'Artagnan powtórzył słowa umierającego szpiega Richelieugo, wzrok Atosa stał się przenikliwy, czujny i żywy. Imiona Portosa i Aramisa posiadały dla niego swą moc. Kiedy opowiadanie doszło do spotkania z Portosem, wzrok ten zaciekawił się. A kiedy d'Artagnan przytoczył szczegóły przerwanego pojedynku, pełne zadowolenie przejawiło się u Atosa.

– Ach, mój synu, dumny jestem z ciebie – powiedział cicho. Słowa te posiadały dla d'Artagnana więcej wartości aniżeli pochwały Richelieugo albo samego Ludwika. – Słyszałem o tym Montforge'u; człowiek o szlacheckiej krwi, ale o bardzo nieszlachetnej mowie i czynach. Mów dalej.

D'Artagnan skończył opowiadanie i pokazał Atosowi list, Richelieugo do Heleny de Sirle, a kiedy chciał powtórzyć ustne polecenie dla Chevreuse, Atos zamknął mu usta.

– Nie, nie... takie wiadomości są święte.

– Tak, ale ja nie mam żadnych tajemnic wobec ciebie.

– To nie jest twoja tajemnica.

– Słusznie. – D'Artagnan przyznał. – Richelieu oświadczył mi, że pismo nie jest przestrogą, lecz groźbą, przy tym jest bardzo niebezpieczne dla mnie, jako kuriera.

Atos uśmiechnął się obojętnie.

– Nie wątpię o tym. Chevreuse jest najniebezpieczniejszą kobietą we Francji. Richelieu wie o tym, przekonał się na własnej skórze. Ta kobieta nie waha się przed niczym, nie ustępuje!

– Mniejsza z tym, zostaw to na uboczu. Co myślisz o innych sprawach?

– Myślę, że Bassompierre'owi grozi zagłada. – Atos, jakoby to należało do rzeczy, wychylił kielich malagi do dna.

– Nie o to chodzi, mam na myśli ten cały interes z dzieckiem. Właśnie dlatego chciałem powtórzyć słowa Richelieugo. To ma wielki związek...

– Czy tak? – Atos spojrzał uważnie. – Czy myślisz, że Portos wie o wszystkim?

– Nie pytałem go. Teorie są stratą czasu.

– Takie jest i moje zdanie. Zapomnijmy na chwilę o wszystkim!

– Jedźmy do Paryża, następnie do Dampierre, albo do Dampierre naprzód. Możemy jechać przez Bourg-la-Reine i wrócić okrężną drogą do stolicy. Tam dostarczymy twój list do panny de Sirle, a Portos doręczy swój.

– Albo my za niego. Przyrzekłem mu dostęp do tej damy.

– Musisz oddać mu list.

– I mam wyznać, że przemilczałem posiadanie jego?

– Ależ nie. Daj go Grimaudowi. – Atos przytknął palcami i jakby za uderzeniem laski czarodziejskiej Grimaud stanął przed nim. Atos wręczył mu list.

– Pan Portos.

Grimaud nie słyszał o Portosie od przeszło roku, ale nic nie powiedział.

– Konie zaraz po kolacji – dodał Atos. Grimaud spojrzał na d'Artagnana pytająco.

– Nie, mam nowego konia z rzędem. Idź najprzód do mnie do mieszkania.

– Aa! – Grimaud zaczął – więc pan Por...

– Milczenie, ty zuchwalcze – rozkazał Atos.

Prosząc o przebaczenie niskim pokłonem, Grimaud wyszedł. D'Artagnan zaśmiał się, on rozumiał doskonale. Grimaud wetknie list do kieszeni Portosa nieznacznie. Portos spostrzeże pismo po przebudzeniu się.

– Tak. Mamy pieniądze, konie i wolność. Jedziemy w sprawach królowej i kardynała... pysznie! – powiedział Atos, mierząc to miarką codziennego biegu spraw. – Aramis jest ranny tyś zniszczył skradzioną mu paczkę – tym lepiej. Szpieg oświadczył, że zamówił pierścień z herbem Bassompierre'a. Ciekaw jestem dlaczego? Nie czas na domysły. Pojedziemy i przekonamy się.

– Czy zapomniałeś o swym liście? – zapytał d'Artagnan.

Atos wyciągnął rękę niedbale po list, obejrzał pieczątkę łąkową, złamał ją i rozwinął arkusik grubego papieru. List był posłany z Hotelu Muszkieterów w Paryżu.

Odczytując treść, Atos zrazu nie zmienił wyrazu twarzy, po chwili jednak zbladł jak płótno. Podniósł oczy, spojrzał na d'Artagnana i mówił z widocznym wysiłkiem.

– Czy ty... czy przypominasz sobie pewnego Człowieka... Anglika... – głos odmówił mu posłuszeństwa. D'Artagnan poruszony, pochylił się poprzez stół.

– Nie myślisz o... lordzie Winterze? Atos przytaknął głową i podsunął przyjacielowi list. Przerażony d'Artagnan obrócił kartkę papieru i czytał:

„M. Atos. Ponieważ jeden list mógłby zaginąć, wysyłam cztery, do pana i do pańskich trzech przyjaciół. Będę w Paryżu w hotelu Marquis de St. Luc, Place Royale, dnia 30 lipca.

Winter."

D'Artagnan popatrzył na list, następnie na Atosa, potem na list ponownie z niespokojnym pytaniem w oczach. Czegoś tu nie dostawało, lecz nie wiedział czego. W ową straszną noc przy rzece Lys, dwa lata temu, kiedy Milady byłą stracona, piąty człowiek stał obok czterech

przyjaciół. Ona, która była kochanką d'Artagnana i żoną Atosa, była również szwagierką lorda de Winter. Ta kobieta umarła, ale pozostawiła po sobie okropne wspomnienia.

– Co to ma znaczyć? – Atos potarł ręką blade czoło. – Ja nie chcę go widzieć. Jakim prawem on pisze do wszystkich czterech...

– Czekaj, czekaj! – zawołał d'Artagnan i podniósł głos. Gospodarzu! Zapaloną świecę – na szatana pospiesz się! Spojrzał rozjaśnionym wzrokiem na Atosa. – Mój przyjacielu, w tej chwili pomyślałem o czymś... ten podpis znajduje się nieproporcjonalnie daleko od treści listu...

Właściciel oberży przyniósł żądaną świecę i oddalił się. Kiedy już zniknął za drzwiami, d'Artagnan podniósł list do płomienia świecy. Ukazywały się słowa napisane wodnym pismem, które występowało na papier dobrze ogrzany.

„On nie żyje, ona pozostaje. Przybądź, jeśli masz ją ratować!"

D'Artagnan podniósł głowę i czekał na opinię Atosa, który, właśnie skończył czytać wiadomość.

– On... ach! To znaczy Buckingham. A ona... to sprawa królowej...

– Milcz, naiwny języku! – zawołał Atos surowo. – Naturalnie, naturalnie! Ten Anglik jest wierny i rycerski. Lecz St. Luc jest szwagrem Bassompierre'a. Nic nie rozumiem...

– Więc przestań łamać sobie głowę, stosuj własne lekarstwo i nie trać czasu! – D'Artagnan palił list nad świecą. – Jeden z czterech listów dotarł szczęśliwie. Dziś jest 25 lipca, musimy jechać przede wszystkim do Dampierre, to samo się przez się rozumie. Jeżeli mamy być w Paryżu na trzydziestego...

Musimy wyruszyć dziś wieczorem – dokończył Atos. – Tylko, że Portos potrzebuje snu, a myśmy powinni wyruszyć zaraz, nie tracąc chwili czasu.

D'Artagnan powstał od stołu. – Dobrze. Proszę cię, poczekaj na mnie w mojej kwaterze, rozgość się tam, jak we własnym domu, kochany Atosie. Możliwe, że do późna w nocy nie wrócę.

– Ach, tak! – Atos popatrzył na przyjaciela smutnie. – Ta mała piękna dama przy Rue de Grenoble, co? Tak, tak, nie zwykłem powtarzać mych przestróg.

D'Artagnan zarumienił się lekko. W istocie rzeczy Atos przestrzegał go kiedyś, choć bez uzasadnienia. Mimo jednak, że zignorował przestrogę, nie zapomniał o niej.

– Gdy jeden romans się zaczyna, drugi się kończy – powiedział bez skrupułu. – Nie wymawiaj mi mego postępowania; dama traktowała mnie bardzo uprzejmie, nie mogę więc wyjechać bez pożegnania jej, jak gbur. A że mąż jej należy do świty księcia de Lesdiguéres i jest na froncie...

– Nie ma niebezpieczeństwa – dokończył Atos z odcieniem ironii w głosie. – Idź z Bogiem, czy diabłem, mój przyjacielu! Ponieważ nie mam w życiu nic prócz twej przyjaźni, wracaj szybko i cało.

Atos wypił jednym haustem drągi puchar malagi.

ROZDZIAŁ VI

W którym Atos wypowiada swe predylekcje

Przez z górą rok d'Artagnan pozostawał wierny pamięci swe ukochanej Konstancji, którą otruła Milady. Kiedy jednak człowiek jest młody, rany szybko się goją.

Trzeba przyznać, że Zofia de Bruler była wyjątkowym lekarzem dla tego rodzaju chorób. Jej mały domek przy Rue de Grenoble był zaciszny, uroczy i nawet bogaty. Jej mąż w młodzieńczych latach walczył na Węgrzech przeciw Turkom i przywiózł blisko dwa furgony bogatego łupu. Zofia, jak wiele innych młodych żon starych wojaków była niepocieszoną w nieobecności męża i pana. Toteż zabiegi przystojnego d'Artagnana, by słomianą wdówkę pocieszyć, bez wielkiego trudu zostały uwieńczone. Subtelna, zgrabna, mała figurka pani Zofii z brunatnymi oczyma, tryskającymi radością życia, była powodem zawiści połowy, mieszkanek Lyonu. Jeżeli nasz bohater osiągnął cel i niósł należytą pociechę pięknej Zofii pod nieobecność jej rycerskiego męża, to niemniej goił dotkliwe rany po cięższej stracie osobistej. D'Artagnan nie kochał się w niej, udawał jednak miłość z taką doskonałością, że często samemu sobie nie dowierzał w tym względzie.

Aczkolwiek jego wizyta nie była zapowiedziana, nie czynił sobie z tego powodu skrupułów. Dom mieścił się na narożniku i posiadał dodatkowe wejście do ogrodu z bocznej ulicy. Do furtki d'Artagnan miał klucz. Przedostawszy się przez furtkę, muszkieter nie zastał nikogo w ogrodzie. Było późne popołudnie, lecz do wieczora było jeszcze ze dwie godziny. Wiedząc, że furtka za każdym otwarciem oznajmia kochanka, d'Artagnan przystanął w ogrodzie i śledził okna, pewny, że ujrzy w jednym z nich nadobną panią de Bruler. Oczekiwania zawodziły.

Podszedł więc do drzwi domu i zapukał. Po chwili pokojówka stanęła na progu.

– Proszę, wejdźcie, monsieur. Pani widziała was nadchodzącego i wysłała mnie natychmiast do drzwi, byście nie czekali chwili. Jest zajęta z notariuszem i prosi, byście łaskawie weszli do saloniku.

D'Artagnan oddał dziewczynie szpadę, kapelusz i płaszcz i wszedł do małego saloniku tuż przy wejściu ze dworu. Był to piękny pokoik ze ścianami, zawieszonymi żółtą draperią. Na jednej z nich wisiał wspaniały Tycjan, zdjęty przez pana de Bruler z węgierskiego ołtarza.

– Nikczemność. Madame jest zajęta notariuszem! —myślał sobie. – Już po raz trzeci w dwóch tygodniach to mi się przytrafia.

Że jednak Zofia zajmowała się sama sprawami nieobecnego męża, jej tłumaczenie się było usprawiedliwione.

D'Artagnan nie czekał pięciu minut, kiedy do pokoju weszła służąca i oświadczyła, że pani czeka.

– Już od kilku dni Madame cierpi na migrenę i pozostaje w swym własnym pokoju. Jeśli pan pozwoli za mną...

D'Artagnan wcisnął jej pieniądz do ręki.

– Dziękuję, nie potrzebujesz mi wskazywać drogi, znam ją.

Kawaler w kilku susach znalazł się na pierwszym piętrze, w pokoju swej sympatii.

Zofia de Bruler oczekiwała gościa w pięknym negliżu koloru jasnego nieba, przy małym, stoliku, na którym rozrzucone leżały papiery, atrament i inne przybory do pisania. W pokoju panował bezład. Zasłony wysokiego, rzeźbionego łóżka były w jednym rogu uchylone. Na stolikach roiło się od butelek i buteleczek, lusterek, słoików, perfum, pudrów i innych

kosmetyków. Stroje były rozrzucone po wszystkich mebelkach. Jednej rzeczy nie dostawało madame de Bruler, a to umiłowania porządku.

D'Artagnan odrzucił kotary i momentalnie znalazł się u stóp Zofii. Przycisnął ją mocno do siebie, w czym mu się szybko odpłaciła. Kiedy ochłonęła na chwilę po gorącym powitaniu, rzuciła okiem po pokoju i uśmiechnęła się.

Ach, w jakim stanie mnie tu znajdujesz! – zawołała. – Ten przeklęty pokój zawsze w bezładzie. Wstydzę się za siebie, kochany d'Artagnanie...

– Niech szał miłości wymaże twój wstyd – odpowiedział szybko. – Jadę do Paryża i dalej, moja prześliczna – długa podróż, wiele zadań przede mną. Możliwe, że nie powrócę. Przed wyjazdem ukradłem godzinkę, a może dwie, by zmieszać własne łzy z twoimi, by dowieść ci mego przywiązania...

– Ach, to straszne! – zawołała. – Ty, wyjeżdżasz? To niemożliwe! Jesteś okrutny, witając mnie takimi słowy! Siadaj, tu, przy mnie i powiedz mi, że żartujesz...

– Chciałbym, by tak było. – D'Artagnan spełnił jej rozkaz. – Czy jesteśmy sami?

– Wyłącznie dla siebie, mój skarbie! – odpowiedziała i zatopiła paluszki pieszczotliwie w jego bujnej czuprynie. – Wydałam Żorżecie polecenie, by nie przeszkadzała nam aż do kolacji. A, mój bohaterze, ty żartujesz, powiedz.

D'Artagnan przytulił ją do siebie.

– Żartuję? Niestety, tak się złożyło! Lecz pójdź, niech jutro przepadnie w dniu dzisiejszym.

– Chętnie, jeśli zaufasz mi trochę – odrzekła, garnąc się ku niemu.

– Co? Zaufać tobie, źródłu mego szczęścia? – d'Artagnan zdziwił się nieco i momentalnie przeszedł do swego żartobliwego tonu. – Ależ całe życie moje!

– Więc dlaczego jedziesz do Paryża, skoroś przysiągł mi, że zostaniesz tu przez całe lato? Dwór przecież nie wyjeżdża.

– E, jadę, ponieważ otrzymałem taki rozkaz, a nie dlatego, że sam tego łaknę...

– W służbie, czy na usługach miłości?

D'Artagnan roześmiał się.

– W sprawach państwa, wierzaj mi. Miłość i służbę zostawiam tutaj.

– Kłamczuch! – odrzekła. Jej oczy zajaśniały wesoło. – Jedziesz do kobiety, założyłabym się.

– No, to jest prawda – potwierdził d'Artagnan. – Ale jadę także i do innej damy, a żadnej z nich w życiu nie widziałem...

– Tak, zobaczysz je, i zapomnisz o mnie!

– Nie! Nigdy! Przysięgam ci – zaprotestował d'Artagnan energicznie. – Kochanie moje, prócz królowej, której służę, dla żadnej kobiety cię nie zapomnę. Mówiąc prawdę, mam polecenie widzenia się z pewnym człowiekiem, z Anglikiem...

D'Artagnan urwał. Wydało mu się, że część kotary poruszyła się, jak gdyby wiatr tam powiał. To sprawiło, że d'Artagnan nie dokończył wyznania, do którego się uciekł w samoobronie.

– Anglik! – zawołała Zofia, otwierając oczy szeroko. – Nie do wiary! Monstrum!

– Ależ nie. – D'Artagnan uśmiechnął się. – Szlachcic. Poza tym nie jadę sam, wyrusza ze mną...

I znów urwał, wiedziony jakimś instynktem, jakąś wewnętrzną przestrogą. Przyciągnął żebrzące usta Zofii do swoich i całował ją namiętnie. W chwili, gdy uwalniał ją ze swego uścisku, spostrzegł po raz wtóry kotarę poruszającą się.

Krew w żyłach d'Artagnana stygła. Nie zauważył, jak Zofia przytuliła go do siebie i obsypała jego twarz pocałunkami.

– Więc kochasz mnie – wołała pieszczotliwie. – Jaka ze mnie niemądra kobieta. Myślałam, że wyjazd twój ma związek z testamentem Franciszka Thounenina z Dompt, o którym pisał mi rodak z Lotaryngii. Przysięgnij mi, że nie pozwolisz się wciągnąć do tej sprawy.

Z niemałym wysiłkiem d'Artagnan wracał do normalnego stanu.

– Thounenin z Dompt! – powtórzył zdziwiony. – Na honor, nigdy tego nazwiska nie słyszałem, nie wiem nic o sprawie.

Zofia po prostu uznała, że d'Artagnan podziwia jej wiedzę. Słaba kobieta, jak najmniej nadająca się do roli, jaką jej przeznaczono, nie mogła zrozumieć, że taka przysięga u tego człowieka znaczy prawdę. Chcąc wywrzeć na kochanku jeszcze większe wrażenie, wzięła do rąk mały arkusik papieru ze stolika.

– Popatrz, tu skopiowałam list od mego rodaka – chwaliła się. – Thounenin sporządził testament przed Leonardom, dziedzicznym wielkim notariuszem Księstwa Lotaryngii dnia 29 ma ja 1624 r. – testament, o którym tak wiele teraz mówią...

D'Artagnan, dla którego objaśnienia Zofii nie miały żadnego znaczenia, patrzył na arkusik papieru, niby rażony piorunem. Nie obchodziła go treść pisma, jedynie sam papier, z wielkim znakiem wodnym pośrodku, papier zupełnie taki, na jakim Richelieu pisał list do Heleny de Sirle... Arkusz ten pochodził na pewno z biurka kardynała.

– Mój aniele, twój rodak jest najwidoczniej dobrze o całej sprawie poinformowany – powiedział d'Artagnan bez zainteresowania.

– Powinien być, gdyż jest człowiekiem księcia. Martwiłam się, byś nie dał się wciągnąć do tej sprawy, wiem, że naraziło się bardzo kardynałowi...

– Bądź spokojna – zapewnił ją. – Jaki to śliczny papier pewnie włoski.

Zofia drgnęła.

– Nie wiem. Jeden z kilku arkuszy, zostawionych mi przez notariusza.

Przytuliła usta d'Artagnana do swoich. Pod pokrywką uścisku muszkieter zwijał powoli arkusik papieru, po chwili wsunął go w rękaw i dla zatuszowania ruchu przycisnął perfumowane loki kobiety do ramienia, po czym całował namiętnie jej oczy. Mając wzrok utkwiony w kotarę, spostrzegł nowe poruszenie się zasłony, a poniżej dostrzegł wystający koniec szpady.

– Atos uczynił mądrze, przestrzegając mnie – pomyślał.

Nie zamierzając odegrać roli Samsona, rozglądał się uważnie: po tej części pokoju. Nie zaniedbywał jednakże kobiety w uścisku, i całował ją coraz namiętniej.

Jedyną bronią, jaką dojrzał, był długi kindżał turecki, z rękojeścią wysadzaną drogimi kamieniami. Wisiał na ścianie zaledwie o krok od podejrzanego miejsca przy kotarze. Ponieważ pokój miał jedne tylko drzwi, a skok z okna ze względu na wysokość był nie do urzeczywistnienia, przeto d'Artagnan musiał dobrze rozważyć sposób ucieczki. Teraz był już pewny, że jego kochanka odgrywa rolę szpiega, lub ukrywa szpiega za kotarami. Ten papier dany był jej niezawodnie w celu wyciągnięcia z nie go wiadomości o testamencie. Zepsuła całą grę z chwilą, gdy dała mu papier do ręki. Dlatego to dopytywała tak bardzo o jego misję.

– Mój aniele, aby cię uspokoić, zaufam ci w zupełności – odezwał się d'Artagnan, pieszcząc jej jedwabne loczki, rozrzucone na jego piersi, i śledząc bacznie kotarę. – Tak jest w istocie, nie mam tajemnic przed tobą. Dowiedz się więc, że jadę w ważnej misji z polecenia Jego Eminencji.

– Ach! – Rozkoszne ramiona Zofii ścisnęły go mocniej – przez samego Richelieugo?

– We własnej osobie – powtórzył. – Odkryto w Paryżu spisek, który ma na celu zamordowanie króla, usadowienie na tronie księcia Orleanu i aresztowanie kardynała. Jadę, by wyśledzić i przychwycić przywódców spisku. Jest to najpewniejszy sposób naszego wielkiego kardynała – uderzać, kiedy się najmniej tego spodziewają, przewidzieć, napaść, uprzedzić wykonawców i sparaliżować ich akcję. Sposób niezawodny, zapewniam cię, sposób, którego ja właśnie zamierzam się jąć, a uczynię to tak...

Mówiąc to, uwolnił się delikatnie z objęć Zofii i skokiem tygrysa znalazł się przy kindżale, zerwał go i dobywszy ostrze z pochwy, całą siłą pchnął nim w kotarę.

Mimo nadzwyczajnej szybkości działania, chybił celu.

Naraz kotary rozsunęły się, wyskoczył zza nich człowiek ze szpadą, wymierzoną prosto w serce d'Artagnana. Jeden przeraźliwy okrzyk wydarł się z piersi Zofii, d'Artagnan nie miał czasu, by spojrzeć na nią. Chybił wprawdzie celu za kotarą, ale obronił się kindżałem od śmiertelnego ciosu szpady. Rozpoznał napastnika.

Był nim hrabia de Montforge.

– A, bandyta! – huknął d'Artagnan groźnie. – To z ciebie morderca...

Montforge roześmiał się i nacierał na przeciwnika. Posiadając tylko kindżał, d'Artagnan nie wierzył w możliwość obrony przed szpadą, natrętnie mierzoną w jego gardło. Odskoczył w tył, zyskując na czasie. Potrącił stół, który upadł z hałasem. Montforge wbił szpadę w krzesło, tracąc chwilowo równowagę – niby pantera rzucił się na niego d'Artagnan i wymierzył mu ciężki cios powyżej serca.

– Łotr – zawołał d'Artagnan. – Tchórz i bandyta!...

Rzucił rękojeść kindżała w oczy Montforge'a, przyskoczył drzwi i za chwilę trzasnął nimi z całej siły.

Nie napotkał żadnego z domowników. Gorejąc od wstydu wściekły, pochwycił swoją szpadę i popędził na górę, by zmierzyć się z Montforge'm, jak na rycerza przystało. Kiedy jednali rozwarł drzwi szeroko, hrabiego w pokoju już nie było. Zofia leżała zemdlona na kanapie. Przez uchylone kotary spostrzegł drugie, potajemne drzwi, przez które Montforge niezawodnie uciekł.

D'Artagnan poszedł w jego ślady, chwycił kapelusz i płaszcz i w kilka sekund był już na Rue de Grenoble. Mrok zapadał. Na ulicy nie było nikogo. Po chwili d'Artagnan przypomniał sobie boczną ulicę, przez którą wszedł i tam popędził, – A! – krzyknął. – Łotrze, poczekaj! Przy furtce Montforge dosiadał w tej chwili konia. Rzuci okiem na d'Artagnana, roześmiał się szyderczo i wbił ostrogi i w konia. Umknął, zanim muszkieter zdołał go dopaść. Klnąc, na czym świat stoi, d'Artagnan wcisnął szpadę do pochwy i zwrócił kroki w stronę swojej kwatery.

– Do diabła! – zawołał wściekły na swą bezradność. – A więc ten ci jest nasz drogi, cenny notariusz, ten, ach! Atosie, miałeś rację, jak zwykle.

Przed domem zastał Grimauda.

– Czy konie są gotowe? – zapytał. Grimaud przytaknął skinieniem głowy. D'Artagnan wszedł do mieszkania.

Portos siedział na krawędzi łóżka, wciąż jeszcze z zaspanymi oczyma. Atos grał sam ze sobą w kości przy oknie. Na widok wchodzącego Portos zawołał:

– Ach, mój przyjacielu! Wyobraź sobie! Jestem skończony głupiec... pomyśl tylko, nikt mnie nie obrabował! Nareszcie oprzytomniałem. Znalazłem rulon złota za podszewką...

– Czekaj! – przerwał mu Atos, ruszając w stronę d'Artagnana, którego wygląd przeraził go. Co się stało? A więc moja przestroga nie była bezpodstawna?

– Mój drogi Atosie – odpowiedział d'Artagnan ponurym głosem – twoja przestroga uratowała mi życie. A więc znalazłeś swoje pieniądze, Portosie? Doskonale. Posłuchajcie, przyjaciele! – Przerwał. Wszak mówił Portosowi o swej misji tylko do Dampierre, a nie powiedział o liście do Heleny de Sirle. – Przede wszystkim muszę ci oznajmić, że oprócz poleceń do Dampierre, Richelieu powierzył mi inną misję, a mianowicie dostawę listu do niejakiej panny de Sirle w Paryżu...

– Co? Coś ty powiedział? – Portos patrzył z niedowierzaniem na przyjaciela. – Na Boga, przecież to właśnie do niej ten... ten...

– List od Aramisa? Cudownie. Upieczemy dwie pieczenie na jednym rożnie. Teraz posłuchaj uważnie mój Portosie. I ty, Atosie, dowiedz się jak dalece twoja przestroga była uzasadniona...

Opowiedział im wszystko, co się wydarzyła w domu Zofii de Bruler.

Portos, nie rozumiejąc połowy z tego wszystkiego wyraził swą złość i podziw. Atos zrozumiał wszystko i skoro d'Artagnan skończył opowiadanie, zapytał go o list, który schował do rękawa.

– Oto jest – podał zwinięty arkusik.

– A twój list do panny de Sirle?

D'Artagnan wydobył ze środkowej kieszeni munduru list kardynała. Atos rzucił nań okiem.

– Bardzo proste, mój kochany. Ta notatka jest napisana ręką Richelieugo. Montforge miał ją od kardynała i pokazał Zofii wraz ze wskazówkami, o co cię miała zapytywać. Rozumiesz? Richelieu podejrzewał cię, że coś o tym wiesz i użył tego środka, by coś więcej się dowiedzieć. Najprawdopodobniej posądza cię o to, że dowiedziałeś się wielu rzeczy od umierającego przy drodze.

Zimny pot wystąpił na czoło d'Artagnana. Przeklęty pierścień z herbem Bassompierre'a! Miał go na palcu. Teraz już za późno, mógł go na palcu zostawić. Montforge przyjechał do Lyonu i nakłonił Zofię, by starała się od niego cośkolwiek dowiedzieć.

– W takim razie dlaczego, posłał mnie do Dampierre w poufnej misji?

– Może właśnie dlatego, by misję twoją uczynić jak najbardziej niebezpieczną.

D'Artagnan potarł czoło. W tej chwili uprzytomnił sobie rozmowę z Richelieum, jego dziwne słowa i spojrzenia. A owe polecenie o dziecku, naturalnie, rzecz pewna... chciał się przekonać czy wie coś o tym.

– Jednak rzecz dziwna co do tego testamentu Lotaryńczyka – mówił Atos gubiąc się w domysłach. – Czy nic o tym nie wiesz?

– Nic, na honor!

– Ale ja wiem! – zawołał Portos.

Obydwaj zwrócili się do Portosa zdumieni. Olbrzym podniósł nagle głowę, rozkrzyżował ręce, jak człowiek, zmuszony do wyspowiadania się.

– Niech się dzieje co chce, wyznam wam wszystko szczerze. Peccavi, peccavi, moi przyjaciele! – mówił zrezygnowanym głosem, patrząc na przyjaciół, przemęczonymi, nabiegłymi krwią oczyma.

– Aramis napomknął mi o tym testamencie. To miało związek z moją misją, nie wiem wprawdzie jaki. Ani nie wiem, co to właściwie jest. On tylko wspomniał mi nazwisko. D'Artagnanie mój przyjacielu, jestem nędzny grzesznik, kłamałem przed tobą. To nie były pieniądze lecz list do panny de Sirle. Błagam cię o przebaczenie. Nie sądź mnie źle, Aramis kazał mi przysiąc, że słówka o tym nie pisnę, i mimo że bolało mnie to bardzo, nie mogłem ci nic powiedzieć.

D'Artagnan nie mógł powstrzymać się od uśmiechu skoro dowiedział się, że testament Thounenina miał związek z tym wszystkim.

– Portosie, ja ci wybaczę, jeśli ty mi wybaczysz. – Nadmieniłem ci o zmarłym przy drodze, otóż zabrałem od niego kilka listów. Był tam twój list i inne z pieczęcią Aramisa, które mu zapewne skradziono. Te zniszczyłem. Twój list był otwarty i przeczytałem go. Nie oddawałem ci go, ponieważ twierdziłeś uporczywie, że zrabowano ci tylko pieniądze. W końcu poleciłem Grimaudowi, by włożył list do twego ubrania. Czy jesteśmy wyrównani?

– A j! a j! – Portos zerwał się na równe nogi, aż się podłoga zatrzęsła. – Uściśnij mnie, przyjacielu! Jestem nowym człowiekiem, wstydzę się za siebie! Teraz nie ma tajemnic pomiędzy nami, między nami trzema...

– Pomiędzy nami czterema! – poprawił go Atos ponuro. – Słuchajcie moi drodzy! Nie znamy stanowiska Aramisa w tej sprawie, wiemy tylko jedno, że 30 lipca mamy spotkać lorda Wintera w Paryżu. Uważam, że nie mamy chwili do stracenia, siadajmy na koń i jedźmy zaraz.

– Jedźmy, dokąd? – zapytał Portos.

– Najprzód do Dampierre. Tam pojadę z d'Artagnanem.

– I po co? – indagował Portos, marszcząc brwi.

– Mam tam pewne polecenie od kardynała Richelieugo – odrzekł d'Artagnan – a przede wszystkim mam tam misję do spełnienia z polecenia królowej, misję poufną. Teraz mogę już coś o tym myśleć... okropne myśli! Tak, moi przyjaciele, jedziemy do królowej, dojedziemy przyrzekam wam!

– Ach! – Portos się udobruchał. – To rozwiązuje wszystko. A więc razem znowu. Znów, jak za dawnych dni – wszyscy za jednego, jeden za wszystkich! Czy zgoda?

– Zgoda! – Atos zwrócił się do d'Artagnana. – Pomyśl, mój synu, kto był z tobą i królową w pokoju?

– Jej hiszpańska dama. Nikt więcej.

– Mówisz, że królowa dała ci pewne polecenia do Chevreuse? W takim razie owa Hiszpanka jest przekupiona przez Richelieugo, bądź pewny. Kurier szedł w twoje ślady do Grenoble. A co zrobił Richelieu? Wybaczył ci pojedynek. Ofiarował ci wspaniałego wierzchowca. Wysłał cię do Chevreuse z ustnym poleceniem i do Paryża z listem. Domyślasz się jego zamiarów?

– Niech mnie czarci porwą, jeśli się domyślam! – rzekł d'Artagnan. – Kardynał był wyszukanie uprzejmym, a jednak nie mogłem wyzbyć się uczucia jakiegoś niebezpieczeństwa.

Atos zaśmiał się ironicznie.

– My, którzy jesteśmy skazani na niechybną śmierć, stańmy na baczność! Ty już jesteś przeznaczony...

– Niemożliwe! Nie przypuszczasz chyba na chwilę, że wysłał mnie tylko dlatego, by mnie zgładzić...

– Mój synu, mój synu, czy Montforge miał szpadę obnażoną? Odpowiedz.

– Tak. – D'Artagnan chwilę się zastanowił. – Atosie, ty jesteś geniuszem, zawsze dotrzesz do sedna sprawy i wyświetlisz ją do wyrazistości białego dnia! Masz rację, ten nikczemnik uczynił wszystko by mnie zabić. Nie rozumiem tylko dlaczego, Richelieu dał mi list do Paryża, skoro zamierzał uśmiercić mnie w drodze?

– Nasz kardynał zna cię doskonale mój synu. Wydobędziesz się z jednej pułapki, ma dla ciebie drugą, a tę właśnie wieziesz sam w kieszeni. I zapewniam cię, że w tej całej sprawie znajdziemy Aramisa i Montforge'a na równi wmieszanych. Przepowiadam ci to! Uprzytomnij sobie: upuszczoną chusteczkę, jego wściekłość na królowę, jego związek ze sztabem kardynała i wreszcie jego przybycie do Zofii de Bruler, gdzie cię przyłapał. Ten człowiek jest niebezpieczny.

– Hm. – D'Artagnan zbladł. – W takim razie, Atosie, nie mogę pozwolić ci towarzyszyć sobie.

– O, niewątpliwie! – zawołał Atos. – Czyś przypadkowo nie dopatrzył się u mnie ogromnego przywiązania do życia? Nonsens! Portos nie powinien jechać z nami. On ma żonę.

– Do dziesięciu tysięcy diabłów! – huknął olbrzym, wymachując pięścią w powietrzu. – Wy jesteście moimi przyjaciółmi, a to mi wystarcza. Jadę, wszyscy jedziemy! A jeżeli kardynał spróbuje nas zatrzymać, tym gorzej dla kardynała!

– Zachwycający! – zaśmiał się d'Artagnan serdecznie. W takim cudownym nastroju ruszajmy!

– Każda minuta jest ważna – oświadczył Atos. – Jeszcze jedno przewiduję. Ponieważ Montforge bez wątpienia zna plany twego posłannictwa, na pewno jedzie przed nami.

– Tym gorzej dla Montforge'a! – dokończył d'Artagnan przyciszonym głosem.

W dwadzieścia minut później przyjaciele, pożywiwszy się, dosiedli koni i za chwilę byli już w drodze z Grimaudem jadącym za nimi.

ROZDZIAŁ VII

Cuda nie są czasami pożądane

Od pamiętnej nocy stracenia kobiety na brzegach rzeki Lys jeden ze świadków egzekucji zniknął z horyzontu. Aramis zrezygnował ze służby, a za nim ulotnił się w niewiadomym kierunku kawaler d'Herblay. W jakiś czas potem kilka listów przyszło od niego, w których pisał, że udaje się w podróż do Lotaryngii. Później długie milczenie. Wreszcie rozeszła się pogłoska, że przyjął śluby zakonne. Atos wierzył w to święcie.

W czasie kiedy Atos, Portos i d'Artagnan jechali w stronę Orleanu, by ominąwszy Paryż, jak najprędzej dotrzeć do Dampierre, i kiedy Bassompierre zabijał konie galopując do Paryża, ciekawa toczyła się rozmowa w górnym pokoju znanej oberży Croix de Bernay, odległej o niecały dzień jazdy od Paryża przy drodze orleańskiej.

Był to obszerny, wygodnie urządzony pokój. Na kanapie pod oknem leżał z głową wspartą na ręce Aramis. Obok niego stał stolik, zawalony papierami, atramentem, piórami i piaskiem. Dzięki odchylonej części płaszcza można było dostrzec bandaże na jego piersiach. Twarz leżącego była blada i zmizerowana. Od czasu do czasu odrywał się od pisania, dla krótkiego wypoczynku. Na ścianie tuż nad kanapą wisiał krucyfiks.

Do drzwi zapukał giermek Bazin i nie czekając na odpowiedź wszedł. Jak to już raz się działo, Bazin wiedział, że jego pan jest chory na ciele i duchu, i że myśli jego biegną daleko, poza kres życia ludzkiego. Tym razem jednak rany były cięższe i wierny giermek był wielce strapiony.

– Monsieur! – zwrócił się Bazin – mam nadzieję, że nie piszecie. Wszelkie zajęcie jest wam surowo przez chirurga zakazane, a właśnie chirurg czeka na dole w towarzystwie przeora Berbaya.

– Doskonale, mój dobry Bazin, doskonale, proś ich na górę.

Ranny wyciągnął się na wznak, formalnie tonąc w puszystych poduszkach.

Za parę chwil Bazin wprowadził gości. Chirurg podszedł do kanapy, popatrzył na pacjenta i pokiwał głową.

– Źle, bardzo źle – oświadczył, nie odpowiadając na powitanie Aramisa. – Widzisz przeorze, on znów pisał!

– W istocie – Aramis uśmiechnął się do zakonnika – Monsieur, mam cudowną myśl, w związku z wczorajszą pogawędką.

– Wybaczcie panowie – przerwał mu gniewnie chirurg – muszę domagać się milczenia. Księże, popatrz na tego biedaka! Spójrz na jego bladą twarz, jego oczy i osłabienie, a przyznasz, że ten człowiek zapada coraz gorzej.

– Boże, oszczędź nas! – westchnął przeor i przeżegnał się. – Nie chcesz mi chyba powiedzieć, panie, że...

– Że ten młody człowiek jest skazany na śmierć – dokończył stanowczym głosem chirurg. Nie cofam bynajmniej tego, co powiedziałem. Za dziesięć minut nastąpi reakcja jego organizmu i gorączka się zwiększy. O zachodzie słońca gorączka minie, a o północy straci przytomność z wyczerpania. Jeżeli dożyje do rana, to umrze po południu. Nie waham się przepowiedzieć mu to w jego obliczu, gdyż on sobie kpi z moich najsurowszych przestróg. Po prostu sparaliżował moją pracę.

– W służbie Boga – dodał Aramis. – Zresztą, moi panowie, nie przejmujcie się zbytnio. Jeśli Najwyższemu tak się podoba, gotów jestem na śmierć.

– Jesteś diabelsko gotów – zawołał lekarz. – Nie czynisz nic by wyzdrowieć. Wola twoja przestała pracować. Upuszczałem ci krew i upuszczałem, i jakie tego wyniki?

– Proste. Jestem słabszy, aniżeli byłem – odpowiedział Aramis. – A co się tyczy rany...

– Rana nie może się goić, jeżeli gorączka cię trawi – dokończył chirurg. Następnie dobył z torby leki i polecił Bazinowi przynieść wodę. Zmieszał wodę z lekarstwami i oddał gotowe lekarstwo giermkowi. – Dawaj swemu panu łyżkę tego co godzinę – wydał polecenie i sięgnął po kapelusz. – Żegnam was panowie, wrócę jutro o zachodzie słońca i zmienię bandaże.

Wyszedł rozgniewany z powodu lekceważenia jego poleceń przez Aramisa. Na schodach zaszedł mu drogę Bazin.

– Monsieur – błagał służący ze łzami w oczach – w imię Boga, powiedz mi szczerą prawdę! Nie pozwól mi tak cierpieć. Mój pan, mój pan... przecież musi być jakaś nadzieja dla niego?

– Mój dobry człowieku, nie chcę cię oszukiwać – powiedział lekarz uprzejmie. – Widocznym jest, że pracował przeszło godzinę, to nie może ujść bezkarnie. Dłużej jak dzień nie wyżyje.

– Jezu! – zawołał Bazin zatrwożony. – Nie masz dla niego ratunku, czy nic go nie uratuje?

– Nic, prócz cudu.

– Będę więc modlił się o cud – odpowiedział Bazin stanowczo.

Lekarz wzruszył ramionami i wyszedł. Przeor w międzyczasie usiadł przy chorym i dotknął ręką jego czoła.

– W istocie, gorączka jest – zawyrokował z przerażeniem. – Mój drogi obyś d'Herblay, jestem zmartwiony ponad wyraz...

– Nonsens! – rzekł Aramis z nikłym uśmiechem na twarzy. – Ten człowiek ma zupełną rację, mój przyjacielu. Ja nie chcę żyć. Jestem dotkliwiej raniony na duchu aniżeli na ciele. Moje myśli nie błąkają się po tym świecie. Pozwól, niech ci odczytam moją tezę. Chcę potępić zwolenników Janseniusa, pragnę udowodnić, że jego książka „Augustinus" jest schizmatyczną herezją. Proszę podaj mi te arkusze – chcę ci je odczytać...

Przeor pomógł mu usadowić się na kanapie, podał zapisane arkusze i bacznie go obserwował. Obdarzywszy gościa przemiłym uśmiechem, Aramis podziękował i wyciągnął pierwszy arkusz.

– Oto jest. Mój ojcze, zauważ, że na wstępie nie mówię nic o Janseniusie. Swojej tezie nadałem ogólny tytuł.

Nieco przyciszonym, czystym głosem czytał:

NOWE SCHIZMY ZACHODU.

Trzy wielkie schizmy powstały od ustanowienia religii chrześcijańskiej do dnia dzisiejszego. Schizma, która odjęła kościołowi greckiemu komunię kościoła rzymskiego i która była zapoczątkowana przez Photiusa w r. 802, a zakończona przez patriarchę Cerulariusa w r. 1053. Ta schizma nazywała się Wschodnią Schizmą. Ta, która się przejawiła po podwójnym wyborze Urbana VI i Klemensa VII w r. 1378 nazywała Wielką Schizma Zachodnią. Wreszcie trzecia, Schizma Angielska, która odebrała Anglikom komunię kościoła rzymskiego za panowania Henryka VIII w r. 1534. Od tej chwili datuje się kościół anglikański.

Photius urodził się w Konstantynopolu. Był ambasadorem w Persji, pierwszym sekretarzem cesarza Michała, a później wzniesiony do wyżyn patriarchatu Konstantynopola na miejsce Ignacego. Papież Mikołaj I występował przeciw jego mieszaniu się do spraw kościoła i wyklął go na radzie papieskiej. Odwdzięczając się papieżowi, Photius zwołał swoich biskupów i wyklął papieża. Cesarz grecki, Bazyl Macedoński, przywrócił patriarchat Ignacemu i Photius nie osiągnął z powrotem tego stanowiska aż do...

Przeor przerwał mu.

– Dość, mój drogi abbé – powiedział uprzejmie lecz stanowczo. – Domyślam się naukowych podstaw tej tezy i mogę sobie wyobrazić z łatwością, jak sprowadzisz ją do wartości doby dzisiejszej, lecz błagam cię, przestań czytać! Pozwól mi odczytać pracę twoją w wolnej chwili. *Linguam compescere, virtus non minima est* – to nie jest jedna z mniejszych cnót powstrzymywać język...

– Właśnie! – zawołał Aramis – to mi przypomina tekst, jaki obrałem dla tej tezy, mój przeorze! Ja muszę mieć twoją opinię w tej materii...

Pukanie do drzwi przerwało Aramisowi zdanie. Chory rzucił gniewnym wzrokiem na drzwi, w których ukazał się Bazin, cały silnie podniecony z listem w ręce.

– No?

– Monsieur! – odezwał się zmieszany, zrozpaczony Bazin. – Przysięgałem im, że ciebie tu nie ma, że jesteś chory, że umierasz, lecz oni dowiedzieli się, że tu jesteś. Dwaj przeklęci kawalerowie, przepraszam, dwaj panowie, prosili, bym wręczył ci ten list...

– Bardzo dobrze, daj mi list. – Aramis westchnął i ułożył się na poduszkach. – Czym są listy? – mruknął niechętnie, patrząc na adres. – Nic mnie nie wiąże ze sprawami tego świata.

Pomimo to rozerwał pieczęć i lekko się zarumienił odczytując treść. List był jednym z czterech, wysłanych przez lorda Wintera. Była to dokładna kopia otrzymanego przez Atosa.

– Ciekawe! – mówił do siebie. – Bazinie, list ten doręczono ci osobiście?

Jeden z dwóch panów powiedział, że list ten podjął na waszej dawnej kwaterze w Paryżu, monsieur – rzekł Bazin, drżąc ze strachu na wspomnienie dawnych dziejów. – Prosi na wszystko, by mógł z wami pomówić.

– Kto to jest?

– Obcy, monsieur, zamaskowany.

Aramis oddał list giermkowi z dosadną rezygnacją.

– Weź to, spal, zniszcz, zjedz, zrób co ci się spodoba. List ten nie ma dla mnie znaczenia.

Przeor powstał z krzesła.

– Mój drogi przyjacielu – zwrócił się do chorego – pozwól mi zabrać te arkusze ze sobą, pozwól mi odczytać te zachwycające notatki. Ustąpię miejsca gościowi, przyjmij go, za każdą cenę go przyjmij. Nie powinieneś zostawać tu sam, bez przyjaciół, niebezpiecznie chory.

– Mam więcej, aniżeli na to zasługuję – odezwał się ponuro Aramis. – Czym jest ten świat w ogóle? Miejscem, gdzie zawiść rodzi zawiść, zło poczyna zło... *litem parit lis, nosa item noxam parit*! I czyż ja nie sprowadziłem sam na siebie nieszczęścia, zabywając tej pierwszej maksymy wierzącego człowieka – *nemo militans Deo* – nikt będący na służbie u Boga nie powinien mieszać się do spraw doczesnego życia. Zabierz te arkusze, jeśli ci się tak podoba. Wracaj do mnie szybko. Bazin! Wskaż wielebnemu przeorowi drogę i sprowadź tu tego kawalera.

Bazin trzymał list nad świecą. Jego bystry wzrok dojrzał występujące litery i skoro treść odczytał i rozpoznał podpis lorda Wintera, nie mógł powstrzymać się od okrzyku. Lecz przemilczał, co wiedział i kiedy resztka papieru dopaliła się, sprowadził przeora na dół.

„Winter! – mruknął do siebie Aramis, gdy pozostał sam. Wpatrzył się w okno. – Ten Anglik! E, to nie ma już nic wspólnego ze mną. Ja już skończyłem, wszystko jest skończone. Niech umarli grzebią swoich umarłych. Kiedy ona”... Dwie wielkie łzy potoczyły się z oczu Aramisa. Drzwi się rozwarły szeroko. Kawaler wszedł, obrócił się, wypchnął Bazina za drzwi, zamknął je i przekręcił klucz w zamku. Zbliżył się do kanapy. Aramis zdumiał się patrząc na zamaskowanego człowieka. Przybysz miał piękne włosy, wąsy i hiszpankę. Jego ręce były tak gładko pielęgnowane jak Aramisa. Niebieskie oczy przeglądały przez otwory w masce. Strój z niebieskiego welwetu, na palcu świecił wspaniały brylant.

– Zechciej spocząć, monsieur – przemówił Aramis. – Jak widzisz nie jestem w możności podnieść się...

– Pan jesteś abbé d’Herblay? – zapytał gość.

– Tak jest. A pan?

– Kawaler Nemo. – Przybysz pokazał w uśmiechu rząd białych zębów, i usiadł.

– Nikt! – powtórzył Aramis, denerwując się – Nie lubię takich żartów, monsieur...

– Wybacz mi. Kilka pytań, monsieur, i powiem ci moje prawdziwe nazwisko. – W głosie przebijało, jakieś podniecenie. – Giermek zaznajomił mnie z twoim stanem. Czy mogę mówić szczerze?

Głowa Aramisa opadła na poduszki.

– Jak ci się podoba i co ci się podoba. Nie mam tajemnic. Nie chcę żyć. Nie mam nic.

– Biedny... – zaczął kawaler, lecz na czas urwał. – Byłem w Paryżu dwa dni temu. Rozmawiałem z panną de Sirle.

Aramis spojrzał bystro na przybysza. Na dźwięk nazwiska drgnął na całym ciele.

– Cóż z tego? Ona jest piękną kobietą, monsieur, i słabą jak jest piękną – mówił od niechcenia chory. – Każdy, ktokolwiek ją zna, kocha się w niej. W rzeczywistości ona żyje z miłości.

– A ty, monsieur?

– Ja? Ja jestem obojętny na miłość – wyrzekł, wzniosie Aramis. – Wykreśliłem próżność z tego życia. Wszystko jest próżnością, igraszką, pełną ukrytych cierni!

– Dosłownie, monsieur, jesteś chory.

– Nie, ja umieram.

Gość umilkł na chwilę, jak gdyby odpowiedź Aramisa wywarła na nim głębsze wrażenie.

– Pozwól mi w takim razie poruszyć kilka spraw prywatnych, które, zapewniam cię, dadzą ci dużą satysfakcję. Nie wątpię, że jesteś, monsieur, przyjacielem panny de Sirle.

– Tej kobiety! – Aramis zaciął wargi. – Nie znasz mnie, mój przyjacielu, ona jest najniebezpieczniejszą kobietą w Paryżu.

– W myśl przestrogi, jaką dałeś panu de Bassompierre.

Aramis obrócił się zbladłszy, jeśli to w ogóle było możliwym.

– Skąd ty wiesz o tych rzeczach, monsieur?

– Właśnie zbliżam się do tego. Przede wszystkim powiedz mi, czy wysłałeś przyjaciela, by oddał pewną usługę pannie de Sirle?

Aramis zawahał się.

– Tak, sam nie mogłem tego uczynić. Otrzymałem list, który zwichnął mi całe moje życie. Z powodów osobistych wysłałem mego przyjaciela. W trzy godziny później byłem napadnięty, zraniony i obrabowany, potem przywieziony tutaj. Czy to cię zadowala?

Głos jego stawał się cichszym, oczy się zamykały.

– A gdzie jest przyjaciel?

– Nie wiem – szepnął Aramis. – Co za różnica? Portos da sobie radę. Wysłałem go, ona skorzystałaby z jego usług, a on powiedziałby mi o wszystkim. Taki był mój plan. Później... list. Następnie... ciężka rana. Przyjechałem tak daleko z Paryża i umieram. I cóż z tego...

– Ach, teraz rozumiem. Powinienem był wiedzieć od razu, że de Sirle nie mogła opętać ciebie. A ten list, któryś otrzymał... czy nie pochodził czasem od pewnej damy, której na imię było Maria?

Aramis spojrzał na mówiącego poruszony.

– Co? Czyżbyś od niej tu przyjechał?

– Nie.

– Nie zależy mi na tym. – Aramis odwrócił głowę. – Nic mnie nie obchodzi. Jestem człowiekiem umarłym i nie mam żadnych nadziei na tym świecie. Mów co masz do powiedzenia i idź. Ogarnia mnie coraz większa bezsilność; wszystkie te rzeczy nie należą już do mego życia.

Chory przymknął oczy. Fakt, że pozwolił obcemu wymawiać te imiona, dowodził niezwykłego osłabienia. Aramis, którego prawej ręce nie wolno było wiedzieć co czyni lewa, należał do ludzi dyskretnych i w innym wypadku nie pozwoliłby na coś podobnego.

A teraz, teraz właśnie milczał. Było to milczenie, które obcym zdawało się mijać niepostrzeżone.

Spod maski przybysza posypały się dwie łzy. Snadź nie mógł znieść spokojnie widoku tego nieszczęśliwego człowieka.

– Mój biedny, biedny Aramis! – wypowiedział zupełnie innym głosem, miękkim, bogatym, dźwięcznym, głosem, który zabrzmiał niby akord muzyczny. Następnie szybkim ruchem zerwał z oczu maskę, wąsy i bródkę, i ukazała się prześliczna, uśmiechnięta twarz z uroczymi dołkami koło ust i cudnymi niebieskimi oczyma.

Aramis na dźwięk tego głosu obrócił się. Z ust jego wyrwał się okrzyk zdziwienia. Szeroko rozwartymi oczyma patrzył jak na zjawisko nadziemskie. Wsparł się z trudem na łokciu, twarz jego oblekła się śmiertelną powłoką.

– Ty! – zawołał oszołomiony. – Ty, Mario...

– Tak, to ja, Maria te Tours, Maria de Rohan, Maria de Chevreuse... Maria, która cię kocha, mój biedny, biedny Aramisie! Czy nie mogłeś się domyślić, że mój okropny list był tylko wybiegiem, by zmylić innych?

W mgnieniu oka mówiąca uklękła przy kanapie, tuląc do piersi głowę chorego, jakby tuliła ukochane dziecię.

Ta kobieta, w której osobie zlewały się książęce imiona, Francji była jedynym wrogiem Richelieugo, mogącym się z nim zmierzyć na równej stopie, słowem za słowo, czynem za czyn geniuszem za geniusz... i zwyciężyć go. Cała moc ministra wobec tej kobiety nie przedstawiała najmniejszej wartości. Mógł ją skazać na banicję, mógł ją lekceważyć, mógł ją traktować jak chciał, ale nie mógł jej zwyciężyć, nie mógł jej zniszczyć.

W tej chwili, w tym pokoju, jej uderzające piękno było w pełni rozkwitu. Te oszałamiające wdzięki, które w pięć lat później uwiodły cesarza, a w następne pięć lat wicekróla, osiągnęły w tej chwili szczyt piękna.

Tylko niepospolita piękność może tonąć w łzach bez szkody dla swego uroku. Gdy Maria de Chevreuse klęczała u wezgłowia chorego, ze łzami spadającymi na twarz człowieka, którego uznała za umierającego, wówczas ta najpiękniejsza we Francji kobieta, po raz pierwszy ukazała się w odmiennej od dotychczasowych ról, w roli niesłychanie czułej, nadludzko kochającej istoty. Maria de Chevreuse, która mogła kląć jak zwykły żołnierz, płakała jak anioł dobroci. Na korytarzu, przy zamkniętych drzwiach podsłuchiwał Bazin. Kiedy płacz kobiety wstrząsnął jego dobrym sercem, kiedy usłyszał imię wymówione głośno przez Aramisa, giermek wyprostował się, później zachwiał się, oparł się ręką o ścianę i przeżegnał.

Po chwili rzucił się na schody i wkrótce stanął na podwórzu. Tam ujrzał kurzem pokryty pojazd bez herbu i insygniów. Obok stał koń lekarza, który opóźnił swój wyjazd, spiesząc z pomocą kopniętemu przez konia gospodarzowi oberży. Chirurg mył ręce, kiedy Bazin zbliżył się do niego. Przeszywszy giermka ostrym spojrzeniem, zawołał:

– Co? Twój pan jeszcze nie umarł?

Bazin jęknął.

– Ach, monsieur, wy jesteście okropnym człowiekiem. Kazaliście mi się modlić o cud, modliłem się i... i...

Lekarz zmierzył go pytającym wzrokiem.

– No i cóż, mój dobry człowiecze?

– I cud się wydarzył, monsieur! – zawołał giermek ponurym głosem.

– Tam, do diabła, nie wydajesz mi się być bardzo szczęśliwym z tej racji.

W tej chwili z łoskotem rozwarła się okiennica na pierwszym piętrze. Rozległ się głos Aramisa.

– Bazin! Do trzystu diabłów; gdzie jesteś? Przyjdź tu natychmiast i pakuj rzeczy. Wyjeżdżamy!

W drzwiach dolnej izby ukazał się kompanion pani de Chevreuse, starszy, przebiegły człowiek w stroju lokaja. Gospodarz, którego rachunek był najwidoczniej w tej chwili zapłacony, podprowadził go do lekarza.

– Monsieur – zwrócił się lokaj – czy będziesz łaskaw poinformować mnie, ile wynosi twój rachunek za opiekę nad chorym?

Lekarz podał cenę, po czym udał się za Bazinem na górę, dzwoniąc pieniędzmi w sakiewce. Drzwi do pokoju były otwarte. Obcy znów z maską na twarzy, wąsami i bródką, pomagał choremu w ubieraniu się. Lekarz oniemiał na ten widok.

– Masz rację – zwrócił się do Bazina – wiek cudów powrócił.

Aramis spojrzał na chirurga i roześmiał się.

– Monsieur, jakżeż mi przykro sprawić ci zawód! Lecz niech mnie diabli porwą, jeśli zamierzam umrzeć dziś lub pojutrze!

– Zbyteczne. – Lekarz bacznie zaobserwował tchnące życiem oczy swego pacjenta, zmieniony wyraz twarzy, nagłą werwę i ochotę do życia. – W każdym razie, monsieur, zabierz ze sobą leki, które ci przyrządziłem. A jeśli rana się otworzy, poleć swemu giermkowi modlić się o cud, lecz niezależnie od tego wołaj natychmiast chirurga, bez tego bowiem twój stan będzie beznadziejny. Szczęśliwej drogi, monsieur.

Pokłoniwszy się, lekarz opuścił dom.

Bazin, dopomagając swemu panu przy wkładaniu, koszuli, szeptał rozpaczliwym głosem.

– Tezy, monsieur, tezy o Wielkich Schizmach! Przeor zabrał te cenne arkusze i odjechał...

– Diabli z nim i tezami! – odpowiedział Aramis. – Zabieraj moje rzeczy, siodłaj konie, siadaj na mojego, gdyż ja pojadę w karecie.

– Do Paryża, monsieur? – pytał nieszczęśliwy giermek.

– Na czarta, bynajmniej, nie! – odpowiedział dźwięcznym głosem obcy w masce i zaśmiał się serdecznie. W innym kierunku, mój dobry Bazinie... nie przypominasz mnie, sobie, hę? Mniejsza o to. Ale przypomnisz sobie miejscowość, do której jedziemy! Do Dampierre.

Bazin wydał z siebie dziki, niezrozumiały dźwięk. Przeżegnał się kilkakrotnie i zwrócił oczy ku niebu. Monsieur Bazin był człowiekiem wierzącym, ale nie gratulował sobie z powodu cudu, jaki rzekomo wymodlił u Boga.

ROZDZIAŁ VIII

Kawaler udowodnił, że może być dobrym robotnikiem

W drodze na północ i zachód towarzyszył d'Artagnanowi i jego kompanom tylko jeden giermek. Portos zostawił swego grubaska Mousquetona przy żonie, a Planchet, dawny giermek d'Artagnana, awansował na sierżanta w gwardii. Jego następca w niespełna tydzień stracił miejsce za kradzież. D'Artagnan nie posiadał więc służącego. Jeźdźcom towarzyszył milczący Grimaud, wierny sługa Atosa.

Podróżni odbyli przestrzeń pomiędzy Lyonem i Nevers bez postoju, toteż dotarli do miasta na słaniających się koniach. Gardła im zaschły od pragnienia. Powierzywszy konie stajennemu oberży, sami udali się na kolację. Grimaud starym zwyczajem pozostał w stajni, by dopilnować koni.

– Ach! – westchnął Portos zwalając się na krzesło, które pod jego naporem omalże nie załamało się. – Jesteśmy w Nevers. Stąd pojedziemy do Melunn. Z Mel...

– Nie tak prędko – przerwał mu d'Artagnan z rozkosznym uśmiechem na widok ustawianych butelek i potraw. – Stąd jedziemy do Orleanu.

– Co? – spojrzał na niego Portos szeroko rozwartymi oczyma. Atos, któremu kierunek podróży był najzupełniej obojętnym, nalewał sobie wino. – Przecież Orlean nie leży na drodze do Paryża.

– Nie jedziemy do Paryża – powiedział d'Artagnan. – Jedziemy do Orleanu, następnie do Longjumeau. Stamtąd udamy się wprost do Dampierre.

– Wspaniały program! – Atos podniósł kielich do góry – Za szczęśliwą podróż!

W tej chwili wszedł Grimaud, stanął naprzeciw swego pana i czekał na jego spojrzenie, po czym ruchem ręki opisał konia, obejrzał go dokładnie i zwracając się do wyimaginowanej obok postaci, rzekł:

– To jest koń według opisu.

Spojrzał na d'Artagnana.

Atos potwierdził niemy raport giermka i machnięciem ręki kazał mu wyjść, następnie popatrzył na przyjaciół. D'Artagnan przerażony, a Portos wielce zdziwiony.

– Otóż to, kardynał ofiarował ci konia, mój drogi d'Artagnanie – mówił badawczo Atos. – Pięknego konia, jednego na tysiąc. Szpieg ogląda go i stwierdza, że to ten, którego poszukuje. Voila. Wygląd konia jest znany. Montforge wyprzedził nas tedy i... zostawił za sobą człowieka. Strzeżmy się.

– No i co dalej? – zapytał po chwili d'Artagnan.

– Dalej? trudno przewidzieć – odpowiedział Atos – zresztą nie ma się o co trapić.

– Doskonale. Jestem zbyt zmęczony, by troszczyć się o to, co dalej.

Niezależnie od tego d'Artagnan wypytał dokładnie giermka o szczegóły i wygląd człowieka, który obserwował konia oraz o kawalera, który mógł tędy przejeżdżać. Nie dowiedział się nic konkretnego. Po chwili trzej przyjaciele spali jak zabici.

Oprócz tego małego incydentu nic się nie wydarzyło, by usprawiedliwić przypuszczenia Atosa. Następnego południa wieże Orleanu ukazały im się w powodzi złocistych promieni słońca, a w kilka godzin później byli już daleko od miasta na północnej szosie. Po drodze rozumowali, że jeżeli cośkolwiek miało się wydarzyć, powinno to było nastąpić przed

Orleanem. A skoro przejechali przez miasto bez przygód, przestali myśleć o niebezpieczeństwie.

Portos odrzucił już swój temblak. Rana zagoiła się. Nabył dla siebie mocnego konia, pochodzenia normandzkiego, który wprawdzie nie grzeszył zbytnią szybkością biegu, ale za to wytrzymywał wagę swego jeźdźca, niby gęsie piórko. Dzięki jego postawie, rycerskiej nonszalancji i rozmiarowi konia, brano go co najmniej za jakiegoś księcia.

Wreszcie pewnego upalnego popołudnia ukazało się oczom jeźdźców miasto Longjumeau z prześliczną, srebrzystą wstęgą rzeki Yvette wzdłuż obok ciągnącej się doliny. Z dala ominęli przydrożną oberżę, by uniknąć ewentualnego niebezpieczeństwa, natomiast rozglądnęli się za inną, „Pod Złotym Jabłkiem", znaną z doskonałego wina i kuchni. Na dziedzińcu Atos pierwszy zeskoczył z konia i rzuciwszy lejce giermkowi, udał się do oberży, by zbadać sytuację oraz zamówić wino i potrawy. Przypisując niemałą wagę pokojowi, w którym mieli zamieszkać, Atos polecił gospodarzowi prowadzić się do przeznaczonej dla nich kwatery.

D'Artagnan podszedł do koryta studni, wypełnionego wodą, by nieco się obmyć i ochłodzić. Dzień był upalny, a drogi pełne kurzu. W chwili, gdy trzymał ręce w wodzie, w szybkim tempie przejechał obok powóz, zaprzężony w czwórkę koni. D'Artagnan rzucił okiem w okno karety. W mgnieniu oka dojrzał twarz znajomą, która i jego rozpoznała. Za chwilę wszystko minęło. W powozie siedział Aramis.

D'Artagnan nie mógł zebrać myśli. Biała i wycieńczona była twarz przejeżdżającego, a jednak rozpoznał ją i był przekonany, że wzrok Aramisa mówił wyraźnie, że również go poznał. Dlaczego nie zatrzymał powozu? Dlaczego nie dał żadnego znaku? Z usposobienia ciekawy d'Artagnan postanowił ciekawość swą zaspokoić.

Rzucił się do bramy i po chwili stał na ulicy, wodząc oczyma za oddalającym się powozem... Pocztylion dla osiągnięcia pośpiechu popędzał konie batem. Jeszcze most, brama miasta i powóz zniknął z oczu. Najwidoczniej Aramis nie miał zamiaru zatrzymywać się.

Zakląwszy siarczyście, d'Artagnan popędził do koni. Wierzchowce jego i Portosa były już rozsiodłane, dosiadł konia Atosa, a nie widząc żadnego z przyjaciół, rzucił giermkowi krótko:

– Aramis! widziałem Aramisa!

Zaskoczony znienacka koń stanął dęba, obrócił się w stronę bramy i po chwili pomknął jak strzała. D'Artagnan miał szablę przy sobie; pistolety Atosa były w siodle. Bez ciężkiego płaszcza leciał jak błyskawica. Wpadł na rynek. Uciekający na wszystkie strony tłum klął groźnie. Nie bacząc na przekleństwa d'Artagnan pędził nie spuszczając z oka tumanów kurzu za oddalającym się powozem.

W pośpiechu muszkieter nie spostrzegł dwóch jeźdźców przed oberżą „Pomme d'Or", którzy właśnie byli zsiadali z koni. Oni go jednak zauważyli i zawoławszy: „to on!" dosiedli koni i popędzili za nim.

Po przejechaniu mostu, d'Artagnan mógł z łatwością obserwować przed sobą cel swej gonitwy. Powóz nie zawrócił na szosę wiodącą do Paryża, skręcił natomiast na zachód w stronę Palaisau. Snadź trafili na lepszą drogę, gdyż zaczęli szybko się oddalać.

– Do diabła! – zawołał gniewnie – czyżby Aramis nie chciał, bym go dopędził? Ba! Za wiele mam do stracenia, by ulec jego chwilowym grymasom.

Mimo, że koń muszkietera był zmęczony, pędził co tchu. Powóz zniknął za wzgórzem, lecz skoro d'Artagnan dostał się na szczyt, spostrzegł z zadowoleniem, że zyskał na przestrzeni. Czwórka jednak miała przewagę nad jednym, tym bardziej że po wspięciu się na szczyt koń d'Artagnana zaczął zwalniać biegu.

Na zakręcie d'Artagnan dostrzegł dwóch jeźdźców, którzy go doganiali.

– Hm! Na pewno Grimaud i Atos! – pomyślał sobie i znów zwrócił całą uwagę na powóz. W tej chwili postanowił dobyć wszystkich sił konia, by dotrzeć do powozu, a gdyby mu się to

nie udało, co najmniej zabić jednego z czwórki. Musi zatrzymać Aramisa za każdą cenę, musi otrzymać od niego wiadomości.

W międzyczasie d'Artagnan zdołał wyciągnąć z siodła jeden z pistoletów i wsunąć go za pas. Teraz sięgał po drugi, gdy naraz wyczuł jeźdźca tuż za sobą i zawrócił gwałtownie.

W tej chwili nieznajomy strzelił do muszkietera. Kula zerwała mu kapelusz z głowy, lecz nie zraniła. Teraz dopiero spostrzegł d'Artagnan swą pomyłkę. To nie byli przyjaciele, lecz obcy. Drugi jeździec mierzył w niego z pistoletu. Bez namysłu d'Artagnan podniósł broń i wypalił. W tej chwili jednak koń jego przykląkł na kolana. Kula przeciwnika ominęła muszkietera, ugodziła jednak w brzuch jego konia.

– Mordercy! – zaklął muszkieter. Naraz koń zwalił się na bok, wyrzucając go z siodła. Jak zwinny kot d'Artagnan szybko stanął na nogach.

Upadek obezwładnił mu rękę. Upadając z konia przygniótł ją dotkliwie.

Jeden z napastników zeskoczył z konia i chwycił za szablę, drugi dobijał ranne zwierzę.

– Mordercy! —zawołał d'Artagnan ponownie. – Czy wiecie, że macie przed sobą oficera królewskiej gwardii?

Pytanie to nie wywarło na drabach żadnego wrażenia. Byli to najwidoczniej jacyś weterani wojen z Italią i Niemcami, ludzie gotowi za cenę dobrego pistoletu podciąć człowiekowi gardło. Z całym wysiłkiem woli d'Artagnan dobył szabli. Nie było czasu do stracenia. Jeden z brutali nacierał już. Tu nie było najmniejszego złudzenia co do zamiarów napastników. D'Artagnan poznał się na nich natychmiast. Był to rodzaj ludzi, którzy zabijają lub sami padają w zawziętej walce z przeciwnikiem.

Unikając pierwszych cięć, d'Artagnan próbował metod napastnika i przekonał się, że aczkolwiek był dobrym szermierzem, bił się ciężkawo, po wojskowemu. Na razie muszkieter nie mógł czynić nic innego, jak bronić się.

– Bierz go z boku, Carabin! – zawołał drugi, gotując się do walki.

– Zrozumiano – odpowiedział towarzysz i natarł na d'Artagnana.

– Tchórze! – zawołał muszkieter, znalazłszy się w dwóch ogniach.

– Nie, monsieur – dobrzy robotnicy – odpowiedział Carabin zgryźliwie.

D'Artagnan cofnął się kilka kroków wstecz, by mieć oko na obydwie szable. Teraz dopiero wracał do siebie. Niezwykle szybkie cięcia jego rapiera oszołomiły przeciwników i zmusiły do tym większej natarczywości. Słońce chyliło się ku zachodowi. W blasku czerwonych promieni szable przeciwników nabrały koloru miedzi, a z oczu im tryskał piekielny ogień.

Carabin starał się zajść d'Artagnana z tyłu, lecz ten szybko plan jego zniweczył. Teraz opanowała muszkietera wściekłość, przed którą ustąpiła jakakolwiek groza niebezpieczeństwa. Kurz jaki się unosił spod stóp napastników, krwią zaszłe oczy, zaciśnięte usta, pot ściekający z czoła, błyskawiczne starcia szalej i śmierć, jakiej upatrywał u nich w przebiciu gardła, wszystko to zdawało się płynąć niby podniecające wino w żyłach muszkietera.

Naraz zaśmiał się głośno. Wciąż jeszcze bardziej zajęty przez pierwszego, d'Artagnan nagłym skokiem w bok uwolnił się za pewną chwilę od Carabina i zaatakował drugiego. Ta jedna chwila musiała decydować o losie kawalera. Nie wolno było jej stracić. Zabić jednego, a później skończyć z drugim. Kilka sekund upłynęło zanim Carabin mógł się zorientować w sytuacji i zbliżyć się do boku d'Artagnana.

W tych to sekundach rapier muszkietera obracał się przed oczami zbira z taką szybkością, że formalnie oślepił go. Trwało to jednak sekundę. Znów szable ścierały się. Jeszcze chwila, aż nagle d'Artagnan skierował cios w głowę napastnika, zwiódł go jednak, gdyż rapier przeszył mu szyję.

Carabin natarł z wściekłością.

– Tchórz! – wrzasnął na muszkietera. – Kawaler tak nie tnie!

– Oczywiście, że nie – odparł d'Artagnan z całym spokojem, broniąc się przed awanturnikiem. – Ja nie mam do czynienia z kawalerami, tylko z dobrymi robotnikami. Na wiarę, sam jestem dobrym robotnikiem.

– Pracuj więc, gdy obrócę cię w paliwo diabelskiego ognia!

Carabin zaatakował muszkietera z taką gwałtownością, że ten się zdumiał. To był szermierz lepszego kalibru aniżeli pierwszy. Doskonale znał się na sztuce i bynajmniej nie zamierzał popisywać się nią tylko, chciał zabić.

Ale d'Artagnanowi nie było to wszystko pierwszyzną. Hotel Muszkieterów nie był miejscem szermierskiej rozrywki. Nie zdziwił się, gdy dojrzał w lewej ręce zbira sztylet, którym najwidoczniej pragnął sobie pomóc. Był to jednak zabieg bezowocny gdyż rycerz nie dopuścił go do siebie na tak krótką metę.

Minuty mijały. Słońce zaszło. Walka trwała. Świadkami jej był zabity, dwa konie i trzeci zdychający. Carabin dwukrotnie dotknął d'Artagnana końcem szabli, raz w ramię, raz w gardło. Tak jednak lekko, że nawet krew się nie pokazała. Na nic się zdały fortele, ale też walka zbytnio się przeciągała. Nie mógł dopuścić myśli do głowy, by zbir zwyciężył.

Nagle muszkieter wbił rapier w przeciwnika. Carabin zachwiał się. Szabla wypadła mu z ręki. Patrzył na d'Artagnana okropnym wzrokiem. Krew szybko farbowała przepoconą koszulę.

– Ach! – ryknął strasznym głosem. – Ty... tyś mnie zabił...

Za chwilę zwalił się na twarz. Minęło kilka sekund i zbir uniósł się na łokciu z niemałym wysiłkiem. Na twarzy malował się obraz śmierci.

D'Artagnan stał z rapierem w ręku i łapał otwartymi ustami świeże, wieczorne powietrze. Panowała cisza, przerywana jedynie ciężkim oddechem konia. D'Artagnan obejrzał szablę. Nie było na niej śladów krwi, więc schował ją do pochwy.

– Wody! – jęknął Carabin – w siodle...

– Z całego serca – odpowiedział d'Artagnan i pospieszył do konia.

– Pij – podał rannemu butelkę do ust.

– Ale z ciebie mistrz, mój przyjacielu – pochwalił rycerza słabym głosem. – To jest przyjemność zginąć z takiej ręki. Twoje nazwisko?

– D'Artagnan, porucznik m...

– Ach, ty jesteś d'Artagnan, ten który zabił Jussaca. A więc to nie wstyd! Żałuję jedynie, że nie wykonałem polecenia. Więcej wody...

D'Artagnan pochylił się znów nad zbirem, podając mu wodę. W tej chwili ranny, ściskając wciąż w dłoni sztylet, zamierzył się nim w muszkietera, drugą ręką pociągnął go silnie za rękaw. D'Artagnan stracił równowagę i upadł na nogi zbira. Cios nie dopisał, sztylet zadrasnął lekko skórę rycerza na karku.

– Łotr – zawołał d'Artagnan, próbując się uwolnić z uścisku zbira. Gdybym...

Jak błyskawica zbir podniósł się z ziemi. Okrzyk rozpaczy wydarł się z jego ust. Umierał. Ostatnim, nadludzkim wysiłkiem Carabin uderzył d'Artagnana między oczy. Muszkieter padł twarzą na ziemię i leżał niby martwy.

Dwie godziny minęły.

D'Artagnan wracał do przytomności przerażony snami, jakie go dręczyły. Przez dłuższą chwilę wydało mu się, że śni dalej. Zziębnięty spostrzegł, że prócz koszuli niczego na sobie nie ma. Naraz posłyszał jakieś głosy. Nie ruszał się z miejsca.

– Zatrzymaj złoto, a mnie oddaj srebro – targowali się jacyś ludzie. – Wiesz o tym dobrze, że nie mogę trzymać u siebie złota. Wezmę srebro i mundur.

– To jest bardzo dobry mundur – protestował inny. – Nie jest tak zakrwawiony jak inne części garderoby. A te buty są z doskonałej skóry...

– Zostaw je, głupcze – odezwał się trzeci głos. – Chcesz, by nas indagowano. Buty są niebezpieczne. Zostaw je. Daj Ludwikowi srebro i mundur...

– Tu są jakieś papiery i list – przerwał pierwszy. – Masz, wyrzuć to. A co będzie z koszulą?

Dłoń ludzka ujęła d'Artagnana za szyję. Otworzył oczy i spostrzegł przed sobą człowieka.

– Coś twardego pod koszulą – mówił jeden z opryszków. – Na Boga! ten jest jeszcze ciepły...

D'Artagnan podniósł się naraz i usiadł. Domyślał się, że jacyś chłopi, ujrzawszy leżących na drodze, postanowili podzielić się łupem. Było ich trzech, w chwili jednak, kiedy miał do nich przemówić, wydali okrzyk przerażenia i co tchu pognali w pole.

– Głupcy, idioci! chodźcie tu! – wołał muszkieter. – Nic wam nie uczynię złego...

Na próżno. Pouciekali. D'Artagnan powstał na nogi, zaklął siarczyście i zamierzał ich gonić. Był boso i wpadł na kupę gałęzi. Klnąc ponownie, zawrócił i teraz dopiero spostrzegł dwa obnażone ciała. Po dłuższej dopiero chwili zorientował się w sytuacji.

Buty leżały obok. Buty i koszula stanowiły całe jego ubranie. Naciągnął je i podniósł wyrzucone przez napastników papiery. Nieco dalej znalazł swój rapier i pas. Włościanie nie odważyli się zabrać czegokolwiek, co mogłoby zwrócić na siebie uwagę władzy. Nie zabrali więc i koni, które spokojnie pasły się na łące.

Oprócz potłuczenia muszkieter nie znalazł na sobie rany. Nie posiadał jednak żadnych pieniędzy. Jego siodło było kompletnie wypróżnione. Jak się okazało, jego koń nie zdechł, odpoczął i karmił się trawą. Drugi koń miał ratować sytuację. Sprzeda go i za uzyskane pieniądze, kupi ubranie oraz zdobędzie nieco grosiwa.

– Ale, ale! Gdzie jest Atos, Portos? – mruknął pod nosem. – Niewątpliwie ruszyli za nim. Ach, pewnie udali się drogą do Paryża. Mniejsza o to. Mieli się wszyscy spotkać w Paryżu z lordem Winterem. W międzyczasie będzie musiał jechać do Dampierre i odszukać panią de Chevreuse. A teraz?... z powrotem do Longjumeau, czy naprzód?...

Nad pytaniem zastanawiał się krótko. Jeżeli wróci do Longjumeau, kompanów swych nie zastanie. Zjawienie się tam w takim kostiumie wywołałoby podejrzenia. Lepiej więc jechać na zachód i tam po drodze zaopatrzyć się w ubranie. Chwycił konia napastników za lejce, wskoczył na swego i ruszył w drogę.

Obejrzał się raz jeszcze na trupy przy drodze. Był przekonany, że nie oni byli temu winni, lecz Montforge. Szczęśliwie, że nie zabrano mu z szyi pierścionka. Kto wie, jaką jeszcze przysługę oddać mu może.

W kilkanaście minut później mijał zakręt. Opodal ujrzał żółte światełka wioski.

ROZDZIAŁ IX

Nagi nie ma wyboru

Wioska Champlain była niewielka. Oprócz kościoła, który wybijał się wieżycami ponad znikomą garstkę domów, pewną rolę odgrywała oberża. D'Artagnan skierował się do niej. Światełko nad bramą wskazywało, że karczma była jeszcze otwarta.

Na dziedzińcu przy zapalonej pochodni służący mył powóz. Na widok ekwipażu d'Artagnan ściągnął konia za lejce. Wszak to był ten sam powóz, za którym dziś gonił. A więc Aramis zatrzymał się w tej oberży. Służący odwrócił się od pracy i rzuciwszy okiem na przybysza, powiedział:

– A więc przyjechał pan. – Nie dojrzał osoby do chwili aż d'Artagnan stanął w świetle. – Tam do diabła! – zaklął pierwszy. – Mówiłem cymbałowi, żeby przyjechał z doktorem, a nie żeby wyciągał go z łóżka.

D'Artagnan szybko się zorientował w sytuacji. Widocznie posłano po lekarza do sąsiedniej wioski czy miasteczka, Aramis wyglądał w karecie bardzo blady i wycieńczony.

– Ergo – zawołał, zsiadając z konia – przestaję być muszkieterem i zamieniam się w lekarza.

—– Dobrze – zwrócił się do służącego. – Rana, jeśli się nie mylę? Ubranie nie odgrywa roli. Prawda jest, że wyciągnięto mnie z łóżka – tym lepiej. Gdzie jest pacjent?

– Diantre! Ubranie gra większą rolę, aniżelibyś przypuścił, Jeśli myślisz inaczej, zresztą to wasza rzecz. Wyglądasz mi pan więcej na żołnierza aniżeli na lekarza, mój przyjacielu.

– Na pewno matka Ewa zrobiła taką samą uwagę pod adresem Adama, kiedy ujrzała go po raz pierwszy w ubraniu. Mniejsza z tym; czy pacjent umrze zanim się wygadasz? Prowadź!

Zniecierpliwiony ton głosu muszkietera wzbudził w lokaju większy szacunek. Poznał, że ma do czynienia z nie byle kim. D'Artagnanowi śpieszyło się w istocie. Każdy z wioski poznałby, że nie jest lekarzem.

– Chodźcie – odezwał się wreszcie lokaj, kierując kroki do kamiennych schodów. – Mój pan spożywa kolację. Jego przyjaciel ma ciężką ranę, trudną do wyleczenia. Jazda karetą stan jej pogorszyła. Jeżeli rana otwarła się, nie ma dla niego ratunku. Nie mieliśmy odwagi popatrzeć.

– Nie obawiaj się – zapewnił go d'Artagnan. – Mam doskonały balsam, którego działanie jest zbawienne. Wyleczy wszystkie rany, oprócz sercowej.

W tej chwili przypomniało mu się, że nie posiadał nic przy sobie. Zarówno balsam jak i recepta, otrzymane od matki, zaginęły. Na szczęście miał przepis w głowie.

Lokaj przeprowadził muszkietera obok sali dziewcząt, a następnie obok pokoju, w którym jego pan spożywał kolację. Sam gospodarz obsługiwał. W sąsiednim, małym pokoiku leżał na tapczanie Aramis, owinięty w czarny płaszcz. Na stoliku tliła się świeczka. Lokaj podszedł do drzwi w ścianie i zapukał.

– Monsieur – zaczął do niewidzialnego przyjaciela Aramisa – lekarz przyjechał, ale bez żadnego odzienia, jeśli pan sobie życzy, by go ubrać...

– Do czarta! – zawołał d'Artagnan rozgniewany. – Odziej się sam lokaju i zabieraj się stąd co rychlej. Zatrzaśnij drzwi i nie dopuszczaj kobiet. Nie przyjechałem tu na paradę. Vivadiou!

Dość jeszcze czasu na ubranie. Precz. Każ mego konia zaprowadzić do stajni i nakarmić. Przynieś czyste szmaty i więcej świec. Żywo!

Lokaj skoczył wypełnić rozkazy. Wybuch śmiechu rozbrzmiał w sąsiednim pokoju. Przez drzwi pakował się do pokoju zamaskowany kawaler z kandelabrem w ręce.

– Oto masz światło, panie Eskulapie! – zawołał wesoło. A jeżeli mój przyjaciel wyzdrowieje, przyrzekam ci sześć pistoli, lecz jeśli umrze – kawał grubej stali.

– Do trzystu diabłów z twoimi pistolami, stalą i tobą samym – odparł d'Artagnan, pochylając się nad Aramisem, którego obandażowaną pierś przed chwilą odkrył. – Tak, jest w istocie w kiepskim stanie, ale ja go widywałem w gorszym. Potrzebna mi będzie ciepła woda, by odwinąć te krwią stwardniałe bandaże. No, cóż przyjacielu, na kogo tak się gapisz?

Oficer w drzwiach z pewną rozkoszą obserwował d'Artagnana.

– Szabla i koszula, hę, twój kostium... Łatwo je uzupełnić zaśmiał się intruz – a może zechcesz parę spodni, by dopasować je do szabli?

D'Artagnan odpiął pas, a z nim odpadł kawał koszuli. Popatrzył na swój strój i uśmiechnął się.

– Najprzód, monsieur, opatrzę chorego, a później pomyślę o sobie. – Muszkieter nie wiedział, czy gniewać się, czy uśmiać do rozpuku.

– A więc tak, mój Gaskończyku – bawił się nim dalej oficer – oświadczyłeś, żeś go widział w gorszym stanie. I gdzież to, jeśli wolno wiedzieć?

D'Artagnan chętnie odgryzłby sobie język.

– Powiedziałem, że widziałem innych w gorszym stanie – odpowiedział. – Widzę tam na krześle parę spodni. Wielce byś mnie zobowiązał, monsieur, gdybyś wrócił do swej kolacji i zostawił mnie przy pracy samego.

– Z całego serca, mój wymagający lekarzu! – rzekł nieco zdetonowany oficer, pokłonił się i wycofał za drzwi. – A gdy skończysz i zechcesz zaszczycić mnie swoim towarzystwem przy kolacji, będzie mi bardzo miło.

– Ach! – zawołał muszkieter – z miłą chęcią, monsieur, gdyż od południa nie miałem nic w ustach.

Intruz zamknął za sobą drzwi. D'Artagnan sięgnął po spodnie, które mu jako tako leżały. W chwili, gdy się nachylał, pękł łańcuszek na jego szyi i pierścionek potoczył się po podłodze.

D'Artagnan podniósł zgubę, wsunął na palec, a szkaplerz z łańcuszkiem schował do kieszeni. Gdy kończył zapinać spodnie, wszedł lokaj z tacą, którą zamierzał postawić przy chorym.

– Połóż to tam – wskazał na stół. – Teraz pomóż mi zdejmować bandaże. Będzie to wprawdzie bolesne, ale przywiedzie go do przytomności. Przygotuj świeże szmatki.

Za chwilę bandaże odwinięto. Ranę obmyto ciepłą wodą, po zdjęciu szmatek. Na widok rany d'Artagnan wydał cichy okrzyk. Chory podniósł powieki i patrzył na przyjaciela.

– Vivadiou! Jest zaogniona, ale na szczęście nie otwarta. – Nachylił się do ucha przyjaciela. – Cicho towarzyszu! Zachowaj spokój. Zalakowana paczka i list od Marii Michon zostały doszczętnie zniszczone. Wszystko jest w porządku. Gdybyś był nie uciekał przede mną, dowiedziałbyś się o tym wcześniej. Teraz cisza!

Na pół nieprzytomne spojrzenie Aramisa na te słowa zmieniło się w pewną niewiarę, następnie zmieniło się w wielkie zadowolenie. Jednakże Aramis nie mógł nic powiedzieć, gdyż obandażowano go jak mumię.

– Żadnej mowy, ani słówka – powiedział głośno d'Artagnan, wyczuwając za sobą giermka. – Proszę uspokoić się i spać. Jutro rano przyjdę, a jeśli zechcesz oświadczyć temu giermkowi, że jestem dobrym lekarzem, wielce się ucieszę.

Aramis zrozumiał i lekki uśmiech zarysował się na jego ustach. Patrzył na giermka.

– Powiedz twemu panu, że zostaniemy tu na noc, a już ja na pewno. Pragnę pomówić z twym panem z rana.

– Słucham was, monsieur! – odpowiedział lokaj, trzymając wodę, w której „lekarz" mył ręce. – Tylko nie wiem, gdzie ten pan będzie spał. Zajęliśmy tu wszystkie możliwe łóżka.

– Kłopot! Twój pan i ja będziemy spali w jednym łóżku – rzekł d'Artagnan niedbale. – Aramisie, ani słówka więcej! Będę jadł kolację z twoim przyjacielem. Ale, ale, ponieważ on jest zamaskowany, czy nie zechciałbyś powiedzieć mi jego nazwiska? Zezwalam na wypowiedzenie dwóch wyrazów.

Aramis patrzył na niego z pewnym zakłopotaniem.

– Mój drogi d'Artagnanie, żałuję bardzo, lecz tajemnica nie należy do mnie.

– Zatrzymaj ją więc dla siebie —rzucił d'Artagnan opryskliwie. Lokaj, najwidoczniej czymś podniecony, wyszedł. – Słuchaj, mój przyjacielu, Portos jest w pobliżu. Ja jadę do Dampierre. Wszystko jest na najlepszej drodze. Pomówimy z rana. Obróć się i śpij.

– Czekaj! – zawołał Aramis. W tej chwili drzwi do sąsiedniego pokoju otworzyły się i stanął w nich zamaskowany gość.

– Słyszę twój głos, panie d'Herblay. Wspaniale! W istocie dobry to jest lekarz, mimo, że przyszedł w koszuli i to jeszcze w koszuli zakrwawionej. Chodź, chodź, mój Eskulapie, zasiądź ze mną do kolacji, niech nasz przyjaciel śpi.

D'Artagnan przyjął zaproszenie i przeszedł do jadalni. Lokaj czekał na niego przy krześle. Stół był suto zastawiony.

Usadowiwszy się, d'Artagnan zwrócił przede wszystkim uwagę na towarzysza. Nie znał go. Obcy siedział w kapeluszu i zamaskowany. Strój jego był bardzo wyszukany, koronki przy kołnierzu i rękawach prawdziwe Mechliny. Głos jego brzmiał kontraltem o wyjątkowym dźwięku. Rzucając od czasu do czasu okiem na obserwującego go d'Artagnana, rycerz dotykał palcami szyi.

.– Monsieur, wybacz mi proszę brzmienie mego głosu. Kilka lat temu byłem raniony w szyję i od tego czasu mam wadliwy głos. Sądząc z twego stroju, przybyłeś tu pewnie od łoża innego pacjenta, a może wprost z własnego łóżka.

D'Artagnan zauważył połysk drogich kamieni na palcu nieznajomego i domyślił się łatwo, że ma do czynienia ze szlachcicem.

– Zgadłeś, monsieur – odpowiedział ze swym ujmującym szczerym uśmiechem. – Mówiąc szczerze, od dwóch pacjentów, którzy próbowali mnie obrabować. Vivadiou! Byli bardzo bliscy tego.

– Sprawa wyjaśniona. – Oficer zdawał się bawić doskonale. D'Artagnan zajadał i pił ile wlazło. – Co się tyczy owej spółki w moim łóżku, to przykro mi powiedzieć, że nie aprobuję podziału łóżka. Ale możesz zostać, monsieur, w tym pokoju i spać na drugiej kanapie...

– Tym lepiej – wykrztusił d'Artagnan pełnymi jadła ustami. – Ponieważ spałem niedawno z dwoma trupami, wolę na pewien czas stronić od ludzi we śnie.

Uprzejmy gospodarz pokoju zaśmiał się serdecznie, ukazując rząd pięknych białych zębów.

– Nigdy nie próbowałem takiej drzemki, chociaż królowa Margot wprowadziła w czyn podobną rozmyślnie. Jeżeli więc...

Mówiący naraz urwał. D'Artagnan podnosząc kielich do ust ręką, na której palcu miał pierścień, błysnął ogniem prześlicznego szafiru. Spostrzegł się wprawdzie, ale za późno.

– Monsieur, ten pierścień! – zawołał zamaskowany rycerz, nachylając się do ręki muszkietera. – Zadziwiające. Jeżeli się nie mylę, znam ten pierścień doskonale...

– Niemożliwe – wtrącił d'Artagnan zaniepokojony. – To prezent od damy sprzed wielu lat i noszę go na jej pamiątkę.

Lokaj zapukał do drzwi i wszedł do pokoju. Pokłoniwszy się z wielkim szacunkiem przed swoim panem, oświadczył, że zaszła jakaś pomyłka, gdyż drugi lekarz nadjechał.

– Zapłać mu i wypraw go z powrotem – zawołał rycerz podniesionym głosem. – Wynoś się i zamknij drzwi za sobą. Czort z tobą, zostaw nas samych.

Tych kilka szorstkich słów nie było podyktowanych gniewem, lecz podnieceniem.

– Monsieur, pozwolisz mi zadać sobie kilka pytań? Nie jesteś lekarzem, a przecież zrobiłeś doskonałą robotę. Kim jesteś, nie dbam. Lecz powiedz mi, proszę, czy na pierścionku wyryte są słowa „Dolor hic tibi proderit olim”?

– Hm – zaczął d’Artagnan – nie zapomniałem swego Owidiusza w żadnym wypadku. „Ten smutek pewnie cię nie minie”. W każdym razie piękne motto, nieprawdaż, monsieur...

– Przekleństwo z tobą, odpowiesz mi na pytanie? – zawołał wykwitny rycerz gniewnie. D’Artagnan oparł się wygodnie o poręcz krzesła i dostrzegł poprzez otwory maski zagniewane, niebieskie oczy.

– Uspokój się, monsieur, ten pierścień nie dotyczy ciebie. Zapewniam cię.

– W myśl twego oświadczenia, monsieur – starał się panować nad sobą nieznajomy – jesteś królem Francji. Ponieważ mam zaszczyt znać króla, naszego dobrego Ludwika, osobiście, nie mogę w żaden sposób dać wiary twym słowom.

– Co? Moje oświadczenie? – zawołał d’Artagnan zmieszany.

– Otóż to. Jedyna dama, która mogła ci ofiarować ten pierścień, to Jej Królewska Mość, królowa.

D’Artagnan zdjął pierścionek z palca i popatrzył na napis w środku. W istocie, takie zdanie było tam wyryte. Schowawszy już poprzednio sygnet do kieszeni, d’Artagnan uczynił to samo z pierścionkiem z szafirem, odepchnął krzesło w tył i wstał.

– Monsieur – oświadczył nieprzyjemnym głosem – nalegasz na to, bym ci powiedział skąd ten pierścień pochodzi i jaki ja mam z tym związek?

– Nalegam? Ja żądam! – odpowiedział drugi impertynencko. D’Artagnan był już pewny, że ma do czynienia z jakąś wysoką osobistością ze dworu. A może to sam książę Orleanu, który widział pierścień na palcu królowej i znał go dokładnie.

– Bardzo dobrze, mój panie, powiem ci, skąd mam ten pierścień. Ale ponieważ tajemnica nie należy do mnie, potem zabiję cię.

W ślad za tym oświadczeniem wyciągnął szablę z pochwy. Zamaskowany rycerz nie poruszył się.

– Mów! – Zawołał głosem rozkazującym, najwidoczniej traktując pogróżkę d’Artagnana jako zwykłą sobie brawurę.

– Z największą przyjemnością – odpowiedział muszkieter, upatrując miejsca na szyi natręta. – Ten pierścień wręczyła mi Jej Królewska Mość w celu pokazania go madame Chevreuse, jako gwarancję mego posłannictwa. A teraz żałuję bardzo, monsieur, że muszę dotrzymać swego słowa, którego nigdy jeszcze w życiu nie złamałem...

Z niebywałą szybkością, bez chwili zastanowienia, d’Artagnan wymierzył cios w upatrzone miejsce.

Zamaskowany rycerz bawił się długim nożykiem, którym instynktownie odbił cios. Rapier muszkietera nie przebił szyi, ledwie dotknął żebra pod szyją. Kilka kropel krwi pociekło. Tajemniczy gość wydał okrzyk przerażenia i padł na poręcz krzesła, jak gdyby nieżywy. D’Artagnan zamierzał uderzyć po raz wtóry, zawahał się jednak chwilę.

– Tam do diabła! Nie będę dobijał nieprzytomnego człowieka – mruknął. – A jednak muszę to uczynić. Zobaczmy wpierw, z kim mamy do czynienia. A może to jakiś książę, który chroni Aramisa...

Muszkieter złożył szablę na stole, podniósł omdlałego rycerza i zerwał maskę z jego twarzy. Twarz była mu nieznana. Rozluźnił pasy, poodpinał guziki munduru i zauważył lekką ranę poniżej obojczyka. Jakież było jego zdziwienie, kiedy badając serce natrafił na coś, czego się najmniej spodziewał.

– A więc to tak, mój Aramisie – zawołał i chwilę się zastanowił. Zabrał się z całą delikatnością do przywrócenia porządku w garderobie omdlałego, pozapinał guziki i kołnierzyk, nałożył maskę z powrotem i opryskał twarz wodą. Jeden rzut oka na pierścienie, piękne delikatne rączki, zwój zakręconych, złotych włosów, powiedział mu wszystko. Do tej chwili kapelusz nieznajomej pozostawał na jej głowie. D'Artagnan próbował go zdjąć, okazało się jednak, że był przypięty szpilką.

Kiedy zamaskowana otworzyła swe niebieskie oczy, d'Artagnan cofnął się o dwa kroki, pochwycił szybko rapier i z przyłożonym ostrzem do szyi czekał.

– Ani słowa! – komenderował. – Monsieur, jak sam widzisz, nie ma ze mną igraszek. Szczęście dla ciebie, że przypomniało mi się na czas, iż chronisz mego przyjaciela Aramisa, w przeciwnym bowiem razie byłbyś już zabity. Osłabiłem swój cios i ledwo dotknąłem twego ciała. Tym uchroniłem cię od niechybnej śmierci. A teraz pragnę zamienić z tobą kilka słów. Jestem d'Artagnan – porucznik muszkieterów, a twoje nazwisko?

Zapytana wyprostowała się i wpatrzyła się w oblicze muszkietera. Po chwili uśmiech zaigrał na jej twarzy.

– Bogu dzięki za twoją pamięć, monsieur – zawołała. – Więc ty jesteś przyjacielem Aramisa, tym który nas gonił dzisiejszego popołudnia? Domyślałem się tego. Jestem kawaler de Moreau, krewny i zaufany pani de Chevreuse. W istocie rzeczy wszystkie jej sprawy przechodzą przez moje ręce. W tej chwili jest ona bardzo chora i nie może widzieć nikogo. Cokolwiek jednak masz jej do powiedzenia, powiesz mi, a będzie jej doniesione. Kilka słów Aramisa przekona cię o prawdziwości mego zapewnienia.

D'Artagnan pochylił szablę.

– A pierścień, kawalerze...

– Pierścień był dany pani Chevreuse przez królowę – brzmiała cicha odpowiedź. – Ja sam poprawiłem ten kamień dla księżnej.

D'Artagnan schował szablę do pochwy i nisko się pokłonił.

Wiedział teraz z kim miał do czynienia.

– Monsieur, czy zechcesz mi wybaczyć? Czy pozwolisz mi opatrzyć twoją ranę, którą tak niefortunnie ci zadałem...

– Nie, nie, ta rana jest bez znaczenia – odpowiedziała zapytana śmiejąc się żartobliwie. – Ale ty sam, panie d'Artagnan, jesteś ranny. Pozwól mi co najmniej...

D'Artagnan przebiegł szybko myślą poprzednią rozmowę z zamaskowaną.

– Ależ! Moje zadraśnięcia, mój drogi kawalerze, nie są warte uwagi. No i cóż? Zaczniemy jeść ponownie? Widzę z tego wszystkiego, że będę mógł zaufać ci w sprawie mojej misji...

– Naturalnie, bądź spokojny. – Towarzysz pociągnął haust wina. – Wskutek choroby pani Chevreuse jestem zmuszony zajmować się jej sprawami.

– W takim razie – zawołał d'Artagnan, będziesz w możności poinformować mnie, kto podpisał list, nie tak dawno otrzymany przez pana d'Herblay; list, który mu rozkazywał, by nadawcy nigdy więcej nie starał się zobaczyć, nigdy z nim rozmawiać i by przestał o nim myśleć.

Zamaskowany rycerz zbladł.

– Skąd ty, monsieur, masz wiadomości o tym liście? – List taki był zabrany Aramisowi w czasie napadu na niego.

– Człowiek, który go okradł, umarł na moich rękach. Rozpoznawszy pieczęcie Aramisa, listy te zniszczyłem.

– Ach! – okrzyk ulgi dobył się z piersi słuchającego. Po chwili wstał i wyciągnął rękę do d'Artagnana.

– Monsieur, jesteś człowiekiem honoru. Oddaję ci cześć i pełne uznanie.

D'Artagnan ścisnął miękkie, a jednak mocne paluszki i uczuł jakiś magiczny prąd, który przeszył jego żyły.

Subtelny gospodarz zająwszy miejsce przy stole ponownie, mówił dalej:

– List był podpisany przez Marię de Michon.

– Zgadza się – powiedział d'Artagnan. – A teraz – i tu nalał sobie wina – możemy wrócić do naszych spraw. Mam dwie misje do madame de Chevreuse. Jedna od mężczyzny, druga od kobiety. Wybieraj!

– Kobiety przede wszystkim, zawsze! – brzmiała wesoła odpowiedź.

– Doskonale. – D'Artagnan dotknął szafiru na palcu. – Jej Królewska Mość dała mi ten pierścień, by pokazać go madame de Chevreuse i prosiła, bym dostarczył jej te wszystkie wiadomości, jakie ona zechce mnie dla Jej Królewskiej Mości powierzyć. To wszystko.

– Aha! Mam wrażenie, że będę mógł mówić z madame. Powiedz Jej Królewskiej Mości, że testament Thounenina został posłany do Paryża przez Londyn, ale zupełnie oddany i pewny przyjaciel jest na straży. Z chwilą, kiedy ten testament zostanie zniszczony, wszelkie niebezpieczeństwo minie. Nie mogę się z nią komunikować. Marszałek de Bassompierre doniesie jej o wyniku.

– Dla uszu całego dworu? – zapytał d'Artagnan sucho.

– W kilku słowach, które ona zrozumie doskonale. Bóg miłuje odważnego.

D'Artagnan przytaknął głową.

– Czy mogę się dowiedzieć, monsieur, dokąd wieziesz mego przyjaciela Aramisa?

– Do zamku w Dampierre. Potrzebna mu jest dobra opieka. Jego powrót do zdrowia będzie bardzo powolny.

„Szczęśliwy Aramis – pomyślał sobie w duszy d'Artagnan. Kochany przez największą damę we Francji, najpiękniejszą kokietę w Europie... Kto życzyłby sobie szybkiego powrotu do zdrowia w takich warunkach?"

Opiekunka Aramisa zdjęła z palca duży, zdobny w ornamentację pierścionek z wspaniałym brylantem pośrodku.

– Bądź łaskaw, panie d'Artagnan, dać mi pierścionek powierzony ci przez królowę, a wziąć w zamian ten. Będzie on dowodem, żeś misję swoją spełnił. Ona rozpozna kamień, gdyż od niej to pochodzi ten podarek. No, a teraz druga misja?

– Obawiam się, że będzie mniej przyjemną. – D'Artagnan wsunął pierścień na palec i westchnął. Kamień królowej nie był tylko dla niego kamieniem. – Jego Eminencja kardynał de Richelieu posłał mnie do Dampierre z ustnym poleceniem.

Słuchająca spoważniała i utkwiła badawczy wzrok w d'Artagnanie.

– Ustne polecenie? Z jego własnych ust?

D'Artagnan potwierdził skinieniem głowy. – To nie jest niemożliwym – mówił – że Jego Eminencja dowiedział się o mojej misji od królowej. W rzeczywistości miałem wszystkie dane ku temu, by nie dotrzeć żywy do Dampierre. A jednak... m e v o i c i .

– A polecenie? – Zamaskowany rycerz pochylił się do d'Artagnana z zapartym oddechem.

– Oto słowa z ust Jego Eminencji. Jego Królewska Mość dowiedział się o wszystkim i zabiera dziecko pod swoją opiekę. Proszę być spokojną przez następnych sześć miesięcy. Jeżeli ulegniesz swemu upodobaniu do listów i gości, będziesz zgubiona. To wszystko.

Polecenie kardynała wywarło piorunujące wrażenie na słuchaczu. Lica pobladły, z ust wyrwał się krzyk rozpaczy, przenikliwy okrzyk, jak gdyby wypowiedziane przez d'Artagnana słowa raziły piorunem w serce. Głowa pochyliła się naprzód, słuchacz zemdlał ponownie.

– Tam, do diabła! – zaklął muszkieter. Wtem ktoś zapukał do drzwi. Wszedł lokaj. – Twój pan zemdlał, ocuć go. Nic groźnego się nie stało. Ja pójdę do pacjenta.

D'Artagnan wiedział oczywiście, że lokaj był w zmowie ze swym chlebodawcą.

Przeszedłszy do sąsiedniego pokoju, gdzie leżał chory przyjaciel, d'Artagnan skonstatował z zadowoleniem, że Aramis spał spokojnie. Na ustach igrał uśmiech, upodobniając rannego do anioła.

– Ach, mój drogi Aramisie, można wybaczyć księżniczce to, że się w tobie zakochała – mruczał d'Artagnan pod nosem. – Masz swoje wady, to prawda, ale z nimi w parze idzie twoje złote serce. Ciekaw też jestem, gdzie jest poczciwy Bazin? Dziwne, że nie przybył z tobą...

– Jestem tu, panie d'Artagnan – odezwał się głos z dołu. Z podłogi podniosła się melancholijna postać Bazina. – Szukałem doktora, a gdym powrócił, zastałem was, panie.

D'Artagnan roześmiał się serdecznie i nagle powstrzymał się od śmiechu z obawy, by nie zbudzić chorego. Wiedział doskonale, jakie uczucia trawiły biednego Bazina, toteż postanowił go uspokoić.

– No, mój Bazinie, nie przybyłem tu, by ciągnąć twego pana do dawnego życia, bądź spokojny. Przede wszystkim on może zaliczyć się do szczęśliwych, jeżeli zdoła zawisnąć jeszcze na nitce życia. Jego rana źle wygląda. Mam jednak wrażenie, że będzie mu dobrze. Zaopiekują się nim w Dampierre.

– Czy będzie żył, monsieur? – zapytał z niepokojem Bazin.

– Zdaje mi się, że włożyłem jego spodnie. Przybyłem tu w jednej koszuli – rzekł d'Artagnan. – Czy mógłbyś wyszukać mi jakiekolwiek ubranie? Jestem bez pieniędzy, ale mam konia do sprzedania. Może się zajmiesz tym...

– Mogę zarządzić wszystko, monsieur. Czy pojedzie pan z nami do Dampierre?

– Niestety. Pozostawię was tutaj, a ja wyjadę zaraz, skoro tylko postarasz mi się o odzież.

– W takim razie zajmę się tym natychmiast – odparł Bazin, nie ukrywając swej radości. – Co do ubrania, to mój pan ma tego pełno, a o ile sobie przypominam, będzie wam leżało doskonale. Są tam również buty do konnej jazdy. Przecież używać ich nie będzie.

– Doskonale. Pójdę się przespać. Dobranoc.

D'Artagnan wszedł do sąsiedniego pokoju, lecz zastał go pustym. W tej chwili posłyszał jakiś gwar na dziedzińcu. Wyszedł na kamienne schody i dojrzał dwóch jeźdźców opuszczających dziedziniec w galopie... Właśnie gospodarz wstępował na schody.

– Ach, monsieur, pojechali! – zawołał, ujrzawszy d'Artagnana. – Ów rycerz pozostawił karetę i pocztyliona z poleceniem, by rano chorego przewiózł, a wy, panie, macie zająć jego komnatę...

– Do diabła! – zaklął muszkieter. – A więc uciekła. Muszę ci pogratulować, mój kochany Monsigneur de Richelieu. Tuzin twych słów więcej znaczy, aniżeli moja szabla.

Ziewając wrócił d'Artagnan do pokoju.

ROZDZIAŁ X

Niezwykła przygoda hrabiego de La Fère

W oberży „Pomme d'Or" Atos i Portos dowiedzieli się od giermka, co zamierzył d'Artagnan. Nie stracili ani chwili czasu, by pospieszyć za nim. Jedynie trzeba było konie siodłać. Przy moście jakiś żołnierz oświadczył im, że widział jeźdźca według opisu, kierującego się na szosę do Paryża.

Nie żałując koni popędzili w tę stronę. Pod wieczór przybyli do Croix de Berny i orzekli ku wielkiemu utrapieniu swemu, że będą musieli wstrzymać dalszą pogoń, a to ze względu na zmęczone konie. Tu oczywiście nikt nie widział d'Artagnana.

– Kolację, wina i łóżko – zawołał Portos, wchodząc do izby. – Kapłony, wołowinę... ach, widzę tam kominek pełen paliwa. Nie tak tu źle, Atosie. Nasz porucznik zdecydował się niewątpliwie na tę drugą drogę, co?

Atos skinął głową, polecił Grimaudowi dopatrzeć koni i wszedł do izby. Nie odezwał się słówkiem, dopóki nie wypróżnił dwóch kielichów wina.

– Czy wiesz jaki to dziś dzień? – zapytał surowo.

– Owszem, wiem. Wtorek, dzięki wszystkim świętym, no i z tej racji ani kawałka rybki do piątku – odpowiedział Portos niedbale. – Życzyłbym sobie jedynie widzieć d'Artagnana przy nas. Trzeba pewnie będzie wracać do Longjumeau i wybrać tę drugą drogę.

– Nie możemy. Jutro jest trzynastego lipca.

– Co? – Portos otarł usta i popatrzył na przyjaciela. – I cóż z tego?

– Zapomniałeś jak widzę. Lord Winter będzie nas oczekiwał jutro w Paryżu. Jego misja jest wielkiej wagi. Wiemy już o tym.

– Pardieu. Masz rację, Atosie. Czy mamy jednak opuścić d'Artagnana? Znajdziemy go pewnie w Dampierre.

– Droga do Paryża leży przed nami. D'Artagnan zna miejsce i dzień spotkania. Na pewno tam będzie, jeżeli jest jeszcze żywy. A my, niestety, nie jesteśmy jeszcze w Paryżu.

– Ba! – zawołał Portos. – Pół dnia drogi, to wszystko.

– Świat był stworzony w sześciu dniach. Bądź przekonany, że w pół dnia Richelieu może bardzo wiele z tego popsuć.

Atos zabrał się do jedzenia. Dopiero kiedy się dobrze pożywił, przemówił: – Mój przyjacielu mam przeczucia – a wiesz o tym, że się nigdy nie zawodzę. Czuję, że to spotkanie z Winterem przyniesie mi albo ciężkie strapienie, albo jakąś wielką radość. Nie wiem które z nich.

Portos spojrzał przerażonym wzrokiem na Atosa, a zanim zdołał wydobyć z siebie słowo, Atos wstał i wyszedł.

Wczesnym rankiem dnia następnego wyruszyli w dalszą podróż. Minęli Chambord i Arcueil bez przygód, aż dopiero w pobliżu Chatillonu zdarzyła się im niemiła przygoda. Koń Portosa, olbrzymi normandczyk, padł. Widocznie wycieńczone zwierzę nie mogło już dłużej dźwigać ciężaru jeźdźca.

– Ach – zawołał Portos gniewnym głosem. – Pamiętasz, w Arcueil zatrzymaliśmy konie, by dać im wypoczynek. Ta gromada ludzi, która otoczyła nas... Pardieu. Założyłbym się o pistolet...

Atos dał znak Grimaudowi, który zsiadł z konia i oddał go do dyspozycji Portosa. Grimaud został przy normandczyku.

– Naprzód – zawołał Atos.

W pobliżu Chatillonu przyjaciele ujrzeli dwóch jeźdźców, którzy na ich widok dosiedli koni i pogalopowali do miasteczka.

– Widziałeś ich? – zapytał Atos. – Oni na nas czekali, Portosie, musimy się rozłączyć.

– A to z jakiej racji? – zapytał Portos zdziwiony.

– Jeden z nas musi spotkać lorda Wintera. Jeżeli pojedziemy razem, obydwaj będziemy zatrzymani. Dlatego rozłączmy się tu. Ty jedź na wschód i dostań się do Paryża przez Porte St. Antoine. Ja pojadę na zachód, przez Issy, przeprawię się przez Sekwanę i wjadę do stolicy przez Passy. Rozumiesz mnie?

– Rozumiem – odpowiedział Portos. – Tylko, że jeżeli oni będą widzieć nas wjeżdżających od Chatillonu, będą uważać na nasz wyjazd.

– Słusznie. Ale rozłączając się, dzielimy ich siły, psujemy im plany, a sami zyskujemy większe szansę wygranej. Bourg-la-Reine leży przed nami. Stamtąd do Paryża niedaleko. Jeszcze nie ma południa, nie potrzebujemy spieszyć się. Wystarczy przyjazd wieczorem. Znasz miejsce: Hotel Św. Łukasza.

– Dobrze – potwierdził Portos z rezygnacją. – Poczekam tu na Grimauda.

– Uczyń tak. Bądź zdrów. Do wieczora, Portosie.

Nie zwłócząc, Atos skręcił w boczną uliczkę i zniknął z oczu przyjaciela.

Atos wiedział doskonale, że nikt nie stał na przeszkodzie ich rendez-vous z Winterem. Nikt o tym nie wiedział. Natomiast wzbudzić podejrzenia mógł d'Artagnan, który wyjechał z Grenoble sam, a z Lyonu z przyjacielem i giermkiem. Montforge na pewno zabiegał o to, by go zabić w drodze, a z nim i towarzyszów.

„To niewątpliwie jest jego celem – rozmyślał Atos. – Zresztą, trudno przesądzać sprawę z góry. Otrzymał polecenia i to wystarczy. Ach, Richelieu: Mocny z ciebie człowiek. Ale kiedy używasz swej siły, by zbezcześcić kobietę, inne siły, które ci są nieznane, niweczą twoje zamiary. Raz już ważyłeś się przeciwko czterem i przegrałeś. Bądź ostrożny, teraz bowiem możesz zginąć".

Przeprawiwszy się przez Sekwanę w Issy, Atos wspiął się na szczyty Passy i dostał się na drogę wiodącą do Paryża. Południowe słońce mocno mu dokuczało. Teraz nie widział przed sobą niebezpieczeństwa i odczuwał wielki głód. W Auberge de la Pompę, tuż za Passy, zboczył do oberży i kazał nakarmić konia oraz zamówił pożywienie dla siebie. Pieniędzy miał dość, gdyż d'Artagnan podzielił sakiewkę, otrzymaną od Richelieugo, pomiędzy przyjaciół.

Już dosiadał Atos konia, by udać się w dalszą drogę, gdy naraz posłyszał za sobą głos.

– Panie hrabio. Panie hrabio.

Atos obejrzał się. Z tłumu biegł do niego starszy człowiek o pewnej dystynkcji z wyrazem radości na twarzy.

– Ach, panie hrabio. Co za szczęście...

– Mam wrażenie, że zachodzi tu jakaś pomyłka – odezwał Się Atos chłodno.

Starszy pan przystanął zaskoczony.

– Pomyłka? Monsieur, czy nie rozpoznajesz mnie? Nie znasz starego Gerwazego, służącego twego ojca, a obecnie twego wuja? Ależ tak, pan jesteś hrabią de La Fère...

Atos rozglądał się wokół i wyciągnął dłoń do staruszka.

– Gerwazy – przemówił z tkliwością. – Więc to ty? Jakżeś się jednak zmienił...

Stary sługa pochwycił rękę Atosa i ucałował ze łzami w oczach. Zanim zdołał przemówić, Atos odsunął go na chwilę, oddał konia chłopakowi i wziąwszy starego pod rękę, powiódł go do oberży. Zażądał osobnego pokoju i za chwilę siedzieli sami.

– Panie, przeszukałem cały Paryż za tobą – zawołał sługa podniecony. – Co za szczęście, że spotykani cię tu na drodze. Nikt nic nie wiedział, co się z tobą stało. Niektórzy mówili, że jesteś w wojsku, inni, żeś już pomiędzy umarłymi...

– Gerwazy, ja jestem umarły – rzekł Atos z nieudanym spokojem. – Skądże ciebie bogi prowadzą?

– Z Roussillonu, monsieur. Szukam ciebie z polecenia twego wuja. Jest chory, nie będzie żył długo. Błaga cię, byś do niego przyjechał... Posłał mnie i polecił szukać ciebie. Jest sam jak kołek w płocie, prócz ciebie nie ma żadnych krewnych...

– Ja tylko pozostałem? – Atos pochylił głowę. – Tak, to prawda.

– Byłem w Paryżu przez tydzień. Daremnie cię tam szukałem. Wczoraj przyjechałem do Passy, do kuzyna, który tu ma zagrodę. Monsieur, czy zechcesz pojechać tam ze mną. Proszę, powiedz, że tak...

Atos podniósł głowę. Można było stwierdzić, że miał twarz marmurową, bezkrwistą.

– Mój Gerwazy, hrabia de La Fére umarł. Żyje jedynie Atos, muszkieter...

– Monsieur – zaklinał staruszek – masz obowiązki, ach, prawda, wybacz mi, Twój wuj umiera. Jego ostatnim życzeniem jest widzieć cię. Czy jesteś żywym czy umarłym, spełnij ostatnie życzenie umierającego i jedź do niego.

– Tak – odrzekł Atos. – Człowiek ma pewne obowiązki.

Atos westchnął i poklepał dłoń starego sługi.

– Słuchaj Gerwazy, jestem zajęty sprawą nie do mnie należącą. Nie mogę odpowiedzieć ci w tej chwili. Czy masz pieniądze?

– Mam, monsieur – odpowiedział stary. – Mam dla ciebie również, tysiąc liwrów. Wuj myślał, że może będziesz potrzebował.

– Pieniędzy nie potrzebuję. Zatrzymaj je. Przybądź do Hotelu Muszkieterów, a właściwie do Hotelu de Treville na ulicy Vieux Colombier, jutro punktualnie o godzinie dwunastej w południe. Zapytaj o pana Atosa, rozumiesz? Jeśli mnie tam nie będzie, przyjdź następnego dnia w południe i tak codziennie. Na razie nie jestem panem samego siebie. Skoro jednak spełnię swe zadanie, spotkasz mnie tam.

Wierny sługa wydał okrzyk radości.

W dziesięć minut później Atos był w drodze do Paryża. Jechał niedbale, na ślepo, nie bacząc na to, dokąd jedzie. Cały był pogrążony w zadumie, zgorzkniały. Nic go w tej chwili nie obchodziło. Ludzie stronili od niego. Uważali go za wielkiego pana, pozbawionego towarzystwa. Wskazywał im to piękny koń, ofiarowany d'Artagnanowi przez Richelieugo.

Na miejscu, gdzie droga raptownie spadała do doliny La Chaise, na wybrzeżu Sekwany, koń zatrzymał się nagle.

Atos zbudził się i spojrzał na drogę. Na boku stał powóz ze złamanym kołem. W powozie piękna, zaambarasowana dama, bogato odziana. Patrzyła na Atosa z pewnym przerażeniem w oczach. Widocznym było, że czegoś się bardzo obawiała. Wokół nie było nikogo.

Zbliżywszy się do powozu, Atos z niezwykłą, wrodzoną gracją, pokłonił się kapeluszem.

– Madame – przemówił – widzę, że jesteś w kłopocie Jeżeli zaszczyciłabyś mnie łaską niesienia ci pomocy w jakiejkolwiek formie, jestem do twych usług.

Na te słowa przerażenie zniknęło z oczu nieznajomej.

– Ach, monsieur, widzę, że jesteś grzecznym kawalerem. Proszę więc zostań przy mnie aż do powrotu służby. Dwóch żołnierzy przechodziło tędy przed chwilą, gdyby nie spostrzegli ciebie nadjeżdżającego, na pewno obrabowaliby mnie.

– Bądź spokojna, madame – Atos zsiadł z konia i pokłonił się ponownie. – Jestem Atos muszkieter. Nic ci nie grozi. Jeśli mi powiesz, z jakiego pułku ci żołnierze byli, postaram się o to, by ich ukarano.

– Nie wiem, panie. Byłam zbyt przerażona, by zauważyć ich umundurowanie. Jestem kuzynką pana d'Estréesa, który jest w armii. Nasz mały zameczek jest w pobliżu. Gdybyś zechciał łaskawie mi towarzyszyć, byłabym ci bardzo wdzięczna.

Atos chętnie się zgodził. Wydało mu się, że tak pięknej dziewczyny nigdy jeszcze w życiu nie spotkał. Dziewczyny w istocie, gdyż była w wieku, gdy dziecko przemienia się w pannę. Atos spoglądał na kobiety krytycznym okiem, ale ta go zachwyciła. Jej świeża cera, jej niewinność dowodziły, że nie należała do dworu. Jej złote włosy nie były pudrowane. Oczy jej były koloru nieba. A ponad to wszystko posiadała wdzięk, nieczęsto spotykany, wdzięk jednej z tysiąca. Zanim jednak ruszyli, ukazał się na drodze powóz ze strony Paryża. Woźnica stanął przed panną d'Estrées, otworzył drzwi i spoglądał z niedowierzaniem na Atosa.

– Jeśli mademoiselle pozwoli...

– Dobrze. Ten pan będzie mi towarzyszył. Zajmij się jego koniem, Franciszku.

Atos podał jej rękę do powozu i sam usiadł obok. Doznał dziwnie miłego uczucia. Obecność dziewczyny, jej prostota i uprzejmość połączona z zaufaniem, z jakim zwróciła się do niego, rozkoszowały go.

– A więc pan jesteś z muszkieterów? – zapytała. – Ach, monsieur, jak to szczęśliwie się składa. Mój ojciec służył w tym samym pułku. Czy mam się wyspowiadać przed tobą z mych spostrzeżeń? Kiedy cię ujrzałam, wydało mi się zarazem, że nie jesteś przeciętnym człowiekiem. Pomyślałam sobie, że jesteś księciem w przebraniu. Przecież Atos nie jest imieniem męskim, to jest nazwa góry.

– Widzę, że pani jesteś doskonale obznajomiona z geografią – odpowiedział Atos i uśmiechnął się tym nieczęstym uśmiechem, który ukazywał jedynie wtedy, gdy był z kogoś bardzo zadowolony. – My wszyscy jesteśmy książętami, moje dziecko, lecz zbyt często w przebraniu...

– Tiens. Cóż za sposób mówienia? – zawołała panienka, serdecznie się śmiejąc. – Proszę: moje dziecko. Mój szanowny dziadek... nonsens, monsieur. Nie jestem dzieckiem, a ty nie jesteś filozofem. Ale oto nasz zamek. Przyznaj, czy nie piękny?

– Zachwycający.

– W takim razie pójdziesz tam ze mną, wypijesz szklankę wina, dasz koniowi możność wypoczynku, pozwolisz memu kuzynowi podziękować ci za uprzejmość, no i jeżeli będziesz grzeczny, pocałujesz moją rękę.

– Z całego serca, mademoiselle – zawołał Atos i po raz pierwszy od dawna poczuł się lekki na duszy. Jej słowa, śmiejące się oczy, młodość i niewinność uderzyły go w niezwykły sposób.

Po chwili konie stanęły przed wejściem do małego zameczku w dużym, pięknym parku, a choć otaczały go inne zabudowania, miał wszystkie cechy odrębnego, odosobnionego pałacyku. Dwa olbrzymie dęby osłaniały wejście. Sam zamek był w istocie niewielki, w stylu z czasów Franciszka I, to znaczy sprzed stu lat. Atos wysiadł pierwszy i podał ramię pannie d'Estrées, która natychmiast zwróciła się do służby.

– Czy mój kuzyn nie wyjechał jeszcze?

– Zdaje mi się, mademoiselle, że poszedł do stajni wybrać sobie konie.

– Doskonale. Powiedz mu, że chcę go widzieć i że mamy gościa.

Służący odszedł. Atos był wielce wszystkim zaciekawiony i chętnie towarzyszył pannie do mieszkania. Znał nazwisko d'Estréesów dobrze, nie wiedział tylko, że zamieszkują w tych okolicach. Dawna kochanka Henryka IV zostawiła dzieciom tytuł, ale nie nazwisko.

Atos nie stawiał żadnych pytań. Posiadał pewną delikatność, która nie była jedyną jego zaletą.

Zamówiwszy wino, młodziutka gosposia zawiodła gościa do biblioteki, gdzie wysoko nad półkami książek znajdowało się małe okienko.

– To jest nasz najchłodniejszy pokój na taki upalny dzień – oświadczyła.

– Jest to jednocześnie mój ulubiony zakątek. Poza tym chcę popatrzeć na Atosa w atlasie.

– Oszczędzę pani kłopotu – zaczął Atos. – Jest to nazwa góry w Grecji, zamieszkałej przez zakon, który nie dopuszcza do swej siedziby kobiet.

– Kiedy pan, w przeciwstawieniu...

Atos uśmiechnął się.

– Ja, mademoiselle, nie przedstawiam ani kontrastu ani zgody. Lecz cóż za piękna, bogata biblioteka. Skoro przeczytasz, mademoiselle, te wszystkie tomy, drżę na myśl o twej uczoności.

– Przeczytałam je wszystkie – zawołała wesoło – wszystkie oprócz Platona, który, moim zdaniem jest nudny. No i prawdopodobnie nie wyglądam na uczoną, sądząc z twej obserwacji.

Służący przyniósł na tacy wspaniały srebrny serwis do wina z kielichami z weneckiego szkła. Atos w międzyczasie oglądał bibliotekę. Był zdumiony prześliczną oprawą dzieł, między którymi wybijały się prace Rabelaisa w oprawie według wzoru Fevarta, wykonanego dla Henryka II. Przy tym wszystkim panował tam bezład. Kłócili się z sobą autorzy greccy, łacińscy i francuscy. Montaigne cierpiał obok Księgi Godzin XIV Wieku, umieszczonej w bogatej skrzynce, wysadzanej drogimi kamieniami ręką Piotra Lovata.

Mademoiselle d'Estrées nalała dwa kielichy wina i podając jeden Atosowi wzniosła toast.

– Na cześć złamanego powozu, który spowodował tak sympatyczne spotkanie! Ach, słyszę nadjeżdżającego kuzyna, przepraszam pana na chwilę. Postawiła kieliszek z nietkniętym winem na stole i wyszła. Atos uniósł kielich pod światło i rozkoszował się pięknym kolorem ulubionej malagi. Już miał dotknąć go ustami, gdy uwagę jego zwróciły ślady rozsypanego na tacy proszku. Ślady te widniały obok miejsca, na którym stał jego kielich. A co ciekawsze, taca gdzie indziej była tak czysta, że nie można było zarzucić niedbalstwa służbie.

Muszkieter postawił kieliszek na tacy i rozejrzał się wokół. Dziwne podejrzenia w nim się zbudziły. Wstał, podszedł do drzwi, otworzył je i rozglądał się po korytarzu. Nieco dalej były uchylone drzwi, wiodące do innej komnaty. Stamtąd doleciał go przyciszony głos ludzki.

– Głupia, to nie jest ten człowiek, pardieu! Koń ten sam, ale jeździec inny. Widocznie zamienili ze sobą wierzchowce.

– Czy to moja wina? – odezwała się panna d'Estrées. – Polecenie, jakie otrzymaliśmy, wykonaliśmy.

– Dokończ go więc, ja nie mam czasu! – odpowiedział jakiś mężczyzna. – Muszę odjechać w tej chwili. Mówisz, że nie można dostać się tam bez pierścionka? W takim razie zamówię pierścionek, skoro wysłany przez ciebie zaginął.

– Pamiętaj tylko, aby był z herbem Bassompierre'a! – przestrzegła kobieta. – Nie zapominaj również o straży w St. Saforin!

– Oczywiście – zaśmiał się pierwszy. – Wezmę dziecko do Grenoble. Nie ma żadnych wiadomości dzisiaj?

– Z Londynu żadnych. Marconnet przyjechał dziś rano z Lyonu. Rozeszła się pogłoska, że król jest chory. Gdybyś miał jakikolwiek kłopot, przywieź chłopca tutaj. Bądź ostrożny. Bassompierre będzie tu dziś lub jutro.

– Dziś wieczorem albo jutro wieczorem, chciałaś powiedzieć – zaśmiał się pierwszy ponownie. – Nie mogę dłużej tu pozostać. Pójdę rzucić okiem na naszego ptaszka. Jeżeli dawka nie poskutkowała, będę musiał utopić w nim szablę...

Atos, podsłuchawszy całą rozmowę, cofnął się do pokoju z przerażeniem. Szybkim ruchem ręki wypróżnił zawartość swego kielicha za biblioteką, wyciągnął się w fotelu, zamknął oczy i udawał upojonego narkotykiem.

Okropna bladość jego lic sprzyjała tej komedii.

Wyglądał w istocie jak człowiek otruty. Dzięki podsłuchanej rozmowie łatwo domyślił się, gdzie był i kim była urocza znajoma. Dziewczyna, która wywarła na nim tak wielkie

wrażenie, była Helena de Sirle. Pierścień, o którym była mowa, znajdował się na palcu d'Artagnana. Wszystko to formalnie sparaliżowało Atosa.

– Chwycił się – zawołał głos męski w drzwiach. – Doskonale! Wyjeżdżam. Marconnet zajmie się nim. Jaki jest adres jubilera, który robił poprzedni pierścień?

Panna d'Estrées odpowiedziała półgłosem. Męskie kroki ucichły.

Atos otworzył oczy. Teraz dopiero orientował się, że owym mężczyzną był Montforge. Podszedł do okna i ujrzał na dziedzińcu rycerza dosiadającego konia.

– Sprawiedliwy Boże! – zawołał Atos w duszy zrozpaczony. – W jakie to ręce ja tu popadłem? Jedna tylko prowadzi stąd droga.

Wyciągnął z pochwy szablę. Drżenie, jakie opanowało go przedtem, minęło. Zapałał gniewem i chęcią zemsty. Od chwili spotkania powozu sporo upłynęło czasu. Słońce chyliło się ku zachodowi.

Ażeby przedostać się do drzwi wchodowych, Atos musiał wyjść na korytarz, z którego podsłuchał rozmowę. Otworzył drzwi i natknął się na lokaja. Momentalnie przyłożył mu koniec rapiera do gardła.

– Ani słowa! Obróć się i prowadź.

Zamiast wykonać rozkaz, lokaj wyciągnął zza pasa sztylet i zaalarmował dom okropnym krzykiem. Rapier Atosa przeszył mu gardło, za późno jednak by zapobiec alarmowi.

– Najwidoczniej szatan dostarczył służących do tego przeklętego domu! – zaklął, uwalniając rapier z gardła lokaja.

Atos pospieszył do drzwi i stanął jak wryty. U stóp schodów stała Helena de Sirle. Prawdopodobnie żegnała na dworze Montforge'a i posłyszała krzyk służącego. Wydawała w tej chwili rozkazy. Atos ujrzał przez drzwi trzech drabów spieszących do niej z obnażonymi szablami.

– To on! – zawołała głosem podrażnionej lwicy. – Zabijcie go! – sama ruszyła naprzód.

Atos spostrzegł pułapkę. Przez okno widział przy połamanym powozie swego konia, ale nie mógł do niego dotrzeć. Skoczył szybko do pokoju, zatrzasnął i zatarasował drzwi. Za chwilę uderzyli w nie napastnicy całym ciężarem swego ciała. Drzwi wytrzymały.

Atos pospieszył do schodów wiodących jeszcze wyżej. Jedyny ratunek widział w dotarciu do konia. Głosy poruszonych mieszkańców dochodziły go zewsząd. O wydostaniu się przez drzwi nie było mowy. Nawet nie mógł myśleć o ucieczce oknem. W połowie drogi na schodach padł strzał w jego kierunku. Atos stracił równowagę i upadł na kolana. W tej chwili na najwyższym stopniu schodów ukazał się człowiek z szablą w ręku.

– Marconnet! – zawołał głos kobiecy z dołu. – Monsieur Marconnet, zabij tego człowieka!

– Chętnie! – odezwał się przeciwnik z góry i uderzył na Atosa.

Muszkieter wiedział, że Marconnet był kurierem z Lyonu. Mimo upadku trzymał w ręku szablę i powstawszy szybko, odparł pierwszy atak i sam zaatakował. Trzeba było się spieszyć, gdyż trzej z dołu przedarli się przez zatarasowane drzwi i spieszyli, by zaatakować Atosa z tyłu. Na szczęście do tego nie doszło. Z ust Marconneta wydarł się przeraźliwy okrzyk. Atos przeszył mu brzuch po rękojeść. Zanim muszkieter zdołał wyciągnąć szablę, nieszczęsna ofiara runęła na schody i stoczyła się na trzech drabów na dole. Ciężarem swego ciała Marconnet zwalił całą trójkę z nóg i wszyscy potoczyli się na podłogę niższego piętra. Atos chwycił rapier Marconneta i skoczył do góry. Kula z pistoletu zdarła mu kapelusz z głowy i zadrasnęła skórę. Krew sączyła się z lekkiej rany. Z szybko powziętym planem działania, Atos rzucił się do pierwszych drzwi na górnym korytarzu i rozwarł je szeroko. Znajdująca się tam pokojówka wydała okrzyk przerażenia. Atos wepchnął ją do środka i zamknął drzwi. Sam rzucił się do następnego pokoju i zatrzasnął drzwi za sobą, przy czym przekręcił klucz w zamku.

– Tam do diabła! – odezwał się głos w pokoju. – Co to ma znaczyć, monsieur?

Atos obrócił się szybko. Nareszcie dostał się. do pokoju, z którego mógł skoczyć na balkon poniżej, a stamtąd na konia. Pokój był wspaniale umeblowany. Prześliczne draperie osłaniały wielkie dębowe łóżko, na którego bokach były wyrzeźbione momenty z życia sławnych kobiet. Z boku stał piękny mahoniowy stół, pełen przyborów toaletowych. Na pewno był to pokój pani domu. Przy oknie stał młody, bladolicy człowiek w negliżu, który widocznie wstał przed chwilą i zamierzał odsłonić kotary. Zaalarmowany wejściem obcego, młodzian chwycił za szablę. Atos rozpoznał w nim dworzanina, Sourensa, znanego z miłości do pięknych kobiet.

– Wybacz mi monsieur – odezwał się Atos, próbując drzwi – nie wiedziałem, że pokój był zajęty. Bądź łaskaw pozwolić mi przejść...

– Przejdź jak przyszedłeś – odpowiedział Sourens nienawistnie. – Ventrebleu! Żeby taka kanalia pozwolił sobie na wejście do tego pokoju. Precz, mówię, zanim cię schłostam, ty łotrze!

Atos zbladł.

– Monsieur – odezwał się oburzony – jeżeli twe chłosty są tak staroświeckie jak twoje przekleństwa, nie są one groźne. Usuń się na bok!

Atos skierował kroki do okna. Sourens zatarasował okno swoją osobą.

– Niech cię czort porwie. Ja cię nauczę jak przemawiać do pana. – Sourens zaatakował Atosa.

Atos wytrzymywał atak z pobłażliwym uśmiechem. Po chwili usłyszał głosy z dołu.

– Monsieur! – zawołał grzecznie. – Nie życzę sobie skrzywdzić cię, ale zależy mi na tym, bym natychmiast wydostał się stąd przez to okno. Jeżeli nie ustąpisz, zabiję cię.

Podrażniony lekceważeniem przez przeciwnika Sourens obrzucił przekleństwami Atosa.

– Ptaszku więzienny, złodziejaszku, domyślam się, że jesteś jakimś wyrzutkiem z przedmieścia. Zachciało ci się przejść przez ten pokój. Proszę, proszę. Czy wiesz, drabie, żeś się wdarł do pokoju panny de Sirle i że...

– Ach, tak – zawołał Atos. – Skoro się tu znajdujesz, nie jesteś we własnym pokoju. Mam więc prawo zrobić to, co zamierzałem.

Muszkieter przeszył serce Sourensa i dopadł do okna.

Słońce kończyło swą dzienną wędrówkę. Przed Atosem ukazał się balkon. Ogród znajdował się o przeszło trzy metry niżej. Koń stał przy powozie. Z ludzi nie było widać nikogo. Snadź wszyscy zajęci byli poszukiwaniami w domu.

Atos rozpiął pas i rzucił go wraz z rapierem na klomb kwiatów. Sam zawiesił się na szynie balkonu i skoczył.

Wewnątrz pałacu słychać było ogromny hałas. Nikomu nie przyszło na myśl by zajrzeć do ogrodu. Atos podniósł swą broń z ziemi, przypasał ją do boku i za chwilę przejeżdżał bramę ogrodu.

– Stanowczo – mruczał do siebie – nie zazdroszczę d'Artagnanowi misji do tej damy.

Naraz zachwiał się na koniu i musiał użyć całego wysiłku woli, by nie runąć na ziemię. Potarł ręką czoło, uniósł się na strzemionach i za chwilę był już na drodze. Bez kapelusza i ranny stał się widowiskiem ludzi.

Atos zapomniał, że był jeszcze z dala od Paryża!

ROZDZIAŁ XI

Bardziej niezwykła przygoda pana du Vallona

Ponieważ każdy wiedział, że pan de St. Luc bawił na dworze królewskim, a jego hotel na Placu Królewskim był zamknięty na lato, ukazanie się służby w hotelu, otwarcie jego podwoi i okiennic dnia 13 lipca wywołało zrozumiałe zdziwienie. Ze względu jednak na zupełne opróżnienie dzielnicy hoteli i pięknych rezydencji w tej porze roku nie było tam nikogo, kto by mógł taką zmianę wyjaśnić.

Wczesnym rankiem tego dnia zajechał przed hotel powóz. Wysiadł z niego bogato ubrany pan o surowych rysach twarzy. Był to lord Winter, Baron Sheffield. Zarządca hotelu wyszedł na spotkanie gościa i nisko mu się pokłonił.

– Milordzie, wszystko jest gotowe na twój przyjazd. Spiżarnia jest zaopatrzona, łóżko przewietrzone. Pan mój zostawił mi polecenie, bym traktował cię, milordzie, jak jego samego. Jesteśmy tu wszyscy do waszych usług i wierzymy, że nie będziesz miał powodu skarżyć się na nas.

Lord Winter skinął głową.

– Doskonale – odpowiedział – oczekuję tu dziś czterech panów, którzy będą pytać o mnie. Możliwe, że przyjadą wszyscy razem, a może każdy z osobna. Może przyjadą w południe, a może dopiero o północy. Pragnę wydać na ich cześć suty bankiet z najprzedniejszymi trunkami.

– O której godzinie, milordzie?

– O jakiej przyjadą.

– A jeżeli opóźnią swój przyjazd do wieczora, czy monsieur będzie spożywał obiad.

– Tak, z chleba i mleka jedynie. W moim pokoju.

Lord Winter udał się następnie do swego pokoju i tam wypoczywał do wieczora.

W powolnym tempie minęło południe, nadszedł wieczór, zapalono światła, bankiet był gotowy, tylko goście nie nadjeżdżali. O dziewiątej lord Winter jadł skromną kolację złożoną z mleka i chleba. Obsługiwał go własny lokaj, który mówił łamaną francuszczyzną, a który na częste zapytania zarządcy o gości ruszał tylko ramionami.

– Mój pan zaprosił ich – odpowiadał – więc przyjadą.

O dziesiątej lord Winter, który był siedział przy oknie, ukazał się na głównych schodach i zaczepił zarządcę.

– Słyszę tętent galopującego konia, zejdźmy na dół.

Zarządca spojrzał na lorda z niedowierzaniem. Zeszli na dół w chwili, gdy zapalono pochodnie, przy których ujrzeli dopiero co wjeżdżającego do bramy jeźdźca na omalże padającym ze zmęczenia koniu. Przybysz zeskoczył z konia, tak jednak był cały pokryty kurzem, że trudno go było rozpoznać. Podszedł do lorda:

– Milordzie – zawołał, słaniając się na nogach.

– Na miłość wszystkich świętych. Wszak to pan d'Artagnan! – odpowiedział lord chwytając muszkietera w objęcia i tuląc go do piersi serdecznie. Następnie poprowadził gościa do hotelu, nakazując lokajowi przygotować natychmiast kąpiel i ubranie z własnych kufrów. D'Artagnan, który od śniadania nie schodził z konia, zamęczył biedne zwierzę, lecz przyjechał.

Po kąpieli, odświeżony i przebrany w najlepszy strój lorda, d'Artagnan jakby odżył. Wkrótce też wszedł do jadalni, gdzie oczekiwał go de Winter.

– Monsieur, na dole czeka jakiś pan, który przybył pieszo. Pyta o was, panie – zaanonsował zarządca hotelu, wszedłszy jednocześnie z muszkieterem do jadalni.

D'Artagnan wyskoczył momentalnie z pokoju i po chwili trzymał w objęciach Atosa. Twarz nowego przybysza zalana była krwią. Przybył w istocie pieszo. Przy wjeździe do Paryża zemdlał i spadł z konia. Przez dwie godziny leżał w mieszkaniu doktora skąd przyszedłszy do przytomności, wydarł się przemocą i pospieszył na miejsce spotkania. Szedł niby ślepy i głuchoniemy, nie odpowiadając na zaczepki gawiedzi.

Z kolei Atos się wykąpał i przebrał, i z obandażowaną głową wszedł do salonu. Lord Winter ciekaw był ogromnie przygody gościa. Zanim jednak Atos zaspokoił jego ciekawość, zwrócił się do przyjaciela:

– D'Artagnan, nie spełniłeś swego zadania w Dampierre?

– Owszem – odpowiedział zagadnięty – lecz do Dampierre nie jeździłem. Dwóch ludzi próbowało mnie zabić, ja ich zabiłem. Jeden z nich mimo to uderzył mnie tak silnie w głowę, że straciłem przytomność i padłem na niego. Przechodzący wieśniacy, myśląc, że jestem zabity, obrabowali mnie, jednakże...

– Aramisa nie znalazłeś?

– Znalazłem. Wszystko jest w porządku. Ale ty, mój przyjacielu, jeszcze cię nigdy nie widziałem w takim stanie.

– Ba, spadłem z konia i rozbiłem sobie głowę. Rozłączyłem się z Portosem, zostawiając mu Grimauda. Czy jeszcze nie przyjechali?

Właśnie w tej chwili nadjechał Grimaud. Lokaj sprowadził giermka do jadalni.

– Mów – pierwszy odezwał się Atos – gdzie jest pan Portos?

Nieszczęśliwy Grimaud rozłożył ręce.

– Bóg raczy wiedzieć, monsieur. Zatrzymaliśmy się w oberży. Było tam dwóch zamaskowanych panów. Pan Portos dosiadł się do nich i mam wrażenie, że zaraz porządnie sobie podpił. Zamówili kolację, a mnie służba wypchnęła i zmusiła do wyjazdu.

– Jakże to? – zawołał Atos. – Dwóch zamaskowanych, mówisz? Czy inni też byli zamaskowani?

– Tylko dwóch oprócz pierwszych dwóch, monsieur.

– Ciekawe – mruknął d'Artagnan. De Winter zaśmiał się.

– Nie będziemy więc czekać na Portosa. A Aramis?

– Jest ciężko ranny, ale pod dobrą opieką. Nie przybędzie.

– W takim razie zasiądźmy do kolacji. Wnosząc z tego, co słyszę, każdy z nas będzie miał wiele do powiedzenia.

– To prawda – wtrącił Atos ponuro – ale nie przy służbie.

Wszyscy trzej weszli do iście królewskiej jadalni, zbudowanej przez Gerarda de St. Luca, który, jak ogólnie mówiono, miał zamordować księcia Burgundii, Karola Śmiałego, podczas oblężenia Nancy w r. 1477. Stoły uginały się pod wyszukanymi potrawami najlepszych kucharzy.

Atos nie zwrócił uwagi na wspaniałości stołu, pił doskonałe wino tak, jakby pił najzwyklejsze na świecie. Był w tej chwili w nastroju ponurym, jak to się często u niego zdarzało. D'Artagnan natomiast zachwycał się każdą potrawą z osobna i pił wino ze smakiem.

– To nie jest kolacja, mój kochany baronie! – zawołał. – To jest uczta nad ucztami. Doprawdy jesteś wspaniałomyślny.

– To dlatego, mój drogi d'Artagnanie, że przyszedłem tu prosić o wspaniałomyślność.

Portos nie zjawiał się. Podano owoce, orzechy i wino, po czym lokaj barona zniknął za drzwiami.

– Do ciebie, Atosie! – lord Winter podniósł kielich do ust. – Jeśli pozwolisz, pierwszy będę mówił, a następnie ty, jeśli oczywiście zechcesz. Otrzymałeś na pewno jeden z czterech napisanych przeze mnie listów i pewnie odkryłeś tajny dopisek wodnymi znakami. Wiesz zatem, że mowa tam była o królowej.

Atos odepchnął kielich wina i słuchał.

– Jest to sprawa łatwa do powiedzenia, trudna do opisania – ciągnął dalej lord Winter. – Panowie wszyscy byliście przyjaciółmi księcia Buckinghama. Wszyscy cieszyliście się jego zaufaniem, dlatego też do was się zwróciłem. Możliwe, że wiecie o tym, że mam krewnych w Nancy, jestem nawet spokrewniony z księciem Karolem Lotaryńskim. Jeden z mych przyjaciół, który jest jednocześnie przyjacielem madame de Chevreuse, napisał do mnie w bardzo ważnej sprawie i na skutek tego pisma wysłałem listy do was.

– Ach! ach! – przerwał mówiącemu d'Artagnan. – Nie masz na myśli... ale nie, to niemożliwe! Nie idzie tu chyba o testament Thounenina!

Anglik został zaskoczony słowami d'Artagnana.

– Co? – zawołał. – Chyba nic jeszcze o tym nie wiesz...

– Zamilknij, mój synu, – odezwał się naraz Atos do d'Artagnana. – Pozwól naszemu gospodarzowi wypowiedzieć się najpierw. Później dopiero postaram się uzupełnić go wiadomościami, jakie sami posiadamy. Zresztą sami niewiele wiemy. I to tylko z domysłów.

– Dobrze więc – mówił dalej de Winter, otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia. – Wiejski wikary w pobliżu Wersalu, krewny madame de Chevreuse, otrzymał od niej dziecko na wychowanie jakie cztery lata temu, noworodka. Wynagrodzono go za to suto i udzielono pewnych wskazówek, których miał się trzymać. Bawiąc przeszło pół roku temu w Lotaryngii, gdzie przeczuł bliską śmierć wikary uzupełnił swój testament kodycylem. Testament był sporządzony w r. 1624. Kodycyl, wypisany na welinowym papierze, zawierał szczegóły, dotyczące dziecka. Testator wierzył święcie, że matką dziecka była Jej Królewska Mość, która w tym czasie ciężko zachorowała w Wersalu i znajdowała się pod opieką madame de Chevreuse.

Na te słowa Atos, który każdy zarzut przeciwko królowej nazywał bluźnierstwem, poruszył się.

– Ów wikary napisał w kodycylu takie rzeczy, że gdyby dokument dostał się do niewłaściwych rąk, wielka krzywda spotkałaby Jej Królewską Mość. Sprawa ta nie obchodziła mnie jako Anglika, dotknęła natomiast mocno jako szlachcica i rycerza. Dalej...

– Ach! – znów przerwał d'Artagnan, nie mogąc powstrzymać się od uwag. – To dziecko jest pod opieką Bassompierre'a. Dokument ten jest w drodze do Richelieugo!

– Wręcz przeciwnie – rzekł poważnie Atos. – Teraz właśnie wysłannicy kardynała zabierają dziecko z St. Saforin! Lecz nie przerywaj. Proszę, mów monsieur. Widzę, że każdy z nas będzie miał coś ważnego do powiedzenia.

Niesłychanie zdumiony uwagami przyjaciół, lord Winter mówił dalej:

– Przy tym wszystkim, moi panowie, wiem z całą pewnością, że dziecko nie należy do Jej Królewskiej Mości. Panowie przypomnijcie sobie, że posiadałem zaufanie księcia Buckinghama. Także, kiedy de Bassompierre był ambasadorem w Anglii, znałem go bardzo blisko. Jest pewna tajemnica, związana z tym dzieckiem, ale podzielę się nią z panami, jako ludźmi honoru. Matką dziecka nie jest królowa lecz madame de Chevreuse. Fakt był osłonięty taką tajemnicą, że wikary wyrobił sobie wręcz odmienną opinię. Niezależnie od tego, powtarzam, że gdyby dokument dostał się w niepożądane ręce, jej Królewska Mość odcierpiałaby zarzut dotkliwie. Dlatego panów tu ściągnąłem. Sam nie mogę działać swobodnie w tej materii, panowie macie wolną rękę. Znam wasze przywiązanie do Anny Austriaczki jako królowej i kobiety. A ponadto wiem, do czego jesteście zdolni.

– Bien – zaczął Atos – ale jak już powiedziałem, mało o tym wszystkim wiemy. Czy możesz nam powiedzieć, gdzie ten dokument się znajduje?

– Ależ naturalnie. Mogę powiedzieć wam wszystko, dlatego właśnie mam was, panowie, przy sobie. Otóż ludzie kardynała, którzy wykradli dokument z archiwum, zostali przyłapani prawie że na gorącym uczynku. Ponieważ zdołali uciec, nie mogli wysłać papieru do Francji, wysłali go do Anglii na przechowanie i by jednocześnie zatrzeć ślady za sobą. Człowiek, któremu powierzono przewiezienie dokumentu do Paryża, wyjechał z Londynu do Calais w dniu, kiedy i ja opuściłem Anglię. W Dover aresztowano go pod sfałszowanym zarzutem. Dokumentu nie znaleziono, ale wstrzymano go dość długo, by nie zdążył na jedyne połączenie z Calais. Dzięki temu uprzedziłem go o cały dzień. Dziś jeszcze w nocy przyjedzie specjalny wysłannik, który nam doniesie, kiedy ten jegomość wyruszył do Paryża i jaką drogą.

– Cudownie! – zawołał podnieconym głosem d'Artagnan. – Nie pytamy o nic więcej. Dokument tak jakby już nie egzystował.

Atos obserwował Anglika ze szczególną sympatią.

– Dlatego, monsieur, ściągnąłeś nas tutaj, by nam to wszystko opowiedzieć...

– Nie, nie – przerwał mu de Winter. – Wezwałem was dlatego, że podobnie, jak i wy nie mogę patrzeć z zimną krwią na wyrafinowanego prałata, który dla swej polityki chce zrobić igraszkę z niewinnej kobiety.

Zapanowało chwilowe milczenie. Anglik spojrzał na d'Artagnana.

– Skończyłem, panowie. Teraz kolej na was.

D'Artagnan zaczął opowiadać z wielkim zapałem o wszystkim, co mu się wydarzyło od chwili rozstania się z Atosem i Portosem w Longjumeau. Sam teraz rozumiał wszystko, przynajmniej tak mu się wydawało, mówił więc o wszystkim, przemilczał jedynie ustne polecenie kardynała do madame de Chevreuse.

– Mogę dodać tylko tyle – kończył – że polecenie to dotyczyło dziecka i gdym je wypowiedział, zamaskowany kawaler zemdlał, a później uciekł jak przerażony zając. A oto jego brylant, jako dowód prawdziwości mych słów. Lecz ty, Atosie, powiedz nam o swym upadku z konia.

– Z przyjemnością – odpowiedział Atos. – Tym bardziej że to, co ja mam do powiedzenia, posiada szczególne znaczenie dla tej sprawy, obawiam się, że nawet groźne.

Opowiedział więc o spotkaniu z Heleną de Sirle, o tym wszystkim, co robił i słyszał w jej domu. Pominął tylko spotkanie ze starym sługą Gerwazym. D'Artagnan słuchał z wielkim zaciekawieniem. Lord Winter nie dziwił się już niczemu.

– Tak, moi przyjaciele – rozumował na zakończenie Atos – możemy być pewni dwóch rzeczy, dotyczących hrabiego de Montforge'a. On dostał wyraźne polecenie unicestwienia nas, a już co najmniej d'Artagnana, no i wywiezienia dziecka ze St. Saforin.

– Bardzo trafnie – zauważył lord Winter spokojnie. – Możemy więc teraz zsumować wszystko. Dokument jest w drodze do Paryża i pewnie będzie dostarczony...

– Pannie de Sirle – dokończył Atos, gdy de Winter przerwał na chwilę. Dziecko jest w St. Saforin. Jakim sposobem tam się znalazło? Dlaczego marszałek de Bassompierre jest jego opiekunem?

– Dla kilku powodów – odpowiedział de Winter. – Przede wszystkim jest Lotaryńczykiem i przyjacielem madame de Chevreuse. Ja osobiście znam panią de Chevreuse i ona to właśnie, która powinna opiekować się dzieckiem bardziej, niż ktokolwiek, wcale się o nie nie troszczy. Po narodzeniu się dziecka, wyraziła życzenie, by nigdy jego twarzy nie oglądała. Ostatecznie łoży na dziecko, ale pod żadnym warunkiem nie chce, by wyszło na jaw, że ona była matką nielegalnego dziecka. W takim wypadku książę de Chevreuse porzuciłby ją, a Richelieu wykorzystałby wiadomość, by trzymać ją w swej mocy. Atos przymrużył oczy gniewnie.

– Jej stosunek do dziecka jest zbrodnią – powiedział. D'Artagnan spojrzał na przyjaciela zdumiony. Rzadko kiedy słyszał go mówiącego w ten sposób o kobietach. – Odmawia sobie

syna. Dziecku odmawia opieki matczynej. Obcych naraża na niebezpieczeństwo. Co za kobieta! Ba!

Lord Winter pokiwał głową.

– Różne są zdania co do osoby ojca. Dziecko znajduje się w St. Saforin pod nazwiskiem Raoul d'Aram...

Atos skoczył jak oparzony i uderzył w stół pięścią z taką siłą, że rozlał kielich wina.

– Co to znaczy? Co to znaczy? – zawołał głosem wzburzonym. – Raoul d'Aram! Czy ty to rozumiesz d'Artagnan? Dość! To mi wyjaśnia wszystko. Aramis jest przyjacielem Bassompierre'a, był kochankiem de Chevreuse przez dziesięć lat... chłopca nazwano Raoul d'Aram...

Usiadł i umilkł, patrząc błędnie na przyjaciół. D'Artagnan klął.

– Diantre! I teraz właśnie jest bezsilny, nie może wstać z łóżka i pomóc chłopcu. Aramisie, Aramisie, w ładną sprawę nas wpakowałeś. A Montforge w międzyczasie jest w drodze do St. Saforin, Atosie!

– Tak, mój synu, lecz bądź spokojny, nie wiele on tam wskóra, chyba, że każe sobie zrobić pierścień podobny do tego na twym palcu. To wymaga czasu. W żadnym wypadku nie może dostać pierścienia przed jutrzejszym wieczorem. Wyprzedzimy go.

– Wyprzedzimy go? – D'Artagnan popatrzył na przyjaciela.

– Naturalnie. Mamy przed sobą podwójne zadanie. Przede wszystkim trzeba spotkać wysłannika, który wiezie testament, następnie trzeba jechać do St. Saforin.

D'Artagnan i lord Winter spoglądali na Atosa z wyraźnym uznaniem.

– Moi przyjaciele – odrzekł Atos – przyznam się wam szczerze, że dopatruję się w tym palca Bożego. Naszym obowiązkiem jest przede wszystkim zniweczyć zamiary Richelieugo, którego ambicje oślepiły honor, przez to uratujemy Jej Królewską Mość. Świetnie! Aramis porzucił swoje dziecko. Chłopiec ma okropną przyszłość przed sobą... Bez ojca i matki, gdy tymczasem jego rodzice pochodzą z najlepszej arystokracji francuskiej.

– E – wtrącił d'Artagnan – to nie hańba być bękartem. Pomyślcie o Księciu Orleańskim, który przegnał Anglików z Francji. Albo książę de Vendome...

– W tej chwili myślę o synu Aramisa, który jest moim przyjacielem – odpowiedział Atos głosem spokojnym, aczkolwiek surowym. – Więc, by osiągnąć nasz cel, musimy uprowadzić chłopca i ukryć go bezpiecznie przed okiem kardynała. Ja dam mu ojca i matkę, i nazwisko. Po prostu adoptuję go sam.

– Ty? – zawołał d'Artagnan zachwycony.

– Ty? – powtórzył de Winter, nie wierząc własnym uszom.

– Tak, ja – wypowiedział Atos spokojnie. – Mój przyjacielu – zwrócił się do d'Artagnana – zdecydowałem porzucić służbę i przenieść się do mego skromnego majątku. Dotychczas nie miałem żadnego celu w życiu. Teraz będzie mi się zdawało, że znalazłem syna. Dam mu nazwisko z nazwy mej posiadłości, Bragelonne.

Lokaj zapukał do drzwi i wszedł.

– Milordzie – zwrócił się do de Wintera – Franklin przyjechał.

– Daj go tu. Mój wysłannik, panowie.

Wszedł goniec, cały pokryty kurzem i zasalutował zebranym. De Winter polecił mu mówić po francusku.

– Milordzie, nasz człowiek zatrzymał się w Compiègne na noc. Ja jechałem dalej. Przyjedzie do Paryża prawdopodobnie jutro w południe, albo nieco później, gdyż jest wyczerpany.

– Doskonale. Nie dowiedziałeś się nic o dokumencie, któregośmy nie odnaleźli?

– Niestety, nie dowiedziałem się nic. Ale zauważyłem, że odpiął pistolet z prawej strony siodła i zabrał go ze sobą do pokoju.

– Eureka! – zawołał d'Artagnan. – Papier znajduje się w lufie pistoletu.

Goniec opuścił pokój.

– Tak, moi przyjaciele – przemówił lord Winter. – Za dwa dni muszę jechać do Wenecji z poleceniem od angielskiego króla. Dom ten i cokolwiek posiadam, jest do waszej dyspozycji.

– Dzięki ci, panie – odpowiedział pierwszy Atos – lecz my nie mamy żadnych potrzeb. Chcemy jedynie wiedzieć nazwisko człowieka, który wiezie dokument.

– Nazwisko jego: hrabia de Riberac.

– Ach! Riberac! – zawołał d'Artagnan nieco zmieszany. – Ten sam, którego brat zginął pod La Rochelle, którego kuzynką jest madame de Combalet, krewniaczka Richelieu'go, którego...

Atos wybuchnął serdecznym śmiechem, co w istocie było u niego nowością.

– Którego pistolet trzyma w lufie honor Jej Królewskiej Mości – dokończył. – To wystarczy. Znasz go, więc go nie przeoczysz.

– Tak – potwierdził d'Artagnan, wyczuwając, że Atos miał już plan ułożony. – Mów dalej, proszę cię. Twój sąd jest niezastąpiony, Atosie. Wydaj rozkazy, a spełnię je.

– Zaszczycasz mnie, przyjacielu. Otóż proponuję, byś zajął się tym panem Riberac i odzyskał dokument. Następnie zgłoś się do mademoiselle de Sirle i doręcz jej list od kardynała. Ja zaś z Portosem i Grimaudem udamy się do St. Saforin po dziecko. Twój pierścień będzie nam potrzebny.

– Proszę, oto jest. – D'Artagnan ściągnął z palca pierścionek i podał go Atosowi. – A ponieważ potrzebuję małego wypoczynku, kiedy przystępujemy do wykonania programu?

– Twoja część jest zależna od ciebie, moja ode mnie. Jutro wieczorem wyruszę, by chłopca zabrać z rana. Po powrocie będę oczekiwał cię w Hotelu de Treville, ewentualnie wiadomości od ciebie.

– Pysznie – mówił d'Artagnan. – Ja wobec tego będę spał do południa, a później wyjadę na spotkanie de Riberaca.

– A jeśli go nie spotkasz?

– Wówczas znajdę papier w pałacu damy.

– Bądź ostrożny, mój synu! – Atos spojrzał groźnie na przyjaciela. – Nie masz najmniejszego pojęcia do czego ta kobieta jest zdolna! Ona jest na usługach kardynała, który jest na pewno jej kochankiem. Ona wyprowadziłaby w pole anioła swoją udaną niewinnością. Bądź ostrożny!

– Przyrzekam ci, Atosie – odpowiedział poważnie d'Artagnan.

Lokaj znów zapukał do drzwi.

– Mój lordzie – anonsował de Winterowi – pan Portos przyjechał.

Wszyscy trzej wydali okrzyk radości. W drzwiach ukazał się Portos.

Du Vallon miał tę właściwość, że jak sobie podpił, fizycznie panował nad sobą, umysł jego jednakże pojmował tylko rzeczy, które w danej chwili słyszał. Kolos pokłonił się przed lordem i obojętnie spojrzał na Atosa i d'Artagnana. Prezentował się wspaniale.

– Nie masz w tym nic nadzwyczajnego, panowie – mówił doniosłym głosem, nie zwracając najmniejszej uwagi na pozdrowienia przyjaciół. – Tu was zostawiłem w drodze do Hotelu de Chevreuse i tu was teraz znajduję. Nie próbuję zastanawiać się nad tym. Ach, więc panowie zdjęliście maski – tu pokłonił się nisko przed lordem – przyrzekam panu solennie, że nie będziesz pan miał powodu do skarg, ponieważ przydzieliłeś mnie do swej świty, Wasza Wysokość.

– O nieba! – zaśmiał się głośno d'Artagnan i pociągnął za rękaw Anglika. – On bierze ciebie za księcia Orleanu!

Portos zwrócił się do Atosa z pięknym pokłonem.

– Panie hrabio, zaiste zaszczyt to dla mnie nie lada dzielić z tobą butelkę tego doskonałego Chablis i twoje poglądy na temat Jego Eminencji, kardynała.

– Ach! – zawołał Atos rozweselony. – Jestem więc dla niego hrabią de Soissons!

Portos zakręcił wąsa z fantazją i mówił do d'Artagnana.

– Nie potrzebowałem pana de Bassompierre'a by rozpoznać twoją osobę, monsieur. Ale bądź spokojny, u mnie jak w studni. Nikt się nie dowie, że jesteś w Paryżu. Jeżeli kto zapyta odpowiem: Naturalnie! Książę de Guise spędza parę dni w mej wiejskiej posiadłości. Ale nie widzę tu tego uczciwego Bassompierre'a, tego drogiego przyjaciela mojego towarzysza d'Herblay'a. Ano przekonajmy się, czy to wino można porównać z Chablisem...

Portos usiadł przy stole wśród wesołego śmiechu przyjaciół i zupełnie pewną ręką nalał sobie kielich wina.

– Doskonałe – wołał po spróbowaniu – doskonałe! Panowie na pohybel kardynałowi, wiele szczęścia nowemu królowi i oby pogłoska o śmierci starego króla sprawdziła się!

Portos jednym haustem wypił całą zawartość kielicha.. Śmiech przyjaciół zamarł. Zapanowała głucha cisza, którą pierwszy przerwał d'Artagnan.

– Portosie! Na Boga! Zamilcz, licz się ze słowami. Czy mnie nie poznajesz?

Portos cofnął kieliszek od ust i postawił go na stole.

– To wino jest doskonałe, co za myszka! – Portos spojrzał na d'Artagnana jak na obcego. – Panowie, dobrze postąpiliście, zwracając się do mnie. Pan, panie de Luc, miałeś rozum doceniając moje zalety. Tak, słyszałem coś niecoś o chorobie króla, ale niech mnie czort porwie, jeśli spodziewałem się takich wiadomości. – Następnie zwrócił się z szacunkiem do lorda. – Spodziewam się, że pierwszym twoim pociągnięciem będzie aresztowanie kardynała? Ach, tak, przypominam sobie, mówiłeś mi już o tym. Ja nastawałem na ten miły obowiązek zawiezienia rozkazu aresztowania, ale przyrzekłeś to już Bassompierre'owi. Czy tak? Tak, tak.

Lord Winter siedział osłupiały. Atos wlepił przenikliwy wzrok w przyjaciela. D'Artagnan zerwał się nagle, jakby go osa ukąsiła.

– Ach! – zawołał naraz – ci zamaskowani panowie... nie, to niemożliwe. On jest ofiarą jakiejś szopki. Jest pijany i...

– Nic podobnego – przerwał mu Atos. – Czy pan, panie du Vallon przypuszczasz, że te wieści o królu mają jakiś podkład?

– Co? – Portos spojrzał na Atosa zdumiony. – Pan mnie o to pytasz, hrabio? Ty sam pokazałeś mi pismo, przywiezione z Lyonu przez twego kuzyna. Na moje słowo, monsieur, gdybym nie był pewny, że jesteś hrabią de Soissons, powiedziałbym, że jesteś pijany.

Portos nalał sobie więcej wina.

– Monsieur – zwrócił się ponownie do lorda z szacunkiem, jaki należy się bratu króla – Wasza Wysokość raczyłeś mówić o swoich planach. Ja radzę iść dalej. Ożeń się z Anną Austriaczką, przez co zawrzesz pokój z Austrią i zabezpieczysz sobie tron. Nie mógłbyś postąpić lepiej, jak mianować d'Artagnana marszałkiem Francji, a mojego sympatycznego przyjaciela, hrabiego de La Fére ministrem. Dla siebie nie żądam nic. Jestem pewny, że tytuł barona ucieszyłby panią du Vallon. Zechciej łaskawie zastanowić się nad tym.

Zimny pot wystąpił na czoło d'Artagnana, w twarzy Atosa przebijał wyraz grozy.

Teraz było jasnym, że Portos spotkał grono największych wrogów kardynała, o których myślał, że znajdują się z dala od Paryża. Jakim cudownym sposobem przyjaciel ich tam się dostał, trudno było odgadnąć. Normalny, zwyczajny sobie śmiertelnik Portos, pod działaniem wina przejawiał olbrzymią dozę subtelności.

D'Artagnan z łatwością uprzytomnił sobie scenę, jaka miała miejsce w oberży. Niestety, to wszystko było prawdą. Gaston Orleański, zdecydowany głupiec, zawsze wpadał na jakieś ekscentryczności i nie umiał trzymać języka za zębami. Soissons był jego godnym towarzyszem. Guise, dowiedziawszy się, że król jest umierający, mógł się ważyć na wszystko. Że cała ta paczka zabawiała się Portosem, nie było dwóch zdań.

– Jeżeli to miało miejsce w istocie – mruknął d'Artagnan – to pachnie Bastylią.

– I na odwrót – odpowiedział cicho Atos – jeżeli to miało miejsce, to może wróżyć potęgę i honor. Zastanów się tylko. Hrabia de Soissons dostał wiadomość o umierającym królu. W takim razie książę Orleanu zasiada na tronie...

– Musimy koniecznie Portosa wytrzeźwić i dowiedzieć się całej prawdy – wtrącił de Winter.

– Niemożliwe! – westchnął d'Artagnan z cieniem rozpaczy w głosie. – Znam go, monsieur. Jeszcze jeden kielich i zaśnie. A gdy się zbudzi, zapomni o wszystkim.

– Niestety, tak jest w istocie – potwierdził Atos.

W niespełna pięć minut później Portos już chrapał.

A jednak Portos nie był wywiedziony w pole, ani sam nie fantazjował.

W chwili, kiedy Portos mianował d'Artagnana marszałkiem Francji, w Lyonie działy się straszne rzeczy. Król, który od pewnego czasu tam bawił, zapadł silnie na dyzenterię, gorączka go nie odstępowała. Najlepsi lekarze byli bezradni i oświadczyli Ludwikowi XIII, że dnia nie przeżyje.

Jego Królewska Mość wyspowiadał się i przyjął ostatni sakrament z rąk ojca Suffrena. Pożegnał się z matką, żoną i Richelieum. Ogłoszono powszechną żałobę. Po chwili, kiedy królowa pożegnała się z małżonkiem i medytowała nad przyszłością, hrabina de Fargiss pisała do Gastona Orleańskiego i podsunęła mu małżeństwo z Anną Austriaczką. Maria de Medici rozesłała kurierów na wszystkie strony świata i gotowała się do tryumfalnego zwycięstwa nad kardynałem, do zwycięstwa, które nie znało litości ani skrupułów.

Richelieu stracił naraz grunt pod nogami. W liście, pisanym tegoż wieczoru do Schombrega, wyraził się: „Nie wiem doprawdy, czy żyję, czy jestem już umarły".

Czyli, że historia tych bohaterskich dni zawisła na nitce życia lub śmierci króla.

ROZDZIAŁ XII

W którym d'Artagnan spełnia dwie misje dla innych, a jedną dla siebie

Kiedy d'Artagnan zbudził się następnego dnia, zauważył przy łóżku wspaniały kostium lamowany srebrem i kartę przyczepioną do tegoż.

„Moi Przyjaciele!

Jadę do Chaillot z panem Bassompierre i postaram się o względy dla Portosa, o ile on oczywiście zapomni o tym, co się stało ostatniej nocy. Pamięć o tym wszystkim byłaby dla niego bardzo niebezpieczna. Król podobno umiera. Będę oczekiwał wieści od Was. Bóg z Wami!

Winter."

D'Artagnan zapytał o swych przyjaciół. Grimaud oświadczył, że Portos chrapał, a Atos też jeszcze spał.

– Mam rozkaz zbudzenia ich o drugiej.

– Wykonaj go. Ja pojadę. Aha, gdzie jest konwent St. Saforin?

– W połowie drogi pomiędzy Paryżem i Soissons, monsieur.

Atos był już polecił przedtem Grimaudowi dowiedzieć się o drogę do St. Saforin.

D'Artagnan wykąpał się i przybrał iście królewski strój w podwórzu zastał już osiodłanego konia. Koń ofiarowany mu w podarunku przez de Wintera, był wspanialszy od tego, którym go obdarzył kardynał.

Po śniadaniu d'Artagnan pilnie zbadał szablę, przekonał się, czy list do panny de Sirle był w kieszeni i ruszył szosą Passy Compiègne.

Nie spieszył się i z prawdziwą przyjemnością obserwował gapiów, którzy patrzyli na strojnego rycerza, niby na samego króla. Dostrzegł jednak pewne zamieszanie, jakie ostatnie wiadomości o królu wywołały na ulicy.

„Pardieu. Wiadomości szybko się rozniosły! – mówił do siebie. – A cóż to? Konie ze stajni i świty Bassompierre'a".

D'Artagnan podjechał do dwóch giermków, którzy wspaniale przybrane konie prowadzili za uzdy.

– Wybaczcie mi, moi drodzy – zapytał pachołków – co to ma znaczyć? Wszak pan wasz bawi dziś w Chaillot?

Giermkowie dopatrując w pięknie odzianym rycerzu przyjaciela ich pana, chętnie odpowiedzieli.

– Są to konie rozstawne, monsieur. Nasz pan wyjeżdża jutro ze wschodem słońca do Lyonu i założył się o tysiąc pistoli, że przyjedzie na miejsce przed północą tego samego dnia.

D'Artagnan podziękował im i pojechał w swoją stronę, rozmyślając o brawurze Bassompierre'a. Bassompierre miał ważniejszy powód dostania się do Lyonu aniżeli zakład. Ale dlaczego w takim razie marszałek nie wyjechał dziś, lecz odłożył podróż do jutra?

– Gdybym był na miejscu Bassompierre'a stanąłbym w Lyonie jutro z rana. Ma pewnie swoje powody, zresztą dobrze to się składa dla Portosa. Nasz przyjaciel dowiedział się wielu ciekawych rzeczy wczorajszej nocy, ale niech go Bóg strzeże przed piśnięciem słówka.

Próżne obawy. Kiedy Portos się zbudził, nie wiedział o niczym.

Nie było jeszcze drugiej godziny po południu, kiedy d'Artagnan minął rogatkę w Compiègne. Od strażników dowiedział się, że hrabia de Riberac nie jechał jeszcze tędy. To nie znaczyło, żeby nie dotarł już do Passy, które było położone znacznie dalej od Paryża. Muszkieter dał koniowi ostrogę i ruszył ostrym kłusem. D'Artagnan znał Riberaca i nie mógł go przeoczyć. Będąc tak bliskim celu swej podróży, hrabia na pewno nie oczekiwał spotkania.

Ze zwykłą sobie ciekawością d'Artagnan skierował konia w stronę pałacyku Heleny de Sirle. Chciał po prostu wiedzieć, gdzie się znajduje. Już miał go minąć, gdy naraz rozwarły się okiennice i głos z nich się odezwał:

– Panie d'Artagnan! Azali to jesteś ty we własnej osobie?

D'Artagnan rozpoznał Roquemonta, porucznika gwardii kardynała i krewnego Chateuauneufa, naówczas mocnego poplecznika Richelieugo. Muszkieter musiał zauważyć pewne zdziwienie w twarzy porucznika z powodu tego spotkania.

– Dzień dobry, mój drogi Roquemoncie. – D'Artagnan udał również zdziwienie. – Co za szczęśliwe spotkanie. Byłem przekonany, że stajesz się w tej chwili drugim Bayardem w Sabaudii!

– A ja – Roquemont podziwiał konia i strój rycerza – byłem pewny, że jesteś przy dworze w Lyonie.

– Byłem, lecz w tej chwili jestem w drodze do Calais, za dwa dni będę w Londynie. Co słychać w armii?

– Nie mam pojęcia! – D'Artagnan ruszył. „Co za kłamczuch! – mówił do siebie. – Kłamałeś tak jak ja. Coś wisi w powietrzu. Byłeś zdziwiony, zobaczywszy mnie, więc nie wiesz nic o mej misji. Ta sprawa spoczywa zatem w rękach Montforge'a. Ale co u diabła on tu robi?"

Muszkieter nie ucieszył się zbytnio widokiem Roquemonta, Wiedział, że to istny barbarzyńca. Wszak on ściągnął z konia i zamordował z zimną krwią Villeroy'a. Wiadomym była, że Roquemont z całym spokojem przyłożył pistolet do umierającego Conciniego, by go dobić. Z takim człowiekiem wszystko może się wydarzyć.

W każdym razie Roquemont był na drugim planie; ważniejszy Riberac. Pogoda, która do tej chwili sprzyjała, groziła zmianą. D'Artagnan ze względu na swój piękny strój nie był ucieszony.

O trzeciej trzydzieści muszkieter znalazł się w pobliżu Bourg-Royal'u. Pola były puste. Panowała zupełna cisza. Tylko z daleka na drodze można było dostrzec tuman kurzu. Jakiś jeździec cwałował w stronę Paryża. D'Artagnan ściągnął lejce, najrzał pistolet, wyciągnął nieco szablę z pochwy i czekał. Samotny jeździec zbliżał się do niego w szybkim tempie. D'Artagnan rozpoznał wkrótce swego człowieka i wjechał na środek drogi. Riberac na widok częściowo, zablokowanej drogi wstrzyma galop konia i ze zdziwieniem patrzył na muszkietera.

– Co za dziwne spotkanie, panie d'Artagnan!– zawołał.

Riberac był bardzo sympatycznym oficerem, bogatym i z wielką przyszłością przed sobą.

– Żałuję bardzo, monsieur – d'Artagnan pokłonił się lekko – lecz spotkanie to było nieuniknione.

– Słowa twoje są równie dziwne, podobnie jak i ton. Nie chce mi się wierzyć, żebyś wyjechał umyślnie na moje spotkanie.

Riberac opuścił rękę na pistolet po lewej stronie siodła.

– Bądź ostrożny, monsieur – odezwał się d'Artagnan – mam dwa pistolety, gdy ty masz tylko jeden.

– Ach! – Riberac wyprostował się. – Więc to tak?

– A tak, monsieur. Jakżesz mi przykro prosić cię o ten właśnie pistolet.

– Twoja przykrość równa się mojej w odmowie spełnienia twego życzenia panie d'Artagnan. – Riberac zsiadł z konia i obnażył szablę.

D'Artagnan postąpił tak samo, gdyż miał do czynienia z bardzo wytwornym człowiekiem. Riberac uśmiechnął się, pewny swego zwycięstwa.

– Muszę cię uprzedzić, panie d'Artagnan, że pobierałem lekcje fechtunku u włoskiego mistrza i nauczyciela księcia Walii w Londynie.

– A ja zabijałem tych, którzy dawali lekcje. En garde, monsieur!

Skrzyżowano szable. Po drugim skrzyżowaniu szabla d'Artagnana utkwiła w sercu Riberaca. Oficer padł martwy na ziemię.

Zwycięstwo nie dało d'Artagnanowi satysfakcji, wyciągnął pistolet z siodła. Lufa była zatkana kółeczkiem drewna. D'Artagnan wyciągnął kołek, a następnie rulonik papieru welinowego.

– W takim wypadku – mówił do siebie – nie mogę sobie pozwolić na błędy.

Następnie rozwinął rulon i znalazł trzy arkusiki, złożone i zszyte w połowie. Z treści przekonał się, że był to testament Franciszka Thounenina z Dompt. Środkowa kartka była owym kodycylem do testamentu, a więc ta, o którą tu chodziło. Dwie zewnętrzne kartki schował do kieszeni, pozostałą zwinął i zatrzymał w ręce.

„Te – rozumował – muszą być zniszczone. Pierwszy arkusz, którego treść nie grozi niczym, musi być dostarczony madame de Chevreuse, jako dowód wykonania poleceń".

Dosiadł konia i ruszył w stronę Paryża. Zatrzymał się w najbliższej oberży. W głównej izbie palił się ogień w kominku. D'Artagnan podszedł bliżej i rzucił dwa zmięte arkusiki welinu na pastwę płomieni. Poczekał aż papier obrócił się w popiół i podszedłszy do gospodarza rzekł:

– Monsieur, jakiś kilometr drogi stąd leży umarły człowiek. On pochodzi z bogatej szlacheckiej rodziny i był faworytem kardynała de Richelieu. Radzę ci posłać po ciało i zawiadomić o tym władze. Alę zapomnij, żeś mnie kiedykolwiek widział.

D'Artagnan wskoczył na konia ponownie i oddalił się w kierunku stolicy. Misję swoją spełnił, nie był jednak w humorze, czuł się przygnębiony. Myślał nawet o tym, by po przyjeździe do St. Sulpice zamówić dziesięć mszy żałobnych za duszę Riberaca. Dłużej się jednak zastanowiwszy, przyszedł do przekonania, że jedna msza wystarczy. Zrobi ona swoje i za dziesiątą część kosztów.

O piątej po południu, przy niepewnej pogodzie d'Artagnan wjeżdżał do ogrodu pałacyku Heleny de Sirle. Brama była otwarta na oścież, jak gdyby go oczekiwano. W tej chwili padły pierwsze krople deszczu. Pachołek przyskoczył do niego i zaopiekował się koniem, następnie zjawił się lokaj.

– Czy zastałem pannę de Sirle? – zapytał. – Jestem d'Artagnan, porucznik muszkieterów.

– Zechce pan łaskawie wejść do salonu! – zaprosił go lokaj.

D'Artagnan podążył za lokajem. Wszystko tu było tak, jak opisywał Atos. Tym razem muszkieter miał się na baczności. Bacznie śledził wszystkie zakątki i postanowił zachować wszelką ostrożność. Piękno tego saloniku nakazywało mu tym większą ostrożność. A jednak kiedy gospodyni zameczku ukazała się, d'Artagnan zawahał się, nie chcąc dopuścić do głowy myśli, by osóbka ta miała tyle złego w sobie.

Panna de Sirle była piękną, i młodą. Młodszą, aniżeli określał ją Atos. Doprawdy była jedną z najpiękniejszych istot, jakie muszkieter w życiu swym spotkał.

– Pan życzył sobie, mnie widzieć? – zapytała niskim, dźwięcznym głosikiem.

– Tak, pani. Mam zaszczyt być dostawcą listu Jego Eminencji kardynała Richelieu.

– Ach! – Spojrzała na niego mile uśmiechnięta. – To pan chce widzieć moją siostrę, Helenę. Ja jestem Eugenia de Sirle. Żałuję bardzo, że siostry nie ma, pojechała do Paryża dziś rano i jeszcze nie wróciła. Zechciej mi dać list, położę na jej biurku.

Nie posiadając żadnych instrukcji co do sposobu doręczenia listu, d'Artagnan wręczył pismo Eugenii.

– Chwileczkę, monsieur, jeśliś łaskaw. – Panna de Sirle zniknęła za drzwiami, obdarzywszy gościa tak słodkim uśmiechem, że d'Artagnan stanął oniemiały. Czy ten uśmiech przyrzekał cokolwiek? Instynktownie zakręcił wąsa, otarł kurz ze srebrnych lam i czekał z bijącym sercem.

Niebezpieczeństwa nie było. Jego nazwisko nie wywarło na pannie żadnego wrażenia. Widocznie nie słyszała o nim.

„Stanowczo – zdecydował – nie jestem głupcem. Kiedy kobieta patrzy na mnie, łatwo mi doczytać się czegoś, jeśli oczywiście wzrok ten coś mówi. Jeżeli zaraz opuszczę ten dom, co z tego za korzyść? Jestem w obozie wroga, zasadą jest korzystać z okazji w takich wypadkach. A co za okazja..."

Urwał rozmyślanie. Zdecydował, że jednak jest osłem. A przecież panna nie dawała mu spokoju. Imaginacja pracowała szybko. Jej oczy... Że nie była damą, o której opowiadał mu Atos, sprawiało mu wielką radość.

Trzeba przyznać, że d'Artagnan po przyjeździe do Paryża nie próżnował. Przystojny, mile widziany, w okresie, kiedy impuls więcej aniżeli dyskrecja dominowały w arystokracji, korzystał z okazji.

Eugenia powróciła i podeszła do d'Artagnana.

– Czy nie zechce pan usiąść? – zapytała słodko. Wiem, że siostra powróci wkrótce i nie darowałaby mi, gdybym pana nie zatrzymała. A może wolałby pan przejść się po ogrodzie. Deszcz przestał padać, a w domu duszno.

Spacer do ogrodu uśmiechał się d'Artagnanowi. Cóż mogło być bardziej romantyczne od tych krętych ścieżek pośród pachnących bzów z przemiłą osóbką przy boku. D'Artagnan żywił nadzieję, nadzieja zmieniła się w pewność, z kolei pewność stała się bezczelnością. Jednym słowem dzierżył zwycięstwo w dłoni.

W tyle ogrodu, w gąszczu drzew krył się prześliczny pawilon z komfortem umeblowany. Ponieważ deszcz znów zaczął padać, d'Artagnan poprowadził swoją bogdankę do tego pawilonu. Sądząc z jej spojrzeń i zachowania się, muszkieter nie miał wątpliwości co do jej sympatii dla siebie. Poczuł się naraz w siódmym niebie. Serce jego nabrzmiało szczęściem.

Naraz twarz panny de Sirle przybrała wyraz trwogi, wyrwała rękę spod jego ramienia.

– Ach! – szepnęła z przerażeniem w głosie – moja siostra. Słyszę zgrzyt otwieranej bramy. Jeżeli nas tu odkryje, zguba twoja jest nieunikniona. Nie masz pojęcia do czego ona jest zdolna.

D'Artagnan rzucił się do jej stóp.

– Powiedz mi jedyna, gdzie i jak szczęście nasze może dojrzeć – błagał ją z drżeniem w głosie i całował jej małe rączki namiętnie.

– Chodź, nie masz chwili do stracenia– odpowiedziała jednym tchem. – Słyszę koła toczącego się powozu. Musisz pozostać tu ukryty, czekaj tu!

– Z całego serca – zawołał d'Artagnan, wielce uradowany na myśl o szczęściu. Szedł za nią do małego pokoiku obok sypialni w pawilonie. Pokój ten był przybudowany do ściany ogrodu, skromnie umeblowany wyglądał na kapliczkę.

– Przyjdę tu po ciebie później. Ten pawilon jest moim uroczym mieszkankiem – wyszeptała cicho nieco podniecona. Na chwilę poddała się, kiedy d'Artagnan porwał ją gwałtownie w objęcia i przyciskał mocno do serca. Z gorących ust jej popłynął w żyły muszkietera żar namiętności. Za chwilę zniknęła, zatrzaskując drzwi za sobą.

Dwukrotnemu przekręceniu klucza w zamku towarzyszył krótki wesoły śmiech panny de Sirle.

– Miłego wyczekiwania, mój panie! —rozległ się ironiczny głos za drzwiami. – Doznasz rozkoszy Tantala, kiedy usłyszysz jak inny czerpie szczęście, którego ty zapragnąłeś. Obróć tylko krucyfiks na małym piedestale. Przyjemnego wieczoru, monsieur! Oczekiwaliśmy cię tutaj...

Druga krótka fala drwiącego śmiechu zakończyła pożegnanie.

D'Artagnan zdębiał na chwilę. Nie mógł się formalnie poruszyć. Czuł jeszcze gorąco jej pocałunku, kiedy jej słowa mroziły mu duszę.

Za późno przypomniał sobie przestrogę Atosa i ryknął ze złości na siebie. To nie była siostra, lecz sama Helena de Sirle. Zarzuciła na niego sieć. Dał się chwycić jak naiwna rybka. Myśląc o jej piękności, udawanej niewinności i skromności, rzucił się całym ciałem na zaparte drzwi.

Niestety. Drzwi były mocne, zamknięte, nieustępliwe.

ROZDZIAŁ XIII

Pułapka dla dwóch, a ginie w niej wielu

Kiedy pierwsze wrażenie minęło, d'Artagnan usiadł na lawie i zaczął rozważać swą sytuację na zimno. W tej chwili był naprawdę groźny.

Przywilejem młodości jest przeoczyć zniewagę, zapominać urazy, wybaczać krzywdy. Lecz kiedy własna duma jest raniona, zemstą pała serce. D'Artagnan spostrzegł swoją nieostrożność i naiwność. Jechał tu, uprzedzony przez przyjaciela o niebezpieczeństwie. Niezależnie od tego, dał się wyprowadzić w pole bez najmniejszego oporu i to przez osobę, którą przyjechał zwyciężyć i opanować. Jego osoba nie ucierpiała, ale jego próżność otrzymała cios, który przeszył każdy nerw jego ducha.

– Tak – mówił do siebie spokojnie – wiem przynajmniej, z kim mam do czynienia. Muszę się zemścić za Atosa i za siebie samego. Na szczęście nie otruła mnie. A choć jestem w więzieniu, mam przy sobie szablę.

Zastanawiał się nad tym, jaki mógł z szabli zrobić użytek. Kiedy wszedł tutaj, światełko przedzierało się przez wąskie okno w ścianie. Teraz panowała kompletna ciemność. Przez okienko, które dostarczało tu jednocześnie powietrza, słyszał krople spadającego na dach pawilonu deszczu. Naraz błyskawica oświetliła wnętrze pokoju. Oprócz ławki, na której siedział i małego ołtarzyka przy ścianie, niczego w kapliczce nie było. Ponad ołtarzem wisiał krucyfiks.

Krucyfiks przypomniał więźniowi słowa panny de Sirle. Z ręką wysuniętą przed siebie doszedł po omacku do ściany z krucyfiksem. Co ona miała na myśli mówiąc o odwróceniu krucyfiksu, nie wiedział.

Dotknął ręką krucyfiksu. Z łatwością krzyż się obrócił, przymocowany jak gdyby na osi w specjalnie wyżłobionym otworze w ścianie. Cóż, kiedy otwór był mały, a przy tym w sąsiednim pokoju było ciemno. Nie było innego wyjścia z tej zasadzki, jak tylko przez mocne drzwi.

Więzień zachował teraz zupełny spokój. A nawet wracał mu humor. O cóż miał się trapić. Misję swą spełnił. Kodycyl został zniszczony, co zniweczyło podłe plany Richelieugo. Królowa była uratowana. Mając teraz wolny czas o własnej osobie, dumał.

„Gdybym wydostał się z tej klatki – rozumował – nie mógłbym osiągnąć mojego konia. Łatwo mi było jednak uciec podczas deszczu. Po co mam jednak uciekać, skoro mam szablę przy sobie. Nie mógłbym zabić tej kobiety, ponieważ jest kobietą. Ona zasługuje na inny los".

Rozmyślania jego przerwał promień światła, jaki przedostał się przez otwór przy krucyfiksie.

D'Artagnan zerwał się z ławki i podszedł do ściany. Naraz zadrżał. Posłyszał głos Heleny, który zbudził w nim wszystkie emocje, jakich doznał przy niej w ogrodzie. Prawda, że pałał chęcią zemsty, kiedy jednak w grę wchodzi kobieta, rycerz ma inne sposoby zemsty, aniżeli szabla. Muszkieter przytknął oko do otworu i zbaraniał. W jarzącym świetle kandelabrów ujrzał wspaniale umeblowaną jadalnię ze stołem po środku. Przy stole, tyłem do niego siedziała Helena de Sine, naprzeciw marszałek de Bassompierre. Po chwili pociągnięta kotara zasłoniła przed nim widok. Mógł jedynie słyszeć głosy.

Gryząc paznokcie z gniewu, d'Artagnan wrócił na swoje miejsce. Teraz zrozumiał okrucieństwo tej kobiety. Tłumaczyło mu to jednocześnie, dlaczego Bassompierre został w Paryżu.

– I ja muszę tu siedzieć jak ślimak w muszli. – Był zrozpaczony.

Tortury jego wzmagały głosy, które co chwila nabierały innego tonu. Czułe, słodkie, rozkoszne, namiętne słówka Bassompierre tonęły w swawolnym, pieszczotliwym śmiechu panny de Sirle. D'Artagnan, uprzytamniając sobie położenie pawilonu, łatwo się domyślił, że sypialnia znajdowała się naprzeciw jadalni, czyli, że jego więzienie mieściło się pomiędzy jadalnią a sypialnią. Z biegiem wlokących się minut d'Artagnan odczuwał silny głód. Od rana nie miał nic w ustach. Bassompierre nie żałował wina, pod którego działaniem głosy pary biesiadników stawały się cichsze i czulsze. Snadź nie brakło i anegdotek, gdyż co chwila rozlegały się wybuchy śmiechu. Naraz d'Artagnan usłyszał znane mu nazwisko Richelieugo i nadstawił uszu.

– Richelieu? Ba, czy oddaliłaś służbę?

– Jesteśmy sami, kochanie – odpowiedziała Helena.

– Słuchaj więc. Już wiesz coś nie coś o pogłoskach, jakie krążą.

– Że król jest chory.

– Chory? Ventre de St. Gris! – zawołał Bassompierre. – Więcej jak chory. On jest umierający, na mój honor! A może już nawet umarły. Dlatego to muszę odjechać rano. Dlatego to opuszczę cię najdroższa. Pomyśl tylko kto jest królem – Gaston Orleański? Tak. Otóż ja wiozę rozkaz aresztowania Richelieugo. Sekret, tajemnica, akurat dla ciebie. Pocałunek za pocałunek.

D'Artagnan siedział oniemiały. A więc książę Orleanu, który ma zostać królem w chwili śmierci Ludwika XIII, wydał Bassompierrowi rozkaz aresztowania Richelieugo. Teraz rozumiał wszystko, wiedział dlaczego Bassompierrowi tak pilno do Lyonu.

– Książę podpisał rozkaz? – zapytała Helena krótko.

– Bez wątpienia. Rozkaz ten będzie oczekiwał mnie w Hotelu de St. Luc wraz z końmi i świtą – odpowiedział Bassompierre, którego język zaczynał już tępieć. – Lecz, pójdź! Jeszcze jeden haust wina, a później... moja rozkoszy... później raj!

D'Artagnan nie mógł się połapać w tym wszystkim. Bassompierre przyjechał tu, by rano wrócić do hotelu. Jednak Anglik coś miał z tym do czynienia. Tym gorzej dla Richelieugo, na którym ciąży morderstwo Buckinghama.

Nagle d'Artagnan zerwał się na równe nogi. Przypomniał sobie, że w tym domu widział Roquemonta. W takim razie Helena de Sirle była agentką Richelieugo. Okropne podejrzenie zbudziło się w jego głowie. Stał, drżący na całym ciele, niezdecydowany, chwiejny.

W tej chwili jakiś okrzyk wyrwał się z przyległego pokoju, słychać było szczęk rozbijanego o podłogę kieliszka. Reszta zginęła w huku pioruna. Później rozległ się głośny śmiech Heleny.

– Nie, nie, niecierpliwy kochanku! – Znów rozległ się śmiech panny de Sirle, z którego d'Artagnan rozpoznał, że nie tylko Bassompierre nadużywał wina. – Żądam pięciu minut, panie marszałku, zanim się poddam!

– Wymagam natychmiastowego, bezwzględnego poddania się! – wołał Bassompierre, pokładając się ze śmiechu. – Dobrze, daję ci pięć minut, ale nie mam tu przewodnika, który by zawiódł mnie do raju, mój aniele...

– Drzwi będą przed tobą, monsieur. – Zapanowało dłuższe milczenie.

D'Artagnan rozumiał sytuację. Helena de Sirle poprzedziła kochanka.

Z przekleństwem na ustach muszkieter wrócił do ławki, na której siedział.

– Zachwycające stworzenie! – rozkoszował się Bassompierre. – Cudowny pokarm, rozkoszne zakończenie wieczoru. Niech diabli porwą wszystkich tych, którzy nie mają szczęścia Bassompierre'a! Jeszcze jedną szklankę!

D'Artagnan zastanawiał się nad możliwością przestrzeżenia Bassompierre'a. Na co by się to jednak zdało. Był pijany. W takich wypadkach był niezdolny do niczego. Zanim okazja zresztą nadarzyła się, muszkieter słyszał już kroki marszałka w korytarzu.

– Idiota ze mnie! – pomyślał. – Co mnie obchodzi marszałek. Moja własna skóra jest mi droższą. Zgrzytał zębami na myśl o Helenie de Sirle...

Ktoś przekręcał klucz w zamku drzwi jego więzienia. D'Artagnan skoczył na równe nogi i obnażył szablę. Czy idą mnie zabić? To jasne. Był świadkiem preludium do komedii, a teraz ludzie Heleny szli dokończyć dzieła.

Drzwi otwarły się. Oczom d'Artagnana ukazał się słabo oświetlony korytarz. W drzwiach zarysowała się sylwetka Bassompierre.

– Moje kochanie, jesteś diabelsko skromna! – przemówił marszałek, postępując krok naprzód. Wówczas szabla d'Artagnana dotknęła jego piersi. Bassompierre stanął nieruchomy.

– Ani słowa! – szepnął d'Artagnan, pewny, że w cieniu kapliczki marszałek nie mógł go rozpoznać. – Jedno słówko, jedno wezwanie i już po tobie! Co za głupiec z ciebie rozpowiadać o swej misji do Lyonu! Czy ty wiesz, że moja pani jest główną agentką Richelieugo? Richelieu jest jej kochankiem.

Bassompierre zaniemówił.

– Więc ty wieziesz rozkaz aresztowania Richelieugo? – D'Artagnan obszedł Bassompierer'a wokoło.– Wejdź do środka, marsz! Spóźniłeś się panie marszałku. Moja pani posiada rozkaz Richelieugo aresztowania ciebie.

– Kim jesteś – szepnął nieszczęśliwy marszałek, domyślając się, że wpadł w pułapkę.

W korytarzu rozejrzał się wokół. Nikt nie dawał znaku życia o sobie. Wisząca lampka rzucała słabe światło na korytarz. Drzwi do jadalni stały otworem. Z drugiego końca widać było inne drzwi, wiodące do sypialni Heleny. Dla Bassompierre'a który nie znał dobrze rozkładu mieszkania, nie trudno było drzwi pomylić.

Na podłodze leżał wciąż jeszcze mokry płaszcz Bassompierre'a, d'Artagnan podniósł go i owinął się weń. Na froncie widniał krzyż Orderu de St. Esprit, który mógł należeć tylko do książąt krwi i wysoko postawionej arystokracji.

– Doskonale! – mruczał d'Artagnan. – Barbarzyństwo za barbarzyństwo, zniewaga za zniewagę. To jest sprawiedliwość!

Podszedł na palcach do drzwi sypialni. Nie były zamknięte.

Nie było tam zupełnie ciemno. Przy łóżku paliła się świeca.

Owinięty w płaszcz d'Artagnan poszedł do łóżka i zagasił świecę. Rozkoszny śmiech panny de Sirle towarzyszył tej czynności. D'Artagnan zapałał żądzą.

W tym podnieceniu muszkieter zapomniał zamknąć drzwi za sobą. Wszelkie podejrzenia zniknęły w obliczu rozkoszy, jakie go czekały. W swej nieokiełznanej młodości zapomniał o wszystkim, o całym świecie.

Zapomniał nawet o Bassompierrze, z którym zamienił miejsce.

Na dworze burza ucichła. Deszcz przestał padać i słychać było tylko krople opadające z drzew, poruszanych wiatrem. W jadalni świece dopaliły się do końca i zgasły. Tylko w korytarzu mała wisząca lampka tliła się słabym światełkiem.

D'Artagnan, który zasnął głębokim snem, zbudził się naraz, kierowany tym dziwnym instynktem, który tak często przychodzi nam z pomocą w zapadłą noc. Obok niego spała snem równym, spokojnym Helena de Sirle.

Podłoga w pokoju skrzypnęła. Ktoś znajdował się w sypialni.

D'Artagnan ocknął się zupełnie i spostrzegł słabe światełko poprzez kotary łóżka. Nie namyślał się długo. W chwili, kiedy jedną z kotar odsłaniano przewinął się szybko na drugą stronę łóżka poprzez śpiącą Helenę. Dwie szable utkwiły w ciele sąsiadki. Ciszę rozdarł okropny krzyk. D'Artagnan dojrzał postać Heleny na pół podniesioną. Za chwilę opadła. Muszkieter zsunął się z łóżka i jak kot pospieszył do ubrania i szabli.

Napastnicy zaklęli siarczyście. Jeden z nich rzucił się do drzwi i zatarasował drogę. Dwaj pozostali skoczyli do niego. D'Artagnan rozpoznał w jednym z nich Roquemonta.

– Ha! morderca! – krzyknął i natarł na obydwóch.

Roauemont wrzasnął przeraźliwie.

– To nie jest nasz człowiek! Prędko załatwmy się z tym!

W odpowiedzi rapier d'Artagnana przeszył gardło towarzysza Roquemonta. Trzeci, podbiegłszy do drzwi, zaatakował muszkietera z tyłu. Tylko cud ocalił rycerza.

D'Artagnan domyślił się wszystkiego. Panna de Sirle namówiła trzech drabów, by zabili Bassompierre'a. Myśl o nikczemności kobiety i łajdactwie zbirów doprowadziła go do wściekłości.

– Więc wam się zachciało ciała Bassompierre'a, co? – zawołał. – Bezwstydni mordercy kobiet! Cadedis! Oto wasza nagroda, łajdaki!

I znów rapier muszkietera przebił gardło trzeciego napastnika. Zbir zwalił się na ziemię jak długi. Teraz kolej na Roquemonta. D'Artagnan zaatakował go z taką furią, że i ten nie mógł się oprzeć. Cofał się wstecz aż do łóżka, na którym leżał trup de Sirle.

– Świetnie! – zawołał d'Artagnan. – Zdechniesz jak pies przy tej, którą zamordowałeś, łotrze!

Roquemont bronił się zaciekle. Czymże jednak była ta obrona wobec młynka szabli przeciwnika, który go formalnie omamił. Atak był bezlitosny. Obrona beznadziejna. Po chwili d'Artagnań wpakował pół szabli w pierś mordercy. Krew buchnęła strumieniem. Z wykrzywioną twarzą zwalił się na łóżko. Odsłonięta kurtyna ukazała oczom, muszkietera skurczoną postać nieżywej de Sirle.

– Sprawiedliwości zadość! – zawołał d'Artagnan, poglądając na pobojowisko. Wzdrygnął się. Ubrał się szybko, nakrył się płaszczem Bassompierre'a i pospieszył do celi swego więźnia.

– Czy jesteś tam panie de Bassompierre? – zawołał. – Szybko, szybko!

Bassompierre wypadł z kindżałem w ręku. Oniemiał na widok d'Artagnana.

– Na Boga! To pan d'Artagnan!

– Czy twój płaszcz, monsieur? – D'Artagnan podał płaszcz marszałkowi. Zjawiłem się tu na czas, by cię ocalić. Przyszli tu zamordować cię. Idź zobacz sypialnię...

Bassompierre był oszołomiony. Zrozumiał jednak, że nic mu w tej chwili nie groziło. Nie rozumiał przecież wszystkiego. D'Artagnan nie chciał, by rozumiał.

Bassompierre skierował swe kroki do sypialni. Po chwili wydał cichy okrzyk przerażenia i wrócił do d'Artagnana.

– Ona... umarła... Kto ją zabił?

– Skąd ja mam wiedzieć – zaśmiał się zgryźliwie d'Artagnan. – Lecz chodźmy stąd, później będziemy mówić. Bądź łaskaw, monsieur, postępować za mną.

Z ręką na szabli d'Artagnan poprowadził marszałka do ogrodu, następnie do stajni. W kącie pod latarnią drzemał pachołek. Muszkieter dotknął go końcem szabli.

– Konie tych morderców! – zawołał d'Artagnan do ucha śpiącego. – Mordercy zabili twoją panią, lecz ja ją pomściłem. Prowadź do bramy i otwórz ją. Naprzód!

Struchlały pachołek wypełnił rozkazy muszkietera milcząco. Brama nie była strzeżona.

W kilka sekund później obydwaj rycerze znaleźli się na drodze.

– Nic z tego wszystkiego nie rozumiem, monsieur – przerwał pierwszy milczenie Bassompierre. – Wiem tylko, żeś mi uratował życie. Gdybym tylko mógł ci się odwdzięczyć...

D'Artagnan podjechał do marszałka.

– Owszem, możesz, monsieur – odpowiedział szczerze. – Madame de Chevreuse życzyła sobie bym pojechał do królowej i wypowiedział trzy wyrazy. Te wyrazy upewnią Jej królewską Mość, że na razie nie potrzebuje obawiać się swych wrogów.

– A, Chevreuse, szlachetna dama! Więc ona posłała ciebie? – zawołał Bassompierre. – Tak, tak, powiedz mi te wyrazy bez namysłu. Rozumiem doskonale. Jakie są?

– „Bóg miłuje odważnych”.

– Polecenie będzie wykonane co do joty.

– Dziękuję ci, monsieur. Pozwól mi również dopowiedzieć, że moi przyjaciele, pomiędzy którymi znajduje się lord Winter, zajmą się losem dziecka. Ulokują je w bezpiecznym miejscu.

– Ach. Na me życie! – wołał zachwycony Bassompierre. – panie d’Artagnan, jesteś niezrównany...

– Musimy się rozstać, jeżeli masz przybyć do Lyonu rano, monsieur – powiedział d’Artagnan i nie czekając na dalsze pochwały, skierował konia w bok. – Do widzenia, bądź zdrów, monsieur!

– Bądź zdrów i przyjmij serdeczne podziękowania – odpowiedział Bassompierre. – Jestem mocno zobligowany wobec ciebie, nie zapomnę tego nigdy!

D’Artagnan, który posłyszał teraz krzyki, dochodzące z pałacyku, spiął konia ostrogami i ruszył galopem.

„Ja również jestem ci wielce dłużny – mówił do siebie – za wypożyczenie mi płaszcza. Nasze rachunki są wyrównane”.

Muszkieter jechał, lecz nie w kierunku Paryża.

ROZDZIAŁ XIV

Zamiast jednego ojca – dwóch

Dwie miejscowości były naówczas o równobrzmiącej nazwie: St. Saforin. Jedna to wioska, a druga to królewski klasztor, do którego prowadziła z wioski wcale nie bezpośrednia droga.

Dnia 3 maja 1542 r. Franciszek I wyjechał z Paryża w towarzystwie jednego tylko człowieka w stronę St. Saforin na spotkanie z pewną damą, która przyrzekła ugościć go należycie pod nieobecność swego męża. Na nieszczęście monarcha pomylił drogę i zajechał do klasztoru. Tam go rozpoznano i zamiast w pałacu przy pięknej damie, spędził noc w gościnie u przeora.

Atos i Portos pragnęli uniknąć tej pomyłki i dopytywali o drogę do klasztoru. Około północy padał taki ulewny deszcz, że postanowili zboczyć do wioski i tam przenocować.

– Trudno, nie ma rady – zdecydował Atos i patrząc na Grimauda dodał – o wschodzie słońca!

Krótko po wschodzie słońca siedzieli już na koniach, a w godzinę później dobijali się do bram klasztoru. Wkrótce Atos i Portos wchodzili do salki recepcyjnej.

– Don Lawrence będzie z panami za chwilkę – powiedział wprowadzający ich do sali braciszek i zniknął za drzwiami. Portos był zachwycony porządkiem, jaki tam panował i potęgą, jaka biła od murów zabudowania. Po chwili wniesiono na tacy wino.

– Doskonałe! – zachęcał Atosa, wychylając kielich do dna. – Widzę, że zakonnicy mają dobry smak. Pij, mój przyjacielu! Jesteś taki blady. Czyżby fakt, że masz zostać ojcem tak cię przejął.

– Myślałem o d'Artagnanie. Ale oto don Lawrence.

Don Lawrence mimo podeszłego wieku, może około sześćdziesięciu lat, wyglądał doskonale. Spojrzał na gości, pokłonił się i wpatrzył się w Atosa.

– Jestem do waszych usług, panowie. Jeżeli się jednak nie mylę, jednego z panów miałem już przyjemność gdzieś spotkać.

Bladość Atosa ustąpiła miejsca rumieńcowi.

– Ten pan, don Lawrence, to du Vallon – odpowiedział. – Co do mnie nazywam się Atos, dawniej z kompanii pana de Treville, obecnie w kompanii pana Remburès.

– Ej, ej! – kiwał głową don Lawrence. Rysy Atosa nasuwały mu jakieś wspomnienia. – Kompanii muszkieterów? Lecz, mój drogi panie, jestem pewien tego, żem cię już raz w życiu widział.

– To bardzo możliwe – odpowiedział Atos. – Ludwik XIII brał ślub z Anną Austriaczką w Bordeaux 28 listopada 1615 r., a więc piętnaście lat temu. Na tej uroczystości byłem paziem księcia Orleanu. A wy, ojcze jeśli się nie mylę, byliście królewskim spowiednikiem.

Atos urwał. Przez oblicze don Lawrence'a przesunął się cień trwogi, jakaś okropna scena odbiła się w jego myśli. Patrzył szeroko rozwartymi oczyma na Atosa.

– Przypominam sobie teraz, panie hrabio – wyrzekł cichym głosem ze wzrokiem pochylonym w dół, jakby chciał uczcić gościa. – Życzyłeś sobie widzieć mnie; ty i twój przyjaciel...

Atos zdjął z palca pierścień z herbem Bassompierre'a.

– Czy rozpoznajesz ten pierścień, ojcze? Przybyłem tu by zabrać chłopca.

Przeor spojrzał na mówiącego ze zdziwieniem.

– Nie mam żadnych, wyraźnych poleceń co do jego odjazdu. Możesz go jednak widzieć...

– Daruj, ojcze – przerwał mu Atos. – Przyjechałem tu, by chłopca zabrać jako ojciec. Rzeczywistym ojcem jego jest mój przyjaciel.

– Niestety, pan, który go tu ulokował, wydał bardzo surowe rozkazy...

Atos apelował ponownie.

– W krótkim czasie, możliwe, że za kilka minut przyjedzie tu kilku ludzi z identycznym żądaniem. Będą oni w posiadaniu podrobionego pierścionka. Będą jednak zaopatrzeni w wyraźny rozkaz kardynała. Nie obawiaj się pana Bassompierre'a. Jesteśmy tu w jego imieniu. Na pewno przybylibyśmy tu z jego listem, gdyby miał czas na napisanie go.

Na dźwięk wyrazu: kardynał, przeor zatrwożył się.

– Więc kardynał wie, że chłopiec tu się znajduje? – zapytał.

– Gorzej, posłał właśnie po niego.

Zapanowało chwilowe milczenie. Widać było na twarzy przeora walkę, jaką z sobą staczał... Po chwili przemówił:

– Monsieur, przypominam sobie pewne fakty z przeszłości, Mogę odczytać myśli twe z twarzy. Czy przysięgasz na honor, że to wszystko coś mi powiedział, jest prawdą?

– Na mój honor i na Chrystusa, że mówię prawdę! – przysiągł Atos głosem, który przekonałby św. Tomasza.

– Twoim celem jest zaadoptować chłopca?

– Nie. Celem moim jest uczynić go moim własnym synem.

Don Lawrence przywołał braciszka, wydał mu pewne polecenia i usiadł na krześle.

– Nie będziemy przetrzymywać was tu długo, panowie. Co do chłopca, mogę powiedzieć ci tyle, panie hrabio, że studiowałem jego charakter. Doprawdy wart jest nazwać się twoim synem.

– W takim razie zachowaj ścisłą tajemnicę. Nikt nie może się dowiedzieć o tym, ani nie może podejrzewać dokąd chłopca wywieziono. Pan de Bassompierre tylko będzie wiedział. Co do dziecka, znam już jego charakter, znam bowiem jego rodziców.

– Ach, czy tak? – przeor obserwował Atosa pytająco.

Braciszek wprowadził czteroletniego chłopca do pokoju. Portos, który dotychczas milczał, nie mógł powstrzymać się od wyrażenia podziwu. Atos powstał pełen godności. Chłopczyk był w istocie piękny; rysy zdradzały jego usposobienie. Nosił strój rycerza, był opasany pasem, u boku wisiała szabelka. Ukłonił się nisko przed przeorem z taką wrodzoną gracją, że Atos mile się uśmiechnął.

– Panie d'Aram – przemówił przeor, zwracając się do chłopca – pragnę ci przedstawić pana Portosa i pana hrabiego... Przeor zatrzymał się patrząc na Atosa, który dokończył.

– Harbiego de La Fère.

Chłopiec ukłonił się Portosowi, następnie Atosowi. Na ostatnim zatrzymał swój wzrok.

– Ach, teraz – zawołał – wiem coś, co chciałem dawno już wiedzieć.

Chłopczyna urwał i mocno się zarumienił.

– Tak, mój synu – przeor uśmiechnął się do niego.

– Chciałem powiedzieć – kończył malec, patrząc na Atosa – że teraz wiem jak wygląda rycerz.

– Co? co? – zawołał Portos. – Więc ja nie wyglądam na rycerza, ani don Lawrence?

Chłopiec zwrócił się do Portosa.

– Monsieur, ty jesteś żołnierzem – zarecytował. – Don Lawrence jest zakonnikiem. To jest prawie jedno i to samo.

– Określenie świetne – wołał Atos zachwycony i przyklęknąwszy, wyciągnął otwarte ręce do chłopca. – Mój, synu, mój synu, pójdź w moje objęcia.

Chłopiec spojrzał na Atosa i zbladł.

– Więc ty jesteś ojcem, o którego modliłem się tak gorąco.

– Jestem ojcem, o którego modliłeś się. Ty jesteś synem, o którym nie myślałem, że będę trzymał go w ramionach. Ojcze pobłogosław ten związek. Ja przysięgam przed Bogiem, że będę temu chłopcu ojcem, którego on przez całe swe życie będzie kochał, szanował i pamiętał.

Z oczu Atosa stoczyły się dwie grube łzy i zawisły na policzkach. Chłopiec rzucił się krótkim, ostrym okrzykiem w ramiona przybranego ojca. Gorący i tkliwy to był uścisk. Don Lawrence, wzruszony widokiem, podniósł ręce do góry i błogosławił obydwóch. Portos wywracał oczyma, by powstrzymać łzy, lecz naraz upadł na kolana i wyciągając do malca ręce zawołał:

– Na szatana powiem to samo! Obejmij mnie chłopcze! Jeżeli kiedykolwiek zabraknie ci ojca, miłości, pieniędzy, pomocy – niech mnie czort porwie, jeżeli ci tego wszystkiego nie dam. I więcej. Chodź mój synu, jestem twoim drugim ojcem.

Chłopczyna nie zawahał się ni chwili i obejmował kolosa za szyję swymi drobnymi rączkami.

Atos powstał.

– Czas nam w drogę – zawołał.

– Czy mogę osiodłać konia lub muła dla...

– Nie. – Atos zaprzeczył głową. Na ustach zaigrał mu serdeczny, czuły uśmiech. – Synu mój najdroższy, przyjdzie nam spieszyć się. Wezmę cię na ręce, a jeśli sam temu nie podołam mój wierny Grimaud cię powiezie...

– Ale! – odezwał się Portos. – Przecież to pchełka, mogę go wieźć na dłoni. Chodź, Raoulu, siadaj!

Za chwilę Portos unosił chłopca na dłoni, podtrzymując go drugą ręką za rączkę. Śmiejąc się, Atos porwał chłopca i ustawił na podłodze.

– Chodź – mówił Atos – powiedz adieu do don Lawrence. A może masz jakie zabawki, ubranka lub inne rzeczy, które chciałbyś zabrać?

Raoul uścisnął jego dłoń.

– Niczego mi nie było potrzeba prócz ojca. Mam cię i niczego więcej nie pragnę – odpowiedział chłopczyna z takim namaszczeniem, że Atos pobladł ze wzruszenia.

Wreszcie pożegnano się i Atos dał znak Grimaudowi by sprowadził konie. W chwili, kiedy wszyscy znaleźli się na dziedzińcu, do bramy wpadł koń z jeźdźcem. Z siodła zsunął się d'Artagnan.

– Ach! pędziłem co tchu, by zastać cię tu jeszcze. Atosie, wszystko w porządku.

– Doskonale. – Atos przedstawił przyjaciela don Lawrence'owi. Spojrzawszy na słaniającego się konia, zawyrokował. – Nie możesz przecież jechać na tym koniu.

– Pozwól mnie się tym zająć – wtrącił don Lawrence. – Chwileczkę, moi panowie, sam pójdę wybrać odpowiedniego wierzchowca.

Przeor odszedł do stajni. Atos w międzyczasie przedstawił Raoula d'Artagnanowi.

– Mój synu, pozwól, że ci przedstawię człowieka, którego z dumą nazywam swoim przyjacielem. Możesz go z niemałym zaszczytem dla siebie nazywać przyjacielem również. Panie d'Artagnan, to jest mój syn Raoul, wicehrabia de Bragelonne.

D'Artagnan przykląkł na jednym kolanie i uściskał nowego przyjaciela. Atos zwrócił się do niego ponownie.

– A twoja misja?

– Spełniona – odpowiedział muszkieter, i popatrzył na ojca i syna. D'Artagnan pomyślał sobie, że Atos od tej chwili nie będzie go nazywał swoim synem, co sprawiało mu niewymowną radość.

– Nie spotkałeś nikogo w drodze... na przykład Montforge'a?

– Nie. – D'Artagnan wyjął z kieszeni zewnętrzny arkusz testamentu Thounenina i podał go Atosowi.

– Co? Nie zachowałeś całego dokumentu?

– Tylko arkusz zewnętrzny, resztę spaliłem.

– A goniec... Riberac?

D'Artagnan zrobił znak krzyża. Don Lawrence powracał. Za nim szedł braciszek, wiodąc za uzdę pięknego konia.

Przeor przekazał konia d'Artagnanowi. Kiedy wszyscy czterej dosiedli koni, przeor podniósł chłopca i podał go Atosowi. Następnie wyciągnął rękę i pobłogosławił odjeżdżających. Zdjąwszy kapelusze, jeźdźcy pochylili głowy przed przeorem i za chwilę ruszyli w drogę.

Grupa skierowała się w stronę Paryża.

– Atosie, mój przyjacielu, jesteś innym człowiekiem – odezwał się pierwszy d'Artagnan, gdy wyjechali z dziedzińca St. Saforin.

– Tak, jestem nowym człowiekiem – mówił Atos poważnie. – Czy nie przepowiadałem, że ze spotkania z lordem Winterem wyniknie wielkie szczęście albo nieszczęście. Ale mów nam o sobie. Powiedz, co się wydarzyło w tym domu? Dlaczego przybyłeś do nas miast jechać do Vieux Colombier?

– Ot, po prostu by się z wami spotkać. Okropne rzeczy się wydarzyły, Atosie. Portos podjechał bliżej, by wysłuchać tego, co d'Artagnan opowiadał ze wszystkimi szczegółami.

– Mój przyjacielu – odezwał się Atos gdy d'Artagnan skończył – postąpiłeś źle, bardzo źle.

Raoul objął ojca za szyję i patrzył w niego zdziwiony.

– Mój ojcze, mówiłeś mi, że dumny jesteś ze swego przyjaciela. Jakże tedy możesz mówić, że postąpił źle. Ja myślę, że to jest drugi Bayard!

Atos, zwykle blady, zarumienił się. D'Artagnan poczuł się również zaambarasowany. Lecz gdy przyjaciele popatrzyli na siebie, zaśmiali się serdecznie.

– No i ponieważ – rzekł d'Artagnan – uratowałem życie marszałkowi Francji.

– Mój d'Artagnanie – wtrącił Portos – zawsze mówiłem, że sam zasługujesz na marszałkowską buławę. To mnie teraz utwierdza w moim rozumowaniu. W takim razie załatwiliśmy wszystko co do joty. Dokument jest spalony, chłopca mamy, tylko o jednej rzeczy zapomnieliśmy.

– Cóż takiego? – zapytał d'Artagnan.

– Jedziemy do Paryża, Montforge jedzie z Paryża, spotkanie z nim zdaje się być nieuniknione.

Pozostali przyznali mu rację. Atos wezwał Grimauda i polecił mu jechać naprzód, co giermek natychmiast uczynił.

– Przypuśćmy nawet – mówił d'Artagnan – że król żyje. Mój kochany Atosie, czy myślisz, że Jego Eminencja nie będzie nam pamiętał tych drobnostek, właściwie chciałem powiedzieć mnie?

– Owszem, pamiętać będzie – wzruszył ramionami Atos. – Jeżeli król będzie żył, Richelieu będzie zajęty walką z królową matką i książętami. On wie, że nie jesteś jego wrogiem, lecz służysz królowej. Skoro jego agenci nie mogli zgładzić cię z tego świata, gotów jest zapomnieć o tobie. Zresztą jeżeli przegra, nie masz się czego obawiać, a jeśli wygra, będzie tak zajęty posyłaniem Bassompierre'ów i Marillaców na szubienicę lub do Bastylii, że nie będzie myślał o maluczkich.

D'Artagnan przyznał mu rację i czuł się spokojniejszy. Grimaud posuwał się naprzód w odległości niecałego kilometra, tak, by na czas uprzedzić swego pana o niebezpieczeństwie. Na razie nic się nie zapowiadało. Około południa dojechali do oberży na rozstajnych drogach pod nazwą „Le Moine Qui Keude".

– Angielska to czy francuska karczma? – zapytał d'Artagnan.

– W Szampanii – odpowiedział Atos z uśmiechem – mówią „keude" zamiast „cueille". To jest sławna oberża, w której zatrzymał się angielski Henryk V w drodze do Paryża. Tu

również spotkał francuski Henryk III zachwycającego Laisa. Tu także i my się zatrzymamy na przekąskę, jeżeli pojedziesz po Grimauda.

D'Artagnan spiął konia i ruszył galopem po Grimauda. Sprowadzenie giermka do oberży zabrało mu sporo czasu, gdyż Grimaud ujechał dość daleko. Gdy wjeżdżali na dziedziniec, jakiś jeździec opuszczał go. Przejeżdżając obok d'Artagnana, obcy salutował muszkietera. Pojechał w stronę Soissons i to z widocznym pośpiechem.

– Kto to był – pytał d'Artagnan pachołka, który odbierał od niego konia.

– Nie wiem, monsieur. Nocował tutaj.

D'Artagnan udał się do oberży, skąd dolatywał go donośny głos Portosa. Przy wejściu zauważył wielce podnieconego Grimauda.

– Tam do diabła, nie potrzebujesz grać niemowy przede mną – zwrócił się do giermka.

– Ten człowiek... monsieur – jąkał się giermek, wskazując palcem za odjeżdżającym.

– No więc co ten człowiek?

– Nevers, Arceuil, Paryż. – W głosie giermka odbijała się wyraźna trwoga.

Atos podchodził do drzwi i posłyszał rozmowę.

– Słyszałeś Atosie. Grimaud twierdzi, że widział tego człowieka w Nevers, Arceuil i w Paryżu. Odjechał stąd galopem.

Atos, nie mówiąc słowa, wskazał d'Artagnanowi salę oberży. Grimaudowi zrobił znak, który tenże doskonale rozumiał. Trzeba było szybko się pożywić.

D'Artagnan podziwiał spokój swego przyjaciela, który w niczym nie zdradził najmniejszego niepokoju lub trwogi.

ROZDZIAŁ XV

Dwóch odjeżdża, trzech pozostaje

Wnętrze oberży „Le Moine Qui Keude" było niezwykle oryginalne. Zbudowane w czasach wojen angielskich nosiło charakter warowni. Drzwi dębowe, spięte żelaznymi sztabami, okna zaopatrzone w ciężkie okiennice. Ponieważ ogrzewanie polegało na otwartym kominie, pokoje wyglądały jak wędzarnie.

Całość składała się z jednej olbrzymiej sali bez sufitu, z dachem nad głowami i dwóch czy trzech przyległych pokojów. Obok dużego komina znajdowały się małe drzwiczki, które prowadziły do przyległego, nowszego budynku z pokojami na górze. Stary budynek spoczywał tuż na ziemi, gdy nowszy zbudowano nad piwnicami czyli o kilka schodów wyżej.

Komin w głównej sali karczemnej był olbrzymich rozmiarów. Przez całą szerokość zawieszona była na hakach gruba sztaba żelaza, na której opierano szczapy drzewa. Powyżej tej sztaby była druga cieńsza, która służyła gospodarzowi za rożen.

W tej to ciemnej, zakopconej wiekowym dymem sali siedział naprzeciw kominka przy ciężkim, rzeźbionym stole Portos z Raoulem, który z zainteresowaniem śledził gospodarza, piekącego drób dla przybyłych gości.

– Podaj nam chleb i wino zaraz – zawołał Atos do gospodarza. Portos spojrzał na niego ze zdziwieniem; Atos snadź nie chciał dawać przy chłopcu wyjaśnień i tylko mrugnął porozumiewawczo w stronę Portosa.

– Mój synu – Atos wyciągnął rękę do Raoula – chcę cię prosić właśnie o coś. Otóż pewne sprawy zatrzymują mnie w tej oberży, chcę więc byś wraz z Grimaudem wyjechał natychmiast do Paryża, a ja wkrótce za wami pospieszę i w stolicy się spotkamy.

– Mała rzecz, mon père – odpowiedział chłopiec rezolutnie – lecz przyznam się, że niechętnie to czynię. Dopiero co cię znalazłem i już się rozstajemy.

– Przyrzekam ci, że nie na długo.

Portos nie mógł zrozumieć, o co tu właściwie chodzi. Grimaud wszedł ocierając usta. Atos tym razem nie porozumiewał się z nim na migi.

– Grimaud – przemówił do swego sługi – służyłeś mi wiernie. Od misji, jaką ci powierzę dziś, zależy twoja przyszłość. Wykonaj ją pomyślnie, a nigdy niczego ci nie będzie brakło. Zawiedź mnie, a sam cię zabiję. Czy rozumiesz mnie?

– Doskonale, monsieur – Grimaud pokłonił się nisko.

– Dobrze. Zabierzesz mego syna do Paryża. Udaj się do Hotelu Muszkieterów. Jutro w południe lub w południe dnia, którego tam przybędziesz, oczekiwać będzie ciebie Gerwazy.

Tego już było za wiele dla umysłu Grimauda.

– Monsieur! – zawołał. – Chyba nie Gerwazy, służący twego ojca...

– Ten sam – odpowiedział Atos. – Jeżeli za trzy dni nie przyjadę, ty i Gerwazy zabierzecie wicehrabiego de Bragelonne do mego wuja i tam zostanie hrabią de La Fère. Myślę jednak, że przyjadę. To wszystko.

Atos zwrócił się do chłopca.

– Słyszałeś mój synu. Pożyw się szybko i jedź. Raoul jadł chleb przed chwilą podany. Grimaud wyszedł i za pięć minut powrócił, oświadczając, że koń gotów do drogi. Atos wziął chłopca za rękę i podprowadził go do drzwi. Tu Raoul obrócił się i pięknym ukłonem pożegnał przyjaciół.

– Au revoir, messieurs! – przemówił swym dźwięcznym głosikiem. D'Artagnan i Portos oddali ukłon i spojrzeli na siebie.

– Co u diabła to wszystko ma znaczyć? —. zapytał Portos.

Atos wrócił do izby.

– Jeszcze nikt nie nadjechał – oświadczył i z całym spokojem, jak gdyby nic nie zaszło, usiadł przy stole i zaczął jeść.

– No, no – zaczął d'Artagnan – przyznam się, że nic nie rozumiem. Widzieliśmy jegomościa odjeżdżającego, dowiedzieliśmy się, że tu nocował. Grimaud widział go w Nevers, Arceuil i w Paryżu. A więc...

– A więc, mój synu – przerwał mu Atos – uważam to za dobrą przestrogę.

– Dlaczego ten człowiek tu bawił? Nie wiemy, chyba nie po to, by nas śledzić. A ponieważ Grimaud widział go trzykrotnie, wynika z tego, że nas śledzi. Jest więc kardynalistą. Gdzie jest Montforge, nie wiemy również. Nie spotkałeś go w drodze z Paryża. Wiemy tylko, że jego zadaniem jest dostać w swe ręce Raoula. Tak! Gdzie grozi niebezpieczeństwo i jest niewidoczne, jest na pewno obecne.

– Ach! – krzyknął Portos – więc to ten człowiek! Wydaje mi się, że raz go już gdzieś widziałem. Ale dlaczego w takim razie nie pojechaliśmy wszyscy z chłopcem?

– Oni chcą chłopca, nie nas – tłumaczył Atos. – Ten człowiek był tu przysłany celowo. Jest tu widoczny związek ze sprawą Raoula. Ujrzawszy nas, przekonał się, żeśmy wyprzedzili Montforge'a. Montforge na pewno wyjechał przed nami, lecz coś go w drodze zatrzymało. Teraz ten jegomość pospieszył, by go tu sprowadzić.

– I oczywiście – dodał d'Artagnan – mielibyśmy nie lada zadanie, żeby go wyprzedzić do Paryża.

– Naturalnie – potwierdził Atos. – Postanowiłem ulokować Raoula w bezpiecznym miejscu. Jeżeli Montforge tu przyjedzie, będzie myślał, że mamy chłopca ze sobą. Nie życzę sobie być ściganym przez całe życie. Muszę tego człowieka spotkać i zabić go. To już nie jest wasza sprawa teraz. Radzę wam dosiąść koni i jechać.

– Zapominasz drogi przyjacielu – mówił d'Artagnan – że ja też mam z nim porachunki. Portosie, ty jedź za Grimaudem.

– Czy nie zechcecie zrobić mi łaski i iść do trzystu diabłów ze swoimi radami – odpowiedział Portos oburzony. – Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Czy ja już jestem takim głupcem lub tchórzem. Niech mnie szatan porwie, jeślibym miał was opuścić. Poza tym nie masz tu niczego na potwierdzenie waszych pięknych teorii.

– Więc dobrze – zgodził się Atos. – Poczekamy tu godzinę, jeżeli nikt się nie zjawi, pojedziemy.

– A jeżeli przyjadą?

Atos wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

D'Artagnan wiedział, że człowiek, który tu bawił całą noc, nie pojechał na próżno. Rozejrzał się po izbie i rzekł wesoło.

– Atosie, możemy wstrzymać w tej fortecy całą armię. Ale oto pyszne kapłony i wino. Bierzmy się do pracy. Czego nam tu więcej brakuje?

– Pistoletów – odparł Atos lakonicznie. – Podczas wczorajszej ulewy deszcz zmoczył nam proch.

To rzekłszy Atos zabrał się do jedzenia. Był na ogół spokojny, lecz w tym spokoju było coś groźnego, niebezpiecznego.

D'Artagnan nie był taki spokojny. Wiedział doskonale, że w Montfarge'u, uzbrojonym w polecenie kardynała, mieli poważnego przeciwnika. Naraz zawołał gospodarza.

– Gospodarzu, oto złoty dukat. Drugi otrzymasz, jeśli sobie przypomnisz tego pana, który tu nocował. Czy nie pamiętasz jego nazwiska?

– Nie, monsieur. Przyjechał tu na krótko przed burzą i zamknął się w swoim pokoju.

– A więc masz tutaj pokoje?

– Tam, monsieur – gospodarz wskazał ręką na dwa przyległe pokoje. – Dwa dobre pokoje.

– I nic nie powiedział ci o towarzyszach?

– Nie, monsieur. Faktem jest, że oczekiwał większego towarzystwa dziś po południu, nawet pytał, czy mam dosyć drobiu. Dlatego to przygotowaliśmy spore zapasy.

– Większego? A ilu osób?

– Z dwudziestu lub więcej.

– Ma foi! Z Paryża?

– Nie, monsieur. Wydaje mi się, że mieli jechać do Paryża.

D'Artagnan, nieco zmieszany, popatrzył na Atosa, który z najzimniejszą krwią wyjął z woreczka pieniądz i wsunął go w rękę gospodarza.

– Oto zapłata z góry, mój dobry człowieku.

– Z góry, monsieur?

– Tak. Za szkodę, jaka tu będzie wyrządzona. Możesz nas teraz zostawić.

Gospodarz był tak zdumiony, że zapomniał upomnieć się u d'Artagnana o przyrzeczony dukat.

– Otóż widzicie – mówił Atos. – Dwudziestu ludzi albo więcej. Widocznie Montforge nie czekał na wykonanie pierścionka i postanowił zabrać chłopca przemocą. Kto wie, czy nie przyjdzie nam odpierać armii, d'Artagnanie.

– Bardzo dobrze. Jesteśmy na twe rozkazy, mój drogi Atosie.

– Proponuję więc byśmy, skoro pożywimy się, obejrzeli naszą fortecę i pomyśleli o obronie.

W dwadzieścia minut później przyjaciele badali grunt. Drzwi przy kominku były słabe i długo nie mogły wytrzymać w razie naporu. Portos szybko złemu zaradził. Przewrócił ciężki stół dębowy z hałasem i zatarasował nim drzwi. Gospodarz wystąpił z protestami.

– Ulotnij się – nakazywał mu d'Artagnan – i bądź zadowolony, jeżeli w ogóle z całą głową ujdziesz.

– Lecz przynieś nam więcej wina – wołał Portos za odchodzącym.

– Monsieur – odpowiedział gospodarz – zatarasowałeś drzwi i do piwnicy nie mam dostępu.

Idź więc dookoła – zawołał d'Artagnan rozgniewany. – Jesteś dobrze zapłacony. Przynieś wino i zostaw je na dziedzińcu.

Główne drzwi były mocne i mogły ostać się granatom. Podwórko było wąskie. Po jednej stronie stajnie z kupą mierzwy, a po drugiej stronie studnia z olbrzymim korytem. Naprzeciw oberży, pomiędzy stajniami i korytem, które tworzyły trójkąt, była mocna brama, która mogła posłużyć również za obronę. Brama przymocowana była do wysokich ścian.

– D'Artagnanie – dyktował Atos – ty zaczniesz z nimi rozmowę, my po bokach będziemy stać w pogotowiu. Najprzód będziemy bronić dziedzińca. Gdy nie utrzymamy go, cofniemy się do oberży.

– O ile wróg się pokaże – dodał Portos.

– Już się pokazał – rzekł d'Artagnan, wskazując na grupę ludzi pędzących z oddali.

Przyjaciele zajęli pozycje. Jedną połowę bramy zamknęli. Drugą zostawili nieco uchyloną do rozmowy. Portos stał obok z olbrzymią drewnianą zaporą, by na dany znak obydwie połowy zatarasować.

Widząc te przygotowania, gospodarz nie wątpił już o zamiarach gości.

– Będzie ich dwudziestu trzech lub czterech – oświadczył Atos, zmierzywszy wroga wzrokiem. – Skoro tylko nas zaatakują, pójdę strzec tylnego wejścia.

– A ja – rzekł Portos wskazując na kupę mierzwy – będę bronił tej strony. Przeciwną zajmie się d'Artagnan.

Najeźdźcy ujrzawszy w bramie d'Artagnana ściągnęli lejce, pewni, że posypią się na nich strzały z pistoletu. Na czele grupy jechał hrabia de Montforge obok człowieka, który opuścił oberżę przy wjeździe muszkieterów. Grupa ludzi nie składała się z żołnierzy. Widać było, że to banda lokajów i posługaczy, naprędce zebranych ludzi, którzy władali bronią.

Po chwili ludzie ci zsiedli z koni. Montforge podjechał bliżej bramy.

– Dzień dobry, panie d'Artagnan – pierwszy powitał muszkietera.

– Dobry dzień i tobie, monsieur– odpowiedział d'Artagnan. – Przybyłeś pewnie, by skończyć ze mną zaczętą w swoim czasie konwersację.

– Niestety, monsieur. Jestem tu z polecenia kardynała i dopóki nie wypełnię jego polecenia, nie mogę ci służyć.

– W takim razie, monsieur, nie zatrzymuję cię dłużej.

Montforge rozgniewał się.

– Monsieur, pozwól, że cię przestrzegę. Wypełniam wyraźne polecenia Jego Eminencji.

– Który nie jest rządcą kraju. Jak ci wiadomo, mój panie, jestem oficerem muszkieterów, których oficerowie są wyżsi rangą od oficerów innych pułków. Muszę jednak wyznać, że jestem zdziwiony niepomiernie twoimi słowami. Wszak żywię dla Jego Eminencji respekt i mogę tylko ułatwić ci pracę.

Montforge z trudem panował nad sobą. Naraz dał się słyszeć głos Portosa.

– Dość tego, panowie! Stać, albo strzelam!

W istocie kilku kompanów Montforge'a podeszło bliżej do rozmawiających. D'Artagnan zdumiał się, ujrzawszy na murze Portosa z olbrzymią strzelbą w ręku, która przedtem wisiała obok kominka oberży. Była to stara broń, na pewno nieużywana i nienabita. Napastnicy jednak o tym nie wiedzieli i zatrzymali się.

– Chciałeś coś powiedzieć; monsieur...? – kontynuował d'Artagnan.

– Żeś mnie nie zrozumiał, panie d'Artagnan – odpowiedział Montforge. – Albo wiesz dobrze, o co chodzi. Mam rozkaz od kardynała aresztowania chłopca imieniem Raoul d'Aram.

– Monsieur, to jest bardzo ciekawe. Czy jednak mogę ufać mordercy?

Montforge poczerwieniał. Wyjął papier z kieszeni i, podszedłszy do bramy, podał go d'Artagnanowi.

– Przestańmy się bawić w ciuciubabkę, d'Artagnan. Byłeś w St. Saforin i zabrałeś chłopca z klasztoru. Widziano cię. Oto moje upoważnienie, na podstawie którego żądam wydania mi chłopca.

D'Artagnan rzucił okiem na dokument i przekonał się, że Montforge mówił prawdę.

– Mam wielki szacunek dla poleceń Jego Eminencji. – D'Artagnan oddał papier z pokłonem.

– W takim razie oddasz mi chłopca natychmiast?

– Co? Ależ panie Montforge, ten rozkaz nie ma nic wspólnego ze mną. Chłopca tu nie ma. Jest w drodze do Paryża. Jeżeli pospieszysz za nim, możliwe, że go dopędzisz.

– Jestem zdumiony, że rycerz tej miary co pan ucieka się do kłamstwa.

– Nie mniej sam jestem zdumiony. Cóż ja mam powiedzieć o człowieku tej miary co pan, panie hrabio, który zasłużył sobie na tak fatalną reputację.

– Więc odmawiasz posłuszeństwa w wykonaniu rozkazu kardynała?

– Nie, monsieur. Odmawiam wykonania poleceń zdemaskowanego mordercy.

W mgnieniu oka Montforge wyciągnął pistolet i strzelił.

D'Artagnan przygotowany na tego rodzaju napad ukrył się za bramą. W tej chwili Portos zeskoczył i zatarasował bramę.

Trzej przyjaciele zajęli placówki. Napastnicy zgromadzili się koło bramy, widząc jednak, że nie podołają wysadzeniu jej, szukali innej drogi.

Pierwszy człowiek, który wdrapał się na wierzch muru, trafił nieszczęśliwie na Portosa. Za chwilę spadł ze zmiażdżoną głową na stronę swych towarzyszów.

Bitwa w „Le Moine Qui Keude" rozpoczęła się.

ROZDZIAŁ XVI

Zadziwiający wynik z powodu kopnięcia nieżywego człowieka

Mur był wysokości około dwóch i pół metra. Za chwilę ukazała się głowa naprzeciw Portosa i druga naprzeciw d'Artagnana. Żaden z napastników nie próbował stanąć na murze.

– Chodźcie – wołał Portos dobywszy szabli – czekamy na was!

– Jesteśmy za uprzejmi – odpowiedział jeden z nich i obróciwszy się do kompanów dodał:

– Czy nie macie pistoletów? Szybko!

Człowiek naprzeciw d'Artagnana wystrzelił z pistoletu. Kula zdmuchnęła muszkieterowi kapelusz.

– Dawaj drugi! – zawołał napastnik.

D'Artagnan zgrzytnął zębami. Wiedział, że bez pistoletów nie utrzymają się długo na dziedzińcu.

– Cofać się do środka, – zawołał do Portosa.

– Czy jestem rakiem? Na szatana! Wytrzymaliśmy bastion św. Gerwazego, a tej bandy nie zatrzymamy?

– To jest pchełka, której nie mogę nie trafić – zawołał inny z muru i wymierzył pistolet w Portosa. – Niech żyje kardynał!

Portos zwalił się z kupy mierzwy. D'Artagnan podbiegł do niego, lecz kolos wstał sam. Kula trafiła w ostrze szabli.

– Niech żyje król! – zawołał – Tchórze! Zdrajcy! Mordercy!...

W tej chwili padł drugi strzał. Portos wyciągnął się jak długi przy wejściu do oberży. D'Artagnan schwycił go za ramiona i wciągnął szybko do środka. Twarz olbrzyma była zalana krwią.

– Atos! Do drzwi!

– Niemożliwe! – brzmiała odpowiedź. – Jestem...

Rozległ się huk zwalonego stołu. Olbrzymi stół dębowy, którym Portos zatarasował drzwi przy kominku, pchnięty całą siłą kilku napastników, odpadł daleko wraz z drzwiami.

Atos stał spokojny przy drzwiach z obnażoną szablą. Pierwszy człowiek, który ukazał się w otworze, padł na ziemię. Drugi zwalił się na niego.

– Najświętsza Mario! – krzyknął trzeci, ugodzony cięciem Atosa.

D'Artagnan, ujrzawszy, że dwóch ludzi przy bramie przeskoczyło mur i otwierało bramę, co prędzej zatrzasnął drzwi do oberży i zatarasował je kłodą drzewa.

– D'Artagnan! Przygotowują się do strzału!

Kilka kul utkwiło w ścianie izby. W drzwiach ukazał się nowy napastnik. Atos przeszył mu serce. Był to już czwarty trup.

– Cudownie! – wołał Atos. – Wywalili drzwi, a teraz tarasują wejście własnymi ciałami. Czy Portos jest zabity?

– Nie wiem – odpowiedział d'Artagnan. – Zdaje mi się, że tak.

– Ej, wy tam wewnątrz, poddajcie się, w przeciwnym razie będziemy dla was bez litości.

D'Artagnan rozpoznał głos Montforge'a i zatrząsł się ze złości.

– Nie my się poddamy – odpowiedział spokojnie.

– Pal! – zawołał Montforge.

Znów padło kilka strzałów. Atos zachwiał się, obrócił się i siadł w obok stojącym fotelu.

– Atos – zawołał przeraźliwym głosem d'Artagnan i pobiegł do przyjaciela.

– Na posterunek! – wołał Atos – Nie jestem jeszcze umarły. – Ranny w rękę i biodro, Atos położył szablę na stole, urwał kawał koszuli i bandażował sobie rany.

Główne drzwi zaczęły pękać. D'Artagnan przyskoczył do tylnych drzwi w chwili, kiedy dwóch mężczyzn skoczyło poprzez trupy. W jednym z nich rozpoznał Montforge'a.

– Tym razem nie ujdziesz, morderco – wołał wściekły.

Montforge wystrzelił, lecz strzał spalił na panewce. Towarzysz Montforge'a przedarł się i skoczył do d'Artagnana. Poślizgnął się w kałuży krwi i nadział na rapier muszkietera. Nikt więcej w drzwiach się nie pokazał. Montforge rzucił pistolet i z gołą szablą stanął naprzeciw d'Artagnana.

– Teraz po twoją główkę! – zawołał urągliwie. D'Artagnan wymierzył cios w serce przeciwnika, lecz szabla osunęła się.

– Ach, tak! – zawołał. – Zapomniałem, że jesteś tchórzem i że nosisz kolczugę pod koszulą.

– W szyję, mój synu! – wołał Atos, przyglądając się starciu. – W szyję!

Montforge obrócił głowę na sekundę w stronę mówiącego.

– Ty będziesz następny, mój przyjacielu – zakrzyknął.

Na chwilę d'Artagnan nie był pewny swego życia. Montforge zaatakował go z taką siłą, że nie dał mu na chwilę wytchnienia. Nie dopuścił go do ataku, zmuszał go wciąż do obrony. Naraz d'Artagnan poślizgnął się i upadł. Szabla wyleciała mu z ręki. Kiedy próbował podnieść się, Montforge wpakował szablę w pierś muszkietera. Atos krzyknął rozpaczliwym głosem, gdy ujrzał d'Artagnana padającego na wznak.

W chwilę później Montforge znalazł się naprzeciw człowieka na pół nagiego, obandażowanego, z szablą w ręku i furią w oczach.

– Zbój, morderca! – zawołał Atos i zaatakował przeciwnika, którego szabla ociekała krwią.

W tym momencie Atos był niezrównanym szermierzem. Nienawiść i żądza zemsty dodały mu sił i sprężystości. Trzykrotnie szable się starły w chwili, kiedy Atos mierzył w szyję Montforge'a. Napastnik szczęśliwie tego uniknął. Naraz Atos puścił w ruch swą szablę z taką szybkością, że Montforge nie zdążył odpierać ataków. W jednej chwili szabla jego wyfrunęła mu z ręki.

– Życie za życie! – zawołał Atos i wbił szablę w gardło Montforge'a.

Spojrzał na padającego przeciwnika i odrzucił szablę.

– Shańbiłem się po raz pierwszy w moim życiu. Lecz musiałem pomścić przyjaciela.

– Atos uśmiechnął się, ukląkł i po chwili padł na podłogę.

Drzwi do oberży ustępowały naporowi. Zawiasy zgrzytnęły i naraz masa połamanego drzewa zwaliła się do wnętrza. Kilku napastników wdarło się do środka.

– A oto nasz olbrzym – zawołał pierwszy potykając się o ciało Portosa. – Ja mu tak dogodziłem, racząc go pigułką z ołowiu – kopnął leżącego.

Byłe to fortunne kopnięcie, gdyż Portos otworzył naraz oczy. Nikt jednak tego nie dostrzegł, wszyscy oglądali trupy w izbie.

Widok był okropny, wyglądało, że nikt tu żywy nie pozostał, by powitać przybyszów.

D'Artagnan leżał twarzą na ziemi w kałuży krwi, cieknącej z jego ramienia. Atos zwalił się na nogi Montforge'a.

– Kapitan jest zabity! – zawołał jeden z napastników.

– Tam do diabła! Więc kto nam zapłaci? – odezwał się inny klnąc. – Bierz jego sakiewkę, podzielimy się.

Wszyscy pochylili się nad ciałem swego przywódcy. Portos skorzystał z okazji i powstał na jedno kolano. Był cały i bez ran. Kula ledwie drasnęła mu skórę na głowie, nie czyniąc poważniejszej szkody. Rozglądając się po sali dostrzegł ciała Atosa i d'Artagnana. Zawył nagle przeraźliwym głosem.

– Mordercy! Wy mi za to zapłacicie.

Bezbronny zerwał się na równe nogi. Po chwili spostrzegł swoją bezmoc, lecz nie stracił fantazji. Wściekłość jego nie miała granic. Unikając cięć dopadł do kominka, obok którego leżał kawał belki z wyważonych drzwi. Porwał ją obu rękami. Na końcu belki umocowany był kawał żelaznej zawiasy.

Olbrzym uniósł belkę ponad swoją głowę i zaczął nią miotać we wszystkie strony. Napastnicy cofali się do ścian. Portos był w tej chwili w furii, która nie miała litości. Cały dygotał w konwulsjach. Dotarł do bandytów i naraz rozległy się krzyki padających. Żaden nie poważył się użyć broni, nie było na to czasu. Portos uderzał całą siłą w głowy i ciała niby laską w kłosy zboża.

Pozostali przy życiu garnęli się do drzwi. Tam dopadł ich Portos i zmiażdżył dwóch za jednym uderzeniem. Belka wypadła mu z rąk. Usunął się do środka izby. Z gromady wypadł jeden odważniejszy, wysoki wzrostem, jak gdyby chciał zmierzyć się z kolosem. I oto naraz stała się niesłychana rzecz. Portos chwycił śmiałka za nogi i zaczął miotać nim w koło jak poprzednio kłodą drzewa. Strwożeni tym widokiem bandyci uciekali.

I oto w tej chwili gniew opuścił Portosa. Rzucił połamane ciało na ziemię, otarł czoło z potu i krwi. Pogruchotany człowiek snadź nie wyzionął jeszcze ducha. Chwycił Portosa za nogi, po czym, żegnając się drżącą ręką, padł martwy na podłogę.

– Na Boga! Co ja uczyniłem? – Portos jęknął.

Następnie podszedł do drzwi, wydarł szczątki drzewa, tamujące drogę do wyjścia i stanął na dworze w blasku słońca, chwytając całą piersią powietrze.

Naraz przypomniał sobie przyjaciół. Wrócił z powrotem do izby i za chwilę wyniósł Atosa, który dawał znaki życia. Ucieszył się tym ogromnie. Ułożył go na ziemi i wrócił po d'Artagnana. Nie zwracał uwagi na innych. Nie obchodziło go to, że niektórzy, nie zdążywszy ujść przed nim, teraz pchali się do tylnych drzwi. Odszukał ciało d'Artagnana i wyniósł je również na powietrze.

Stanął nad przyjaciółmi i rozglądał się wokół krwią zaszłymi oczyma. Z wewnątrz dochodziły jęki ludzkie. Na dziedzińcu pięciu pozostałych z kompanii Montforge'a dosiadało koni, by co prędzej uciec. Portos nie interesował się nimi. Skierował kroki do studni, nabrał wody do wiadra i wróciwszy do przyjaciół oblał ich twarze. D'Artagnan poruszył się i usiadł.

– Ma foi! Gdzie jesteśmy – przemówił – Czy to ty Portosie?

Portos, widząc, że d'Artagnan nie był ciężko rany, ukląkł obok Atosa i bandażował mu rany.

– Tak, to ja. – odpowiedział. – Myślałem, że umarłeś!

– Widocznie nie – mówił d'Artagnan, oglądając swe ciało. – Ach! Mam ranę wzdłuż żeber...

Rozdarł koszulę. Rana wyglądała strasznie, lecz nie była groźna.

– Mój nowy mundur jest zrujnowany – zauważył po chwili. – Ano, będę musiał iść w ślady pana de Bassompierre'a, który nigdy nie wkłada ubrania po raz drugi.

Z kieszeni wydobył zwinięty arkusz testamentu Thounenina.

– Doskonale! – mówił do siebie. – A co się stało z Montforge'm – zapytał Portosa.

– Zabity. – Portos naraz zaczął szukać czegoś po całym ciele, następnie przeszukał kieszenie i okazywał ogromne zdenerwowanie.

– Co się stało Portosie?

– Ach! – zawołał rozpaczliwie. – Jestem zgubiony.

– Na Boga, co się stało, mów.

– Zgubiłem portrecik madame du Vallon, który nosiłem na łańcuszku na piersiach. Przysiągłem jej, że nigdy się z nim nie rozstanę. Nie mam go, nie mam!

D'Artagnan obserwował go przez chwilę i wybuchnął naraz serdecznym śmiechem.

– Rzecz nie nadaje się do śmiechu – strofował Portos. Zapewniam cię. Nie rozumiesz takich rzeczy.

D’Artagnan zaśmiał się jeszcze głośniej. W tej chwili zauważył, że Atos podniósł powieki. Z radości klasnął go po ramieniu.

Portos pospieszył do izby w poszukiwaniu portretu, ale go nie odnalazł.

Epilog

Trzej przyjaciele dotarli do Hotelu de Tréville dopiero następnego dnia po południu, gdyż trzeba było starać się o powóz, by przewieźć ciężko rannego Atosa. Acz dzięki cudownemu balsamowi d'Artagnana rany nie okazały się groźnymi, to jednak nie pozwoliły Atosowi na konną jazdę przez szereg dni.

W Hotelu Muszkieterów dowiedzieli się, że Grimuad przybył tu z chłopcem i spotkawszy Gerwazego ruszył w dalszą drogę. Że jednak Atos nie wiedział, dokąd udał się Gerwazy, trzeba było czekać na jego powrót.

Dowiedział się również, że Mousqueton przyjeżdżał trzykrotnie w poszukiwaniu Portosa, a za trzecim razem przybyła sama madame Coquenar, przyrzekając zjawić się tu ponownie. Ta nowina nie bardzo Portosowi przypadła do gustu.

D'Artagnan przebandażował swoje rany i po kolacji usiadł do pisania listów. Jeden z nich zaadresował do madame de Chevreuse i bez wszelkich komentarzy wsunął do koperty pozostałość z testamentu Thounenina. Papier zbryzgany krwią mówił sam za siebie. Drugi list zaadresowany do Jego Eminencji kardynała de Richelieugo brzmiał jak następuje:

„Monseigneur!

Mam honor zakomunikować Waszej Eminencji, że dwie misje, jakie mi raczył powierzyć, spełniłem.

Ustne polecenie dostarczyłem, nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, gdyż osoba, którą ta misja dotyczyła, zemdlała. List adresowany do Paryża również dostarczyłem. Ponieważ Wasza Eminencja nie polecił mi czekać na odpowiedź, natychmiast stamtąd odjechałem. Żałuję niewymownie, że nie mogę zdać relacji osobiście, lecz jestem ranny, napadli mnie bowiem bandyci. W oczekiwaniu Waszych rozkazów, Monseigneur, piszę się oddanym sługą

Artagnan".

D'Artagnan pokazał list Atosowi, który przeczytał go uważnie.

– Musisz to przepisać.

– Dlaczego? Czy zrobiłem jakie błędy?

– Nie. Musisz napisać, że zadano ci ciężką ranę... „która złożyła mnie do łóżka". To zrobi dobre wrażenie na kardynale. Nikt nie wie, co zaszło pomiędzy tobą, Bassompierrem i Heleną de Sirle. Sam Bassompierre nie zna szczegółów. Richelieu, dowiedziawszy się, że Raoul nie był synem królowej, lecz madame de Chevreuse, uzna twoją ranę za dostateczną karę i zostawi cię w spokoju.

– Tak, ale w rzeczywistości nie muszę leżeć w łóżku...

– Więc połóż się na jedną noc; lekarz chętnie zrobi dopisek do listu.

– Ale ty, Atosie...

– Ja występuję ze służby, mój synu. W chwili, kiedy będę w możności napisać list, prześlę moją rezygnację. Nie ma się czego obawiać, wierzaj mi. Jeżeli król umrze, Richelieu jest zgubiony. Jeżeli król będzie żył, więksi ludzie stracą wolność lub życie. W tym zamęcie o nas zapomni.

D'Artagnan niezupełnie zgadzał się z poglądami Atosa, lecz poszedł za jego radą i list przepisał.

Ani on ani Atos nie mieli już okazji oglądać Portosa w tym czasie. Gdy następnego ranka zeszli na śniadanie, dowiedzieli się, że jakaś dama przyjechała w powozie, wezwała do siebie Portosa i zabrała go ze sobą. Biedaczysko nie miał nawet czasu, by napisać kilka słów do

przyjaciół. Jedynie Grimaud był świadkiem sceny i opowiedział, że Portos na widok damy podniósł ręce do góry, jakby błagał o przebaczenie. Rozkaz damy wypełnił natychmiast.

W tydzień później Atos wyjechał do swego majątku, a d'Artagnan do służby.

W dniu, kiedy lekarze orzekli, że Ludwik XIII umrze, stało się wręcz przeciwnie. Król powrócił do zdrowia. Przyrzekł jednak matce potajemnie, że skoro tylko zawrze pokój z cesarstwem, zwolni Richelieugo z obowiązków ministra.

Dwór powrócił do Paryża. Królowa matka do pałacu luksemburskiego, a król do Wersalu. Maria de Medici poczęła naraz okazywać wiele przyjaźni kardynałowi, co wzbudziło w nim podejrzenia. Dowiedział się wkrótce o przyrzeczeniu króla i posłał co prędzej gońca do ojca Józefa, by pokoju nie zawierał.

Goniec przybył za późno. Pokój był podpisany. Królowa posłała natychmiast po syna.

Pewnego ranka w listopadzie król przyjechał tylko w towarzystwie Bassompierre'a do Luksemburga. Richelieu dowiedział się o tej cichej wizycie i pospieszył do pałacu, by być obecnym na konferencji króla z matką. Niestety spóźnił się. Królestwo konferowało już w sali. Służbie polecono, by nikogo nie wpuszczano.

W sali tymczasem królowa zmusiła Ludwika do podpisania dymisji Richelieugo.

Naraz rozwarły się potajemne drzwi, wiodące z kaplicy i ukazał się w nich kardynał.

– Otóż on, wszystko stracone! – zawołał król. Kardynał udając, że nic nie słyszał, postąpił kilka kroków naprzód.

– Mam wrażenie, że ich Królewskie Moście rozmawiały o mnie – rzekł uśmiechając się.

Maria de Medici nie znalazła dostatecznej ilości wyrazów, by rzucić nimi w kardynała, który się poważył wejść do sali tajemnymi drogami i przeszkodzić w jej planach. Richelieu padł przed nią na kolana, błagał o przebaczenie, nawet ronił łzy, aby tylko nie odbierano mu władzy. Jego taktyka jeszcze więcej rozdrażniła królową. Nie było rady. Kardynał powstał i cichym głosem zapytał czy może odejść.

Król nie odezwał się, tym bardziej matka.

Richelieu zrozumiał, że przegrał i wyszedł.

Na drugi dzień król podpisał nominację Ludwika de Marillaca na dowódcę armii. Znaczyło to jednocześnie odwołanie popleczników kardynała, Schomberga i La Force'a. Następnie Ludwik opuścił Luksemburg i powrócił do Wersalu. Z nim pojechał de Marillac, którego królowa uczyniła ministrem na miejsce Richelieugo. Wielki kardynał skończył swe panowanie.

Radosny to był dzień w Paryżu. Cała arystokracja spieszyła do Luksemburga, by złożyć Marii de Medici życzenia z powodu jej zwycięstwa nad kardynałem. Anna Austriaczka uśmiechnęła się po raz pierwszy od dłuższego czasu. Rozesłano gońców do Madrytu, Wiednia i Londynu. Wszyscy cieszyli się z upadku znienawidzonego kardynała.

Richelieu był pewny, że tym razem jest zgubiony i postanowił przenieść się do Havru. Załadowano muły cennymi przedmiotami i przygotowano karetę. W chwili kiedy kardynał miał udać się w podróż, przybył St. Simon z Wersalu z rozkazem do niego, by stawił się natychmiast u króla.

W chwili gdy królowa święciła bankietem zwycięstwo nad kardynałem, król po dłuższej konferencji z Richelieum nie tylko przywrócił mu tekę ministra, lecz dał mu absolutną władzę. W następstwie tego marszałek de Marillac został aresztowany i odstawiony do Bastylii. Michała de Marillaca skazano na wygnanie. Bassompierre nazwał dzień 11 listopada 1630 r. „Dniem Ofiar", nie wiedząc, że sam będzie do nich należał.

Richelieu zamienił porażkę w tryumf i ci, którzy do tej porażki się przyczynili, płacili teraz.

Książę de Guise uciekł za granicę. Marię de Medici aresztowano. Skończyła swój żywot na wygnaniu. Wszyscy jej zwolennicy odczuli władzę kardynała, Bassompierre'a ostrzegano przed ręką Richelieugo i radzono mu uciekać. Nie posłuchał rady i udał się do swych

posiadłości, gdzie zajął się niszczeniem sześciu tysięcy miłosnych listów. Następnych dwanaście lat spędził w celi Bastylii, której był kiedyś gubernatorem. Długie lata poświęcił na pisanie pamiętników.

W dniu aresztowania Bassompierre'a d'Artagnan otrzymał rozkaz stawienia się w gabinecie kardynała. Zanim się tam udał, zniszczył wszystkie listy i papiery jakie u siebie posiadał.

– Dzień dobry panie d'Artagnan – mówił wyniośle Richelieu – o ile jestem dobrze poinformowany eskortowałeś pana de Bassompierre'a do Bastylii wczoraj?

D'Artagnan pokłonił się.

– Miałem ten zaszczyt, aczkolwiek rozkaz aresztowania wykonał Sieur de Launay.

– Posłałem po ciebie, byś mi wyjaśnił pewną sprawę. Niewątpliwie z ran się już wyleczyłeś.

– Wasza Eminencja zaszczyca mnie wielce pamięcią o takich drobnostkach – odpowiedział muszkieter, czując dreszcz, jaki przenikał jego ciało.

– Bynajmniej – mówił dalej Richelieu. – Doszła mnie wiadomość, monsieur, że pewien muszkieter z twojej kompanii opuścił służbę i przybrał tytuł hrabiego de La Fère. Czy nie był tym panem Atos?

– Tak jest monseigneur – zimny pot wystąpił na czoło d'Artagnana.

– Ach, więc on adoptował syna, wicehrabiego de Brangelonne.

D'Artagnan domyślił się, że kardynał wiedział o wszystkim.

– Wasza Eminencjo – przemówił d'Artagnan zdesperowany – tylko ci, którzy naprawdę są wielcy, rozumieją znaczenie wspaniałomyślności. Mój przyjaciel Atos jest najszlachetniejszym człowiekiem pod słońcem. Nie jest on zdolen do oszustwa, małostkowości ani haniebnego czynu. Wszelkie zabiegi o zaszczyty uważa za rzecz niegodną człowieka. Gdyby Wasza Eminencja, doceniając jego wieloletnią służbę, raczył obdarzyć go rekompensatą, wiem, że byłby wdzięczny i zobowiązany.

– Jaką? – zapytał Richelieu nieco zdziwiony. – Rekompensatą, mówisz? Czyżby emeryturą?

– Nie, Monseigneur – odpowiedział d'Artagnan – Wasza Eminencja jesteś ministrem i wielkim człowiekiem, lecz przede wszystkim jesteś kardynałem. Błogosławieństwo kardynała dla syna Atosa miałoby dla mego przyjaciela wielkie znaczenie.

Richelieu spojrzał na d'Artagnana zdumiony. Długo wpatrywał się w oczy muszkietera. Po chwili, wiedziony tym rzadkim u niego impulsem, uśmiechnął się i wyciągnął rękę do młodzieńca.

– Monsieur – powiedział – są w świecie mniej zachwycające rzeczy od młodzieńczej brawury. Z rady twej skorzystam. Czy nie masz żadnych życzeń dla siebie?

– Monseigneur, nie ma dla mnie potrzeb, skoro czynisz mi zaszczyt słuchania twych rozkazów!

Ta wizyta kosztowała d'Artagnana ponad trzysta liwrów. W papierach, które zniszczył, zamieszał się kwit od krawca. Krawiec zażądał pieniędzy za strój ponownie i z braku pokwitowania trzeba mu było płacić. Jednakże d'Artagnan nie żałował straty.

Korekta: Małgorzata Szymańska